



N^o 304. i



EX LIBRIS
STEFANA DZIEWULSKIEGO

Stare

CAWEDY I OBRAZY.

821.162.1

GAWEŁDY I ORZĄDY



no. 727

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



[Faint handwritten signatures and text]

I. 474
"2"

W DRUKARNI MAXYMILIJANA CHMIELEWSKIEGO.

u. 176/46

BZ08PK/030-15

I.

DOBOSZ.

«Oj! po pid haj zeleneńki:
Chodyt *Dobosz* mołodeńki,
Topircem sia pidpiraje,
Taj, na chłopci poklykaje.»

Pieśń ludu o Doboszu.

OBRAZ HISTORYCZNY

Z PODAŃ I PIEŚNI LUDU.

II.

Było to dnia 4 Października, roku pańskiego 1741. Chmury miesiąc zaciemniły, gdzie nigdzie gwiazdka jaśniała, wiatr poświstywał, i wznosił tumany piasku na szerokim gościńcu. Szumiały gęstym liściem rosochate lipy z wierzchołkami wieńcowemi, ocieniając dworzec szlachecki, którego ściany jak zapas śniegu bielili pomiędzy zielonym liściem lipy, żółtawej topoli, wiérzby, z których już liść zlatywał, i kilku smereków zdobiących niewielki podworec.

Choć szum wiatru był silny, już od bramy i parkanu wchodzący słyszeli gwar przy-

tłumiony; zlewało się kilka głosów, a jeden był wydatniejszy, gruby, przeciągły, mocny, znać pana, co rozkazywał domownikom i czeladzi. Przed samym gankiem, stały trzy brockie bryki, dwie pakowne, a na trzecią ładowano z pośpiechem sprzęty. W jednym oknie tylko od sieni, błyskało słabe światelko latarni, reszta okien pokryta skutemi w żelazo okiennicami. Na twarzy domowników znać trwogę: stali rzędem podstarości, dwóch karbowych; kilku czeladzi zносиło na brykę tłumoki i kufry.

Aż w trzeciej izbie od sieni, stał pan domu przy łożu chorąg mażonki, lampka jedno oświecała tę sypialnię.

—Już jedziesz Jędrzeju? odezwał się głos słaby, niewieści z łoża.

—Odjeżdżam! zabrzmiały słowa w odpowiedzi pana domu: odjeżdżam zaraz, bo on prędko przybędzie: niech go przyjmą najuprzejmiej, wydałem już polecenie gospodyni; ty się droga Rozalio nie martw', nie będzie się mścił nad bezbronną niewiastą, po-

lecam cię Bogu i Jego świętej opiece. Gdybym się został, zmazałby pewnie góralską siekierę we krwi mojej, chociaż Bóg widzi, żem mu nigdy drogi nie zachodził.

Tu upadł na kolana, modlił się krótko, lecz szczerze, i z wymówionem *Amen* powstał, ucałował chorą małżonkę i wyszedł prędkim krokiem do sieni. Gdy mu ukłon oddawał podstarość, i karbowi: «*Zrobić wszystko, jak kazałem,*» wyrzekł surowo, siadł do pierwszej bryki, a gdy woźnica biczem znak krzyża przed końmi zrobiwszy, dosiadł kozła; zaturkotały koła trzech bryk ciężkich, i prędko z przed oczu patrzących zniknęły.

—Trzeba i o sobie pomyśleć (*rzekł gajowy z obawą*), pan z domu ucieka daleko, my mamy bór blisko, to nogi zapas i wnogi.

—Ja nie głupim uciekać, bo gorzej byłoby, jakby złapali na drodze, daliby dopiero kwaśnego bigosu skosztować.

—A to czemu? zapytał z większą bojaźnią pierwszy.

—Dla czego? to oczewista, sądziliby że

biegniesz, by sprowadzić na nich towarzy-
szów, a tak, prędko porachowałbym, gruszki
na wiérzbie.

—Róbta jak się wam podoba (*wyrzekł
sędziwy podstarości*), ja się z miejsca nie ru-
szę: nie taki on okrutny, jak gadają ludzie,
nie raz chudzinę zapomógł. A wreszcie, cóż
się ma mścić nad siwemi włosami, i biedną
panią, co w niemocy leży. Uciekajta tcho-
rze! ale nikt nie powie, że stary Junosza od-
biegł ze strachu dobrej pani wtedy, gdy mu
pan, dozór nad całym domem i panią, opie-
ce troskliwej powierzył.

Ledwie tych słów domówił, usłyszano świ-
stanie, nie długo przybiegł chłopak wybla-
dły z przestachu: «*Już idą! już idą!*» za-
wołał drżącym i cichym głosem, i pobiegł na
poddasze do znajomej kryjówki: za nim po-
spieszył, bojaźliwy gajowy.

Zawyły psy na podwórzu, a z poświstem
wiatru, dochodziły coraz bliżej słowa znanęj
piosnki rozbójników.

Na wysokiej polonijci y zrodily rızki:

Ta, cy pidem pane brate, na wesni w Opryszki?

A wrobimo topirczyki, ta zsamoji staly:

Ta, ne klyczmy my nikoho, pidemo my samy?

A wrobimo topirczyki, ta zsamoji midy,

Jak naskoczym u wikońci, ta zaznajem bidy. (a)

Podstarość wyjął z zanadrza szkaplerz z relikwiją, pocałował go ze łzami, a żegnając drżącego karbowego wyrzekł:

— Jeżeli Bóg da wyjść cało, nie zapomnę Waszeci, żeś mię nie odstąpił w takiej godzinie!

I zaraz porwał latarnią, i wyszedł na ganek. Do sześćdziesięciu Opryszków stało na podwórzu zbrojnych. Jeden wyższy nad wszystkich głową, szedł na przód, i właśnie gdy wstępował na schody podniesionego ganku, spotkał starego Junoszę, który zdjawszy czapkę, uścisnął mu kolana, i przyświecał w pomroku. Ten hołd starca, podobał się zbójcy: dał znak swoim żeby się zatrzymali, a dobywszy pistoletu z zapasa, w którym dwie pary jaśniały bogato nabijane srebrem, i od-

wiodłszy kurek, wszedł sam za przyświecającym Junoszą.

W sieni brwi zmarszczył, ujrawszy wysokiego karbowego, i już wziął go na cel, gdy Podstarości wyrzekł, że to jest domownik i pomocnik jego. Uśmiechnął się *Dobosz*, gdy ten niski mu oddał pokłon, i wszedł do pierwszej komnaty.

Stół już był nakryty, zastawiony wódkami, miodem, wędlinami i nabiałem. Gospodyni, zostawiona przez pana domu, chyżo się krzątała, a dwie dziewczki wkrótce przyniosły ogromne baranie pieczenie, świeżo z różna zdjęte, i upieczoną na węglach świeżą kukurydzę.

Spojrzał z radością *Dobosz* na te przysmaki Górali-Rusi, a zdziwiony uprzejmością, wesoło rzekł do gospodyni, głaskając pod brodę.

— «*Dobre! dobre! na majesz za to!* i odjąwszy z kapelusza sznurek, na który nawlekał zdobyte złoto, zsunął trzy sztuki, i darował już daleko spokojniejszej niewieście.»

—«*A de wasza Pani?*»

Gospodyni wskazała sypialnię, a Opryszek zostawiwszy przy stole swoich towarzyszków, wszedł sam z gospodynią.

—Pani Karpińska, była blizką rozwiązania. Poznał stan cierpiącej, a uchyliwszy kapelusza :

— *Ne bijte sia pani, my wam żadnej szkody ne zrobimo!* rzekł i na palcach z cicha idąc, powrócił do swoich.

Gospodyni została: wkrótce pani powiła syna. Był to on sławny później *śpiewak-poeta, Franciszek Karpiński*. Płacz tego niemowlęcia, zwiastun jego przyjscia, mięszał się z nutą zbójeckiej pieśni, bo rozochoceni Opryszki i podpili, piosnką radość ogłaszali, jakby witając urodzenie wieszczka (b).

Dobosz uwiadomiony o urodzonym synu, za zdrowie jego spełnił szklankę okowity, i prosił matki, aby na pamiątkę, dziecię jego imieniem nazwała. Przyrzekła mu wtedy z bojażni, ale pobożna niewiasta, wołała grzech złamanego słowa przyjąć na sumienie, niżeli

dziecię ulubione, imieniem *Aleksego* nazywać, tém imieniem, które nosił straszny i groźny, wokolicy zbójca.

We dwadzieścia lat później, taż sama gospodyni, uczyła wnuczęta swoje ulubionęj piosnki:

*Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory:
Tam ja z moją Justyną,
Słodkie pędził wieczory: (c)*

którą młody panicz, jak nazywała, napisał, a ma on głowę nie lada.

* * *

II.

Na gołej skale, śnieg w bryle leżał, a na niej orzeł, szerokim dziobem, i ostremi szponami, roździerał zdobycz złowioną. Na nagiej skale poniżej trochę, na mchu zielonym stał Góral: wzrok przenikliwy puścił na dro-

gę stromą, wąską, i krętą, co szła od strony Węgierskiej. Tak stał spokojnie, że kto na niego spojrział z dala, nie widział człeka, lecz raczej drzewo.

Zdala w zakręcie coś zamignęło; Góral dotąd nieruchomy, skrył się nagle po za bukiem. Czy to nagłe poruszenie, czy łoskot broni co miał przy sobie, zestrąszył orła ze skały. Zaszumiał szerokiém skrzydłem, i tak prześpiewał w polocie.

«Za tém drzewem siedzi zbójca, chciwém okiém patrzy wciąż: czy nie zoczy podróżnego, by mu zdarł bogaty trzos. Po za pasem błyszczy srebro, co utaja broń straszliwą. Nie ulecę jeszcze tyle, by nie doszedł mój tu głos, a podróżny zubożony, na kolanach będzie błagał, by mu życie choć darował.»

* * *

Radość na twarzy Dobosza, malowała się widocznie, bo ukryty po za bukiem, widzi dobrze choć z daleka, że bogatą zdobycz schwyci. Na małych koniach, jechało kilku, nie zrachował jeszcze wszystkich, bo mu ska-

ła zasłaniała, ale po ubiorze poznał, że cały orszak podróżnych, musi mieć napchane trzossy, jechali bowiem Ormijanie.

Nie miał przy sobie więcej, jak jednego towarzysza, a podróżnych już naliczył dwudziestu i czterech. Swisnął z cicha, a Opryszek zaraz stanął przy swym panu. Dobosz mu szepnął słów kilka w ucho, i prędko zsuwa się ze skały. Na tém miejscu gdzie wódz stał, stanął jego wierny drużba, a obejrzwawszy strzelbę, podsypał świeżego prochu, i długą lufę skierował na orszak podróżnych.

Nie wiedząc co im zagraża, jadą *gęsiego* Ormijanie (d), jeden za drugim po wąskiej ścieżce. Nagle z za skały wyskakuje góral, i mocnym głosem zawoła: »*Dobosz! Dobosz!*« powtórzył to hasło drugi z wierzchołka skały, a przelękli wędrownicy ujrzeni z przestraszeniem, jak góral olbrzymi z wysoka, wziął na cel wszystkich. Dobosz nie czekał ni chwili, dobył z za pasa pistoletu, odwiódł kurek, i pierwszemu przyłożył do piersi. Zeskoczył

z konia Ormijanin, chciał prosić, lecz gdy spotkał wzrok Dobosza, spuścił oczy, zamknął usta, i z pod płaszcza podróżnego, odpiął łosi trzos ładowny, gdzie brząkało samo złoto.

Dwudziestu trzech towarzyszków zsiadło z koni, przejści strachem, i jak stado kuropatw, przed polotem jastrzębia, zwiesili głowy na pierś, i opuścili bezbronne ręce.

Każdy z Ormijan, widział prosto w serce wymierzoną lufę karabina Opryszka, stojącego na wysokości skały: każdemu w uszach brzmiała, groźna *Dobosza* nazwa: a sam Dobosz, jakby haracz dobrowolny, do każdego przystępując, odbierał trzosi bogate, i rzucał na wielki kamień, co sterczał przy drodze. Odarci Ormijanie, złupieni, na małej polance stanęli razem, czekając na nowy rozkaz zbójcy: ale Dobosz kiwnął ręką tylko, dając pozwolenie do odjazdu.

Zrozumieli ten znak niemy: radość ożywiła ich serca, dosiedli koni, i na szerszej drodze, sporym puścili się kłusem. Już opu-

ścili wysokie góry i ciemne lasy, a chociaż ujrzeni wsie rozsiane w dolinie nad Prutem, pędzili jeszcze z pośpiechem i strachem, bo każdy (jak później mówili), czuł oparty koniec lufy karabina, onego ze skały Opryszka, na własnym karku.

III.

W pobliżu Bołechowa (e), stoi dotąd cerkiew' mała, okolona smerekami, a stoi na skale wysokości. Obok cerkwi, w skromnym domku, mieszkał ruski Pop sędziwy. Słońce było na zachodzie, właśnie stał przy świętej cerkwi, i poglądał to na miasto jak na dłoni, to na rzekę by zwierciadło, co w zakrętach przerzyna zielone łąki i złociste pola. I tak stał w zadumie, że nie usłyszał nawet, jak z sąsiedniego lasu, sporym krokiem zbliżył się do niego Opryszek. Dopiero, gdy uczuł dłoń żyłastą, wspartą na swoim



ramieniu, odwrócił głowę, i po stroju i obliczu, poznał groźnego *pustaka* (f).

— Dobosz (tak mówił po rusku), przykazał, ażebyście wieszczę jutro po zachodzie, na trzydziestu pustaków mieli.

A wymówiwszy te słowa, spojrział raz jedno na miasto, i prędko znikł w lesie.

Nie daleko od tej cerkwi, bielił się dwór możnego szlacheica, którego po herbie *Rawiczem* zwano. Śmiały i odważny, już nie raz stawiał opór zuchwałemu Doboszowi.

Raz, (był to wieczór grubiej jesieni), wiatr zimny przewiewał, pan domu kazał dobrze okna pozamykać: już miał snem odpocząć, gdy ujrzał w jednej komnacie, niedomkniętą okiennicę. Spojrział przez szybę, i widzi pod murem zaczajonego Opryszka, co podważył drągiem, grubą z dębu okiennicę. W największej cichości, zebrał czeladź, domowników, i uzbroił należycie: pozamykano drzwi wszystkie dobrze, zostawując owe okno niezamknięte.

Czekali godzinę, czekają i drugą: spojrział Rawicz oknem, aż w lipowym szpale-rze, widzi bandę Opryszków. Czeladź i domownicy, podsypali świeżym prochem celne strzelby, pan domu z dwoma gajowemi stanął przy niezamkniętym oknie, reszta obsadziła drzwi i okna wszystkie, obszernego dworu.

Pogaszono ogień, ciemnota i cichość w dworze, uradowały Opryszków: to bowiem przekonywało, że mieszkańcy uspieni, ulegną ich zuchwałości, a łup bogaty, nagrodzi im trudy. Radość ich była większą, gdy spotkali czterech *Hajduków* (g) dworskich, (którzy przeszli na stronę Dobosza), świadomych wszelkich kryjówek dworu.

Rawicz zgrzytał zębami w uniesieniu, poznawszy własnych Hajduków, że go zdradzili. Spojrział na swoich domowników, a nie dostrzegłszy na ich twarzach bojaźni, gotowych wszystkich do zaciętej bójki, ochłonał z gniewu, i weselszy, odmówił z cicha: »*Pod Twoją obronę.*«

Rozkazy Dobosza były krótkie: sześciu najsmielszych stanęło pod oknem, gdzie okiennicy nie dozwolili zamknąć, i gdzie żelaznej kraty nie było. Ze dwór stał na wysokiem podmurowaniu, podsadzili odważnego Pyłypa na barkach, który, równie zręcznie jak prędko, roztworzył okiennicę, odwrócił się, i plecami uderzył silnie, a szyby i ramy wszczęt poszły, i stanął na oknie. Rawicz nie czekał ani chwili: zmierzył, a z połykiem na panewce, Pyłyp ugodzony w samo oko, zwinął się, i na znak padając zabity w ogród, poślukł ciałem swoich towarzyszy.

Za starą lipą stojący Dobosz, wydając jeszcze rozkazy dwudziestu Opryszkom, zadrzał na wystrzał, nie z bojaźni, ale z wściekłości, widząc Pyłypa, jednego z najodważniejszych zamordowanego. Przypada pod okno, i sam chce się wdzierać, gdy go drudzy wstrzymali, pokazując, że trzech już siedzi na oknie. Ile się uradował, prędej jeszcze zasmucił, bo kule domowników i czeladzi Rawicza,



zrzuciły wszystkich na ogród. Dwóch zabi-
to do razu, a trzeci w pół godziny skonał.

I szturm do drzwi głównych dworu, nie
udał się wcale: to prawda, że toporem, wy-
ważyli, lecz zaledwie mocne podwoje z łosko-
tem upadły, dwadzieścia kul ołowianych,
wstrzymały zuchwalców, pierzechnęli jak sta-
do szpaków. Dobosz poznał, że to nie prze-
lewki, świsnął całemi piersiemi, a gwizd je-
go pomimo gęstych strzałów i wrzawy, wszy-
scy usłyszeli. Opryszki trupów swoich i ran-
nych unieśli, a Rawicz nie mając dostatecznej
siły do gonicenia zbójców w gęstym lesie i po
górach, nie pędził za niemi.

Ostatni szedł Dobosz ze zwieszoną głową,
przeklinając nieszczęśliwą godzinę napadu.
Przysiągł srogą zemstę Rawiczowi, i żeby jej
dopełnił, na własnym pistolecie, w pośród
towarzyszów, przysięgę powtórzył. Dowie-
dział się o niej Rawicz, był przeto więcej
baczniejszy, bo wiedział, jak ważny u tych
łotrów, jest taki rodzaj przysięgi.



Rok już dobiegał, jak w ciągłej zostając obawie, zrywał się co nocy nie raz, pewien napadu, skoro usłyszał od silnego wiatru poruszenie okiennic. Raz wydał już był rozkazy do obwarowania, jak zwykle, swojego dworu, gdy na podwórze zajechał znajomy proboszcz ruski z pod Bolechowa. Bładość jego twarzy i pomieszanie, uderzyły Rawicza. Pop opowiedział z przestraczem, jakie dziś poselstwo odebrał od Dobosza, i że ma mieć na jutro wiecezrę gotową, na trzydziestu pustaków.

— To dobrze! to dobrze! jakem szlachcic! zawołał uradowany Rawicz, a pop z podziwem na niego poglądał. Miej wszystko gotowo jak kazali; i do ucha mu szepnął: przyjdę tam z swojemi ludźmi, dobiore śmiałych towarzyszków, i da Bóg, ze wschodem słońca, będę miał tę *satysfukcyję*, że każę tego łotra przed oknami swojego dworu powiesić. Niech patrzy na mój herb rodzinny, i pamięta, że z niedźwiedzych pazurów, nie tak łatwo się wymknąć (c). No, *verbum nobile*, jakem szlachcic, będzie dyndał.

I pełen radości, uspokoiwszy przybyłego gościa, starém miodem częstował, sam spełnił kilka puharów, i wysławszy tajemnie do najbliższej komendy po piędziesiąt towarzysów, marzył o zwycięztwie nad Opryszkami, i widział we śnie związanego Dobosza.

IV.

Zaledwie *Węgierka* świtać zaczęła (i), pięćdziesięciu towarzysów przybranych i Rawicz z całą swoją czeladzią i domownikami, osadzili skrycie dom Popa, i cerkiew' całą. Nikt ze służących cerkwi nie wiedział o tém, żaden odgłos, ani szcęk broni, nie zdradził ukrytych.

Rawicz zostawił w domu żonę, i troje małych dzieci, uzbroił sześciu pachołków, pod dowództwem Ruszczyca swego krewniaka doświadczonej wiary, kazał zamknąć i obwaro-

wać dwór cały, a gdyby ujrzeli Opryszków, gęsto sypać ogień, który miał służyć za hasło dla niego, żeby przybywał swoim na pomoc. Dwór ten położony na dolinie, i widzialny z cerkwi, był jeno o pół mili oddalony.

Przeszło południe, Pop kazał wieczerzę na 30 pustaków przyrządzić, wychodził często niespokojny, czy nie spotka którego, ale daremnie wypatrywał. Uderzyła godzina wyznaczona, słońce już zaszło za góry. Rawicz niecierpliwy, wyszedł tajemnie z kryjówki, stanął za ściérkiem i w zamysleniu spojrzął na dolinę. Wśród łąk zielonych bielił się dwór jego, nagle dym mocny zaciemnił cały, zadrzął, przeciera oczy, dach cały w płomieniach, a silny wicher rozdyma pożar: załamał ręce i wydał krzyk tak przeraźliwy, że czeladź, domownicy i towarzysze wybiegli razem z ukrycia. Ale Rawicz już był daleko, pędził jak jeleni po dolinie: spojrzeli wszyscy, jeden odgłos: « *gore! gore* » zawołałi, i w ślady pognali Rawicza.

Ciemno było w komnatach dworu Rawicza, młoda małżonka siedziała przy kołysce małej córeczki uspiionej, i przedła na kołowrotku, najstarszy syn w siódmym roku, machał kordelasem myśliwskim, siedząc na drewnianym koniu, a młodszy oparłszy bibliję z obrazkami na kolanach matki, przy świetle lampy, oglądał z ciekawością wizerunki.

Ruszczye zostawiony z szczęcią pacholkami, wyszedł na poddasze i wyglądał dymnikiem, ciekawy bitwy z Opryszkami, a pacholcy w izbie, obok sieni popijali kwartę miodu.

— Co ci to za djabeł, że jeszcze nie nie słyhać od cerkwi, rzekł stary Tadeusz, także i doba po temu, jeżeli prawdę ludzie gadali.

— Dyc poczka jma troche, uslyszemy nie dlugo grajkow, az sie okna zatrzesą.

Ruszczye w gęstwinie ujrzawszy kilku ludzi, zwrócił na nich całą uwagę, a przecież gdyby był spojrział w ogród, poznałby Dobosza, jak z gromadą swoją, z cicha się skra-

da, trzymając w ręku gorejącą głównię. I przystąpił blisko dworu, podsadzili go na barkach, silną ręką zerwał kilka gontów, rozdmuchał głównię i rzucił na nią pęk słomy. W mgnieniu oka suche i smolne gonty zajął silny płomień, a Ruszczyc jeszcze wzrok trzymał na dostrzeżonych Opryszkach w zarosłach. Nagle dym poczuł, obraca się i widzi większą połowę dachu w płomieniach, zbiega na dół, a krzyząc z gardła «*gore! gore*» wpadł do izby pachółków, a potem z nimi do komnaty pani Rawiczowej. Wystraszona niewiasta, porwała córkę z kołyski, Ruszczyc obu synów: i wśród walących się belek, wybiegli szczęśliwie do sieni. Rozwarto drzwi główne, jakież widok nowy! Stoi Dobosz z drużyną swoją. Strzelili pachółcy, zbladł pierwszy raz w życiu z przestachu Ruszczyc, a biedna matka, tuląc do siebie dzieci, upadła na kolana, i wyciągnęła do zbójcy białe dłonie, prosząc o litość.

Pożar niszczył gwałtownie drogie obicia, makaty, i bogate sprzęty, a klęcząca niewia-

sta zapomniała o wszystkiém, zasłaniając własném ciałem drobne dziatki. Widziała śmierć pewną, a mniemała, że kula choć ją zabije, nie urazi dziatwy. W tém świstanie kilkakrotne usłyszano, najprzód zdala, potem coraz bliżej: na to hasło, Opryszki zaczynają się cofać do lasu, a Dobosz ostatni ze sztucem dwururnym gwintowanym stanąwszy na krańcu boru, patrzył, jak ogień który rozniecił, dwór wspaniały zamieniał w rozwaliny i gruzy.

Bez tchu wybladły, z iskrzącemi oczyma, z pałaszem w ręku, strzelbą na ramieniu, wbiega Rawicz na dziedziniec, za nim pięćdziesięciu towarzyszów, i czeladź zbrojna, i domownicy. Pan dworu w płomieniach, nie biegł gasić pożaru, ale ze łzami, ścisnął żonę i drobną dziatwę. Jeszcze ta godzina nie nadeszła, w której wczora marzył o zwycięztwie i pochwyceniu Dobosza, a już nie miał gdzie marzyć, nie miał swego poddasza, bo mściwi Opryszki, i całe gumna spalili. Przy płomieniu swego mienia, Rawicz dziękując Bo-

gu za ocalenie żony i dzieci smutnie powtórzał pokręcając węża w zamyszeniu: «*Homo proponit, Deus disponit.*»

Dobosz tymczasem ze swemi Opryszkami przychodzi do wystraszonego popa, a dotrzymując obietnicy, zjadał smaczno mamałygę i kukurydzę, popijając wódką, i przeproszał zarazem gospodarza domu, że się spóźnił o dwie jeno godziny.



W.

Ciemny bór otaczał w koło, na mehu skalistym spoczywała drużyna Dobosza przy nanieconych ogniskach: w małych kociołkach, gotowali kukurydzę, a na drewnianych rozżnach, piekli tłustą baraninę. Zdala siedział zamysłony Dobosz, kapelusz który zdjął z głowy, świecił złotem, i błyszczał odbijając promienie zachodzącego słońca: bo sznur długi nawleczonych dukatów, okręcał go cztery

razy w około. Dziobeńka (*) u prostego Opryszka świecąca mosiężnemi guzikami, u niego świeciła równie złotem. Dwie pary pistoletów tureckich, bogato nabijanych srebrem, i nóż potężny, wyglądały z za szerokiego pasa: sztuciec dwururny leżał obok. Był zmęczony, rozpiął kołnierz od koszuli, i pokazał pierśi szerokie, wyniosłe, i obrosłe kudłami niedźwiedzia. Przeciągnął się kilka razy, jakby chciał nową giętkość nadać ciału, poziewnął, i ukazał zęby białe, jak kły dzika.

Powodzenia pierwiastkowe rozzuchwaliły śmiałka, mniemał, chociaż już raz odebrał naukę od Rawicza, że jeszcze lepsze zdobędzie łupy w przemożnym dworze Potockich, gdzie napad przedsięwziął. Rzuciwszy się niedbale na mech miękki, marzył o złocie i bogactwach, jakie zdobędzie: kwarta starego miodu i kilka szklanek wina, zdobycz piwnicy jakiegoś szlachcica, rozweseliły Opryszka.

Wstał, przeciągnął się raz jeszcze, a pa-

(*) Torba.

trząc na zachodzące za góry słońce, dał znak do modlitwy. Był to dzień sobotni, w którym zawsze jeden głośno odczytywał Ewangeliję po rusku, po niej modlitwę, a tę cała banda odmawiała zdjąwszy kapelusze. Uszykowali się w wieniec. Dobosz stanął w środku, a przy nim Opryszek umiejący czytać: wszyscy się pobożnie przeżegnali, i powtarzali słowa modlitwy. Amen! wyrzekł czytający. Amen odbiły lasy, i zabrzękła broń zabójcza, bo zaraz cichym pochodem zeszli na doliny.

Trzech Opryszków zostawionych na Prucie, z trzema łodziami podpłynęli w zarośla. Miesiąc w pełni przyświecał, a czarne lasy, gdzie niegdzie ubielone śniegiem, łąki zielone i pola, tak widne, jak gdyby, promień je słońca oświecał. Krywonos otulony kładą, stał pod wierzbą, natęzał ucho ciekawie w tę stronę, |gdzie Dobosz obrócił się ze swemi chłopcami, gdy dwaj jego towarzysze strudzeni, wyciągnięci w łodziach, smaczno zasnęli. Stojąc na straży, to spoglądał

na bory i góry onęj twierdzy Opryszków, to nastawiał ucho ku stronie zachodniej, skąd wkrótce usłyszy wrzawę, i strzały. Lecz próżno czekał, chłód wieczora zziębł mu ciało, otrząsnął z bundy i długich włosów kroplistą rosę, a oparty o pień wiérzby, uczuł że drzymota zamyka mu oczy (k). Lecz nie był to sen mocny, bo dwa dalekie najprzód strzały, a po nich kilkadziesiąt wystrzałów, i krzyki płynąc po rosie; uderzyły w jego ucho. Zadrzał zbudzony, przetarł oczy, a krzyki i strzały, nie ustają weale. Nie oddalały się ony, ale coraz zbliżały, i tak silnie uderzyły o wody Prutu, że dwaj Krywonosa towarzysze zbudzeni, stanęli na nogach. Ciemna chmura zaciemniła miesiąc, a w pomroku chwilowym, błyskały dalekie strzały. Krywonos, z lekkością wiewiórki wdarł się na buk stary, a rozgarnawszy rosochate konary i liść gęsty, wychylił głowy, i zapuścił w tamtę stronę wzrok sokoli. Nagle świśnieł przeraźliwie, i zahuknął jak nocny puhać: z trwogą usłyszeli tak złowrózbe ha-

sło, porwali wiosła, nożami odcieli sznury, któremi przywiązali łodzie, i w mgnieniu oka, na środek wypłynęli Prutu. Poszedł za ich przykładem Krywonos, zostawiając na los szczęścia swoich towarzyszków i pana.

Krwiał zbroczony, dwa razy cięty w głowę, z przestrzeloną ręką, uchodził Dobosz patrząc z wściekłością, jak liczni jego towarzysze, rozpierzchli się w różne strony. Najwaleczniejsi padli pod murami dworu, lub schwytni, jutro po wschodzie słońca, wysokiego drzewa, nie dojrzą zachodu, a ich ciałami wiatry pobujają. Ciężko szeroką i wyniosłą oddychał piersią, rozdarł na niej koszulę, bo mu jak pancierz żelazny ciążyła. Omgłałym krokiem postępował zwolna: za ledwie wyszedł na pole, spotkał wieśniaka z furą nawozu: już iść nie mógł: «*Bat'ku! ratujcie.*» wyjęknął i upadł.

Po szerokim gościńcu, kilku towarzyszków pancernych gnało na dzielnych koniach, i właśnie na onę ścieżkę zawrócili. Kmieć zobaczył ich zdaleka, lecz niezmieszany, szedł przy

furze, i zwołna poganiał konia. Towarzysze pominęli furę, rzucając wzrok bystry na wszystkie strony, Dobosza już nie było. A przecież, skryty na furze leżąc Opryszek omglały, gdy usłyszał szcęk dobrze mu znanej broni, sięgnął do pasa, pochwycił za pistolet, lecz ręka osłabła nie posłuchała myśli, i bezwładna opadła na powrot.

VI.

W pośrodku wyniosłych Karpat, jest wieś Górali-ruskich Hucułów, zwana *Kośniacz*, w okół zastłonięta czarnemi lasami. W pierwszej chacie znacznie oddzielonej od innych, mieszkał *Stefan Dzwinka*, Hucuł zamożny. Już od dawna sąsiedzi mówili, że Stefan ma tajemne związki z *Didkiem* (*) i Opryszka-

(*) z Djablem.

mi, a pierwszy i drudzy, dostarczają mu pieniędzy: jakoż na niczém nie zbywało Dzwince, a idąc za powszechnym zwyczajem, nie zważał wcale na miłosne związki żony z Doboszem, bo tam każda musi mieć swego *Lubasa*: wzgardził by mąż taką żoną, któraby go nie miała, bo to mu wskazuje, że się ludziom nie podoba. Hucuł zostawiając swoją niewiastę z *Lubasem* samotnie, naławszy w butelkę wódki, zdejmie z kołka kiełbasę, w dziobek włoży placek kukurydziany, i idzie znowu do swojej *Lubaszki*.

Dobosz od dawna ukochał Hankę, żonę Stefana Dzwinki: w długie miesiące zimowe, u niej najwięcej przebywał, bo wypraw w tę dobę nie przedsiębrał nigdy, lecz z odgłosem *Zazuli* (*), już jako pan lasów i gór, wychodził na nowe rozboje. Noc niewidna powiększała czarność lasów w około: było po północy, a w jednym domu Dzwinki gorzał ogień, choć we wszystkich chatach zagaszono

(*) Kukulki.

no: słyhać wewnątrz bieganie, i przytłumioną rozmowę. Hanka zapłakana, przewijała rany leżącego na słomie Dobosza, a stara baba, warzyła przy ognisku zioła i maści. Opryszek blady, osłabiony dużym krwi wpływem, przekleństwami i krzywieniem twarzy, okazywał ból niemały: wyciągniony, szeroką, obrosłą pierśią, oddychał ciężko. Baba przyniesione zioła, wlała mu w usta, a Dobosz wkrótce otworzył zaczerwieniałe oczy, i jakby ze snu zbudzony, odetchnął wolniej. Nie długo zasnął twardo, czuwała przy nim Hanka: baba przygasiwszy ogień, i zawarłszy dobrze drzwi chaty, zdrzymnęła się utrudzona pracą i niewczasem.

Równy ze świtem, już dwudziestu Opryszków, spoczywało na sianie w stodole Dzwinki, zgromadzeni blisko swojego wodza. Rozmawiali z cicka o nieszczęsnej wyprawie, co o trzydziestu przeszło braci, zmniejszyła się banda. Wyślani na zwiady, radosną przynieśli nowinę, że towarzysze pancerni, ślad ich zgubili, i pognali w inne strony. Jeszcze

słońko nie weszło na góry, a coraz więcej rannych Opryszków zgromadziło się z różnych zakątków: obecność Dobosza i nadzieja że wkrótce wyleczony będzie, ożywiła ich ducha, i wzmocniła upadłą nadzieję.

Nade dniem, na spoconym i zhasanym koniu, przybył i sam Stefan Dzwinka, powitał w swojej chacie znajomego gościa, i liczną jego drużynę. Nad wieczorem wsiadł na świeżego konia, a rzucając złowróżbę spojrzenie na chatę, gdzie Dobosz spoczywał: *»Nie długo tak będzie (pomruknął z cicha), przyjdzie tobie koniec,«* i popędził w las ciemny. Trzos ładowny pobrzękiwał mu złotem; a brzęk ten przypominał, do czego się zobowiązał. Za lasem, czekał na niego szlachcic, jak poznać z kubraka i szabli, z którym odtąd łącznie, nie wyrzekłszy słowa, w dalszą puścili się drogę.

Dobosz po czterech dobach niemocy, czuł się zdrowszy, już mógł żwawie chodzić: za ledwie przygoił rany, począł rozmyślać o nowej wyprawie, ale nikomu zamysłu swego

nie powierzał. Piątego dnia, na tych samych łodziach, które go zaniósły, na nieszczęsną wyprawę, przebył *Prut* brzemienny, bo dużo śniegów roztajało w górach. Dwudziestu towarzyszków miał jeno przy sobie, reszcie kazał czekać w gromadzie, na wzgórzu w lesie, po tamtej stronie rzeki. Lecz co samych Opryszków zdziwiło, to dzień, samo południe: a szli na wyprawę, bo nakazał im Dobosz świeżo strzelby nabić, poostrzyć toporki, i sam swój nóż długi, zaostrzył na granitowej skale.

Dotychczas wieś Borszczów istnieje nad *Prutem*: był tam dziedzicem poważny szlachcic, herbu *Topora*: towarzysz waleczny niegdys sławnej chorągwi Hussarskiej. On ze swoją czeladzią, bronił także dworu Potockich, przed kilką dniami, i najlepiej dał się we znaki Opryszkom. Dobosz postanowił sownie mu zapłacić. Jak dzikie koty, skradli się Opryszki po cichu wyniosłą kukurydzą, żaden odgłos nie zdradził ich kroków, nagle oskoczyli mały dworek. Kilka tylko jęków, przez

wybite okno, wiatr wyniósł na fale Prutu. Dobosz wybiegł z skrwawionym nożem, towarzysze z toporkami w posoce, wkrótce wybuchnął pożar, który spalił kilka trupów, cała rodzina Toporczyka zginęła.

Słońce w południe dojmowało skwarem, a dworek jeszcze się palił: przestraszeni kmiecie nie śmieli ratować, bo Dobosz stojąc na łodzi, paśł wzrok dziki nieszczęsnym pożarem: za późno uderzono w dzwon cerkiewny na gwałt, już tylko popiół z domostwa pozostał. Ale dzwon ten, na próżno nie zagrzemiał, przy pierwszym uderzeniu, łodzie z Opryszkami odpłynęły chyżo na drugą stronę.

VII.

Jakiż to tuman na polu? i jakie wrzawy radosne? Wśród doliny mała chata, zdala od niej dąb wyrasta stary, a pnia tak grubego, że czterech chłopów zaledwie objąć

go zdoła. Od wieków pasterze używali pod nim chłodu, a w ranki wiosniane, przymroźne, w ranki i wieczory jesienne, palili częściami pień gruby. Choć ogień go z dawna niszczył, i wypróchniał już nie mało, czołem zielonym od wieków, jeszcze potrząsał zuchwale. W około chaty, zbrojni na koniach siedzą sami towarzysze, w około dębu szlachta piechotna, z rusznicą na ramieniu, rozpalili ogień spory.

—Tam! do djabła! *peletego!* rzekł jakiś wąsacz wysoki, chyba bięsa że ma w ciele, na własne oczy widziałem, jak ten poganin wybiegł z tej chaty: chyba go święta ziemia pożarła.

—I jać toż samo (odrzekł mu drugi), widziałem, żywie Bóg prawda. Dobosz! o przekłety Dobosz! co naszego Toporczyka z całym rodem wymordował. O! gdybym go raz pochwycił, takbym w pieluchy okręcił, żeby mu kosteczka każda, w drobny mak się pokruszyła.

I wyciągnął żyłaste ręce, potrząsał niemi groźnie, i zgrzytnął zębami.

—Ej! tu nie ma co gaworzyć! poszukajma jeno pilnie, czy nie znajdziem tu gdzie szpary, w którą się ten łotr zacisnął, bo gdy zechce, w taką jamkę, gdzie jaszczurka się weśliźnie, to on wlezie, i prześpi noc całą.

Gdy jedni poczęli troskliwie wyszukiwać jakiej jamy, pozostali przy ognisku dokładali coraz suszu i polan. I towarzysze konni, zmordowani pogonią, nie przespawszy całej nocy, puścili konie na trawę, zeszli się do ognia, a podłożywszy siodła pod głowy, wyciągnęli zmęczone ciała. Wiatr podmuchiwał w ognisko, a to dotąd mocnym buchające płomieniem, powoli zmniejszało się coraz. Stary Jędra z Załucza, stojąc najbliżej dębu, którego pień gorzał, słyszał kilka razy oddech mocny, prawie przy swoim uchu, a nawet raz mocne zakrztuszenie: odwrócił głowę, ale nikogo za sobą nie ujrzał. Wziął to za głos jednego z swoich towarzyszków, co

zasypiali smaczno przy ognisku, i więcej nie dawał na to baczenia.

A jednak, gdyby pochylił głowy ku dębu, usłyszałby w pniu jego szmer cichy, czasem jęk mocniejszy, lub ciężkie westchnienie: tam stulony stał Dobosz, połykając dym czarny. W tym pniu, już nie raz znalazł uchronę przed pogonią i omylił zajadłych gońców, co mu śmiercią grozili: ale teraz był w najgorszym położeniu: pień w części od spodu zwęglony, zajął się od blizkiego ognia, a wiatr żar mocniej rozrzarzał: dym dusił mu oddech: chociaż mu nie tyle dokuczał, jakby komu innemu, nawykły był z młodu do niego, tyle lat przesiedziawszy w dymnej chacie. Jednak teraz zmęczony, z bijącą piersią, nie mogąc zachwycić świeżego powietrza, czuł mocny ciężar, co mu piersi gnecie. Czuł okropne położenie swoje, a jednakże dym błogosławił, bo on go jedynie zasłaniał od wrogów, co w około zasiedli. Uciekać nie mógł, lubo wszystkich pieszych by prześcignął, konni towarzysze, wnetby dopędzili: z całą więc odwagą cze-

kał co mu los zdarzy. A pień jego ochrona jedyna, żarzył się coraz silniej: zobaczył że mu się tłą chodaki łyczane: rozdarła koszula, nie zasłaniała zarosłych piersi: płomień co buchnął nagle, zapalił mu zarost: choć ból czuł piekielny, szeroką dłońią przygasił pożar nagły, i ochronił brodę, wąsy, i głowę od spalenizny. Od spodu, czuł coraz mocniejszy ogień, a Opryszek czasem jeno cichym jękiem, alboli mocnym westchnieniem, objawiał ból, jakiego dotąd od żadnej rany nie doznał.

— Szukający jamy na polu, albo kryjówek Dobosza, wrócili z próżnej wyprawy, po spoczynku towarzysze pancerni dosiadłszy koni, ruszyli klusem szerokim gościńcem, a szlachta piesza, wolnym krokiem zaczęła się rozchodzić.

Wtedy z pnia dębu, ostrożnie wysunął Dobosz skaleczoną nogę, i rozrzucił ognisko, poczem wychylił głowę z przepalonym włosem, z iskrzącymi oczyma, i odetchnął świeżym powietrzem: tak był go łakomy, że dłu-

gą chwilę z roztwartemi ustami, chwycił chciwie zbawczy żywioł. Wychylił się więcej nieco, i spojrział na dolinę w około: jazdę tuman kurzawy zakrywał, szlachta już nikła w lesie: w on czas wyskoczył rzeźwo, przesadził stos tłący jeszcze, i upadł bólami zmęczony na zieloną murawę.

VIII.

Słabo tłało na kominie w chacie Stefana Dzwinki, kędy Dobosz rozweselony zabawiał się z Hanką. Stary miód w gąsiorze, i żytnianka, dodawały wymowy i radości Opryszkowi. Ale jego *Lubaszka* ukochana Hanna, nie dzieliła téj radości, z niepokojem obracała oczy na drzwi zamknięte alkierza: a kiedy Dobosz pytał o powód smutku, z bojaźnią wyrzekła: «*myślę, że umrę nie długo*»

— Ho! ho! zawołał zbójca, umrzeć każdy musi, ale mię nikt nie zabije, mojej skóry

nie przebije na śmierć kula, chyba!... i zamikł zmarszczywszy czoła.

Hanka wzrok martwy do niego zwróciła, i drżącą ręką dolewając w kubek drewniany starego miodu, nie szczędząc pieśczoł zapytała: «Jakaż cię kula zabije?»

Dobosz wychylił miód podany, a ocierając wąsy, odrzekł: «Strzelbę, trzebaby nabieć srebrną kulą, na jej wierzch położyć 9 ziarn pszenicy, któreby Pop poświęcił, i odmówił 12 Ewanielij nad niemi.

—Taka więc kula zabije cię pewno?

Opryszek kiwnął głową, gdy w tej chwili usłyszano poruszenie w komorze. Dobosz zerwał się na nogi. Hanka zbladła: otworzył drzwi przymknięte i z pistoletem w ręku wpadł do komory, ale ujrawszy Stefana Dzwinkę jak wyciągniony na słomie chrapał spokojnie, wrócił na powrot.

Zaledwie mrok padać zaczął, opuścił chatę Stefana, a gdy stanął pod Czarną-górą, świsnął na cztery strony świata, i stu młodców zbrojnych stanęło w pogotowiu na roz-

kazy wodza. Nie rzekł i słowa, wskazał na doliny, i w milczeniu z gór zeszli wąską i stromą ścieżką.

A w chacie opuszczonej rzewliwie płakała Hanka. Stefan z Lachem, dawniej znajomym sobie, co z wyłotów i szabli wyglądał na szlachcica, rachowali złoto. Lach pocieszał gładką Hucułkę, i wkrótce korale, wstęgi, i paciorki, otarły łzy pięknej.

Całą noc topili talary, po usilnej pracy ulali trzy kule: szlachcic równo ze świtem opuścił chatę, a Dzwinka z kulami i garścią pszenicy, poszedł do cerkwi. Hanka przed zwierciadłem, co jej Lach darował, próbowała korali, wstąg i paciorków z radością, lecz gdy usłyszała dzwon cerkwi, zadrżała, jakaś myśl okropna napełniła jej głowę, uknęła przed bohomazem i cicho odmawiała modlitwę, snadź modliła się szczerze, bo twarz białą zrosiła łzami.

IX.

Z dalekich stron Pokucia, śpieszyła szlachta i gromady wieśniaków na jarmark do Bolechowa. Pędzono stada rosłych Besarabskich wołów, koni, skrzypiały kryte mazie, a telegi i kolasy, pełne mieszczan, szlachty, i przybranych szlachecianek, napełniły cały gościniec. Kupcy ze Lwowa, i Bukowiny, rozkładali na rynku towary, a przy cerkwiach po lwowskim jarmarku, rozłożyli kramnicy *juraszki* (1). Wszystkie gospody przepelnione były: nikt jak pamięcią zasięgnął, nie widział w Bolechowie tak świetnego jarmarku. Kobziarze, Lirnicy, napełniali śpiewem i gędbą rynek i smętarze, a ślepcy, z sakwami na plecach, oprowadzani przez młodych synów, nucili pieśni nabożne.

W największej gospodzie, co wśród miasta stała, najznamienitsi goście zasiadli. Dziedzice wsi, dzierżawcy i ci co przybyli ze stadami wołów, i końmi. Tu się

umowy zawięrały, sprzedawano, kupowano, a złoto i srebro brzękiem swoim górowało nad gwarnym hałasem, szczękiem szabel, co u boku każdego szlachcica wisiały, i brzękiem szklanek, butelek, które wypróżniano ochoczo. Dwa antały węgrzyna już wypróżniono, a beczka starego maliniaku była na schyłku. Żyd arendarz uwijał się żwawo, a ledwie mógł wystarczyć nalewać, podawać, i zgarniać pieniądze. Kręcąc się po izbie szerokiéj, dwa razy już Hucuła, co mu zawadzał, wypchnął za drzwi, a Góral wracał zawsze, jakby przeglądając w izbie gości i rachując pieniądze.

Właśnie *Abraham czarny* (tak zwano arendarza), przeliczał z garści złoto, gdy podniosłszy oczy, spotkał wzrok dziki Hucuła, co tkwił na *czerwońcach* (*). Żyd zadrżał, nie rachując dalej, wsypał w kieszeń, a przystąpiwszy do Górala, nalał mu szklankę wódki i rzekł.

(*) Na dukatach.

—No! pijcie kmotrze, a idźcie sobie, bo tu ciasno.

—Ne bude tak! odrzekł z uśmiechem, i wychyliwszy szklankę, wyszedł do sieni.

Na środku rynku, powstała kłótnia, ten sam góral pochwycił za worek żydowi, gdy ten zaczął wzywać pomocy, uderzył go silnie obuchem toporka, a żyd upadł krwią zlany. Szlachta przytomna, i towarzysze z chorągwi pancernej, przysunęli się do górala, poczęli mu grozić, ale ten odwinął bundę, dobył z zapasu parę pistoletów, i wziął na cel najbliższych. Rozskoczył się tłum bojaźliwie, i ci nawet co dobyli szabel, a Hucuł zahuknął trzy razy. Nagle ze wszystkich stron zabrzmiały głosy: »*Dobosz! Dobosz!*« i stu młodców ze strzelbami na ramieniu, a toporkami w ręku, otoczyli rynek cały. Ten głos, to groźne imię, rzuciło przestрах na całe miasto: *Dobosz! Dobosz!* wołano zewsząd, a kto dosiadł konia, telegi, albo kolasy, uciekał co żywo. Uderzono na gwałt w dzwony wszystkich cerkwi, a trwożliwe

tłumy jeszcze strach większy przejął. Kilkadziesiąt szlachty i towarzyszków pancernych, wybiegło na najbliższy smętarz, zawarli wrota, a ukrywszy niewiasty w cerkwi, zagrozili dzielnym oporem.

Z wielkiej gospody wszystko uciekało, ale nie wielu mogło wybiedz. Abraham czarny, stulony w kącie, przycisnął drżącemi rękami niepróżne kieszenie, nie zwracając nawet oczu na trzosa, i rozsypane na stołach złoto, które w powszechniej trwodze zostawiono, ratując swój żywot.

Kilka strzałów rozpędziło tłum na rynku: nagle roztworzyły się drzwi gospody i Abraham czarny poznał pierwszego Hucuła, co wchodził na czele kilkunastu Opryszków. Był to on Góral, co oczyma rachował złoto, i któremu dał szklanekę wódki.

Na dany przez niego rozkaz, dwóch Opryszków wyciągnęli Abrahama z kąta, a gdy ten upadł na kolana, przyciskając kieszenie tak silnie, jakby ulatującą duszę z ciała wstrzymywał, Dobosz oderwawszy ściśnięte ręce,

oberzwał mu obiedwie kieszenie i puścił swobodnie.

Kiedy jedna część zbójców plądrowała swobodnie, gospody, miasto i kramy; druga znaczniejsza ołoczyła smętarcz, kędy się zamknęła szlachta i pancerni. Opryszki schronieni za domami bezpiecznie brali na cel oblężonych: szlachta i pancerni chociaż lichą ochronę mieli w słabym parkanie, dotrzymywali dzielnie pola.

Już padło kilka trupów na smętarczu, już i trzech Opryszków wyzionęło ducha od szluców pancernych, gdy pokazał się Dobosz na czele licznej gromady. Wywijał nad głowę toporem, i pokrzykiwał na swoich, a Opryszki biorąc jego imię za hasło, szli zapamiętali. Wiedział Dobosz, po jaką sięga zdobycz. Większa część złota niż ta, którą zdobył, spoczywała w trzosach oblężonej szlachty.

Bierz go na cel, jeno dobrze, zawołał na swoich rotmistrz pancerny.

— *Peletego!* na mego patrona! krzyknął

wąsały Janusz, szlachcic z *Zahajpola*, jeżeli ja go z mojej *Jordanki* (m) nie ubiję, to mu i biés nie da rady.

I przez furtę wysunął długę lufę, zmierzzył, zagrzmiął wystrzał, a Dobosz podskoczył, i przykląkł.

—Ognia! na tych pogan, Peletego! wołał Janusz, nabijając z pośpiechem swoją jordan-kę. Błysł ogień ze strzelb dwudziestu, ale Opryszki już nie bawili, porwali rannego Dobosza, i ukryli się prędko za najbliższym domem.

Wkrótce wybuchnął pożar w tém domostwie, dalej na rynku i z tyłu cerkwi, a gdy mieszczanie spieszyli ratować miasto w płomieniach, Opryszki unosząc na barkach swego wodza, znikli w górach obciążeni bogatą zdobyczą, pędząc przed sobą stado tłustych wołów, wiele mazi z towarami, i kolas szlachcie zabranych.

X.

Pod zielonym gajem, chodzi Dobosz młody, chodzi Dobosz po dolinie, po zielonej morawinie, na sopiłce (n) wygrywa, a na nogę napada: toporcem się podpiéra, i na chłopców pokrzykuje.

—»Oj! wy chłopcy! wy młodcy! zbiegajcie się *Sinogórcze*: będziemy mieli radę spółem, kędy rabować pójdziemy, czy *Bolechów*, czy *Dolinę*. Gdyśmy Bolechów rozbijali, srebro złoto rozsiewali, srebro złoto rozsiewali, miód i wódkę rozlewali. Oj! wy chłopcy, wy młodcy, wszyscy wraz pójdziem w godzinę, wstańcie raniutko, ubierzcie się ładnie: w skórzane postoły, w wołoki wstążkowe, bo pójdziemy do Stefana Dzwinki i do jego krasnej żonki.

OPRYSZKI.

Oj Doboszu! ty panie nasz, tam nas spotka przygoda.

DOBOSZ.

Bez obawy na mnie uważajcie , po dwie kule nabijcie, stańcie chłopcy pod wrotami, a ja pójdę pod okno.

* * *

(Dobosz bijąc w okiennice chaty Dzwinki).

Dobry wieczór Stefanowa, a wieczerza czy gotowa, czy śpisz serce, i czy czujesz, czy Dobosza zanocujesz? czy śpisz serce, czy nie czujesz, oj! czy sama ty nocujesz?

STEFANOWA *(zewnątrz chaty).*

Oj! ja nie śpię, wszystko czuję, hajdamachy nie przenocuję! oj, ja nie śpię, wszystko czuję, bo wieczerzeńkę gotuję, a wieczerza niegotowa, bo Stefana nie ma doma: a ta wieczerza, będzie wszystkim ludziom dziwna.

DOBOSZ.

Czy wynijdziesz mi otworzyć, czy cię mam dobywać?

STEFANOWA.

Nie każę ja się dobywać, nie pójdę sama otwierać, a trzebaby dużo siły zażyć, by drzwi te moje rozłupać.

DOBOSZ (z gniewem).

Puszczaj mię suko do chaty, żeby drzwi nie rozwalać.

STEFANOWA.

U mnie drzwi cisowe, a zamki stalowe.

DOBOSZ.

Nie pomogą zamki twoje, jak podłożę plecy swoje.

* * *

I począł się Dobosz dobywać, a zamki odleciały: jedne drzwi już otworzył, drugie nieco odchylił, gdy Stefan Dzwinka, w serce go srebrną kulą ugodził.

Upadł Dobosz, ale zaraz powstał, wyszedł z chaty, lecz nie mógł i kroku postąpić.

»Potrzeba chłopcy uciekać! Oj wy chłopcy, wy młodcy, weźcie mię na toporce,

przybliżcie się bliżej k'mnie, o jakże mi ciężko... Nieście mię na *Czarną-górę*, i połóżcie na kłodzie, będzie dać wiater zimny, i ochłodzi. Na *Czarną-górę* zanieście, na drobny mak rozsiejcie: niech się Lachy nie zbytkują, mego ciała nie ćwiertują. Weźcie mię na *Czarną-górę*! tam złożcie pod bukiem, tam się rozdzielim na zawsze... A wy chłopcy! wy młodcy! nie zawierzajcie niewieście: bo u niej tyle wiary, jako na téj wodzie piany: ona zabierze srebro i złoto, i zdrowie odbierze.

OPRYSZKI.

Oj Doboszu! czemuś jęj nie zabił?

DOBOSZ.

Jakżem ją miał zabić, kiedy kochałem.

OPRYSZKI.

Oj Doboszu! ty panie nasz, wielka to dla nas przygoda: gdzież my będziemy zimować? gdzie latować? Poszlibyśmy do Węgier, w daleką Ukrainę, ale i tam sobiem przeszko-

dzili, bo chcieli kniazia zabić, a kniahynią porwać z sobą.

DOBOSZ (*konając*).

Będziecie zimować, i te lato latować w Stanisławowie (e) na ryneczku, w ciężkich dybach i żelazie, tam będziecie latować, tam będziecie zimować, a ptaki wasze ciała rozewrą.

* * *

Wpadli Lachy, wszystkich wzięli, ręce na krzyż powiązali, przy swych koniach popędzali.



PRZYFISY.

Niniejsza powieść o Doboszu, jest wiernie osnowana na podaniach ludu, a którem sam zbierał, w miejscach gdzie same wypadki zaszły.

(a) objaśniam tę pieśń tłumaczeniem, które czytelnik znajdzie w obrazie: «Hucuły.»

(b) «Franciszek Karpiński urodził się w Galicyi, w Kołomyjskim powiecie, we wsi dziedzicznej Hołoskowem zwanéj r. 1741 dnia 4 Października. Rodziców miał Jędrzeja i Rozalię Karpińskich, ludzi nie tak z majątku i dostojeństw, jak raczej z enoty okolicznie znanych. Dzień jego urodzenia pamiętnym się stał rodzicom, przez napadnięcie na ich dom, zawołanego pod ów czas w tamtych stronach rozbójnika Aleksego Doboszezuka. Ojciec ostrzeżony o rychłym nadejściu tego nieprzyjemnego gościa, odbiegł domu z obawy utraty życia, zostawiwszy atoli rozporządzenie, aby go jak najgrzeczniej przyjęto. Jakoż ujęty dobrem przyjęciem rozbójnik, nie tylko że żadnej szkody nie uczynił, ale nadto odchodząc, dał pia-

stunce trzy czerwone złote, upraszał oraz matki, aby dziecię nowo-narodzone, imieniem jego przeważała, co jednak nie nastąpiło.» (*O życiu Fr. Karpińskiego wiadomości zebrane przez Ks. A. Kornilowicza w Wilnie 1857*).

(c) Piosnka ta należy do pierwszych prób Karpińskiego, w on czas gdy się kochał.

(d) Szyk jazdy jeden za drugim, czy w linii prostej, czy w półkolu, technicznie nazywał się u nas «*gęsiego*.»

(e) Bolechów-Dolina, dwa miasteczka w pobliżu siebie, w cyrkule Strzyjskim.

(f) Objąć muszę ten wyraz *Pustak*, u nas nieznaną w tym znaczeniu, a u Rusi rzadki. Wyraz ten pierwszy raz usłyszałem, od swego przewodnika Hucul, gdy odwiedzał Czarną-górę. Opowiadając mi wiele szczegółów o Doboszu, jak z tej góry wysyłał rozkazy na doliny, ażeby mu wszystkiego dostawiono, grożąc napadem stu swoich młodców, dodał w końcu, że bandę Dobosza prędko rozpędzono «*Szob ne pustowali w lisi*.»

(g) Panowie w górach trzymają z Huculów młodych uzbrojonych Hajduków: ci często sami pomagali Opryszkom w napadach na dwory.

(h) Porównanie do herbu Rawicz, gdzie jest wyrażona panna na niedźwiedziu siedząca.

(i) Zorze w górach od strony Węgier «*Wę-
gierki świtaniem*» zowią.

(k) Ruś, loicznie oddziela *drzymotę* od snu:
słyszałem piosnkę jedną, co się zaczynała:

«*Chodyt son
Kolo wikon:
A Drymota,
Kolo płota.*» etc.

(l) *Juraszki*. We Lwowie na wyniosłym wzgó-
rzu, stoi kościół Sgo Jura: tam w czasie odpustu,
rozkładają kramuicy naczynia drewniane, glinia-
ne, do użytku i zabawy, i stąd te nazywają «*Ju-
raszki.*»

(m) Rusecy myśliwi, chcąc mieć dobrą strzel-
bę, zaraz po poświęceniu wody na Jordan, z na-
bitą strzelbą przychodzą w to miejsce, zanurzają
lufę do połowy przy odmawianiu tajemnych for-
muł, a potem wystrzeliwają nabój. Strzelbę ta-
kową zwą «*jordanką.*» W naszym Podlasiu, my-
śliwi Rusecy, pokazywali takowe strzelby.

(n) Gatunek fujarki używanéj na Rusi.

(o) Stanisławów, piękne miasto, stołeczne cyr-
kułu tejże nazwy, gdzie zwykle wieszają Oprysz-
ków.

Roździał ostatni, jest wierném tłumaczeniem
pieśni ludu o Doboszu. Czytelnik oryginal tój

pieśni znajdzie w obrazie «Huculy» gdzieśmy zamieścili i resztę do Dobosza objaśnić. Nie mogę się wszakże wstrzymać, abym dumki o «Doboszu» (według układu i miary pieśni ludu), Augustyna Bielowskiego, jednego z najznakomitszych poetów naszych, tu, nie zamieścił.

*Po pod gaj zielony chodzi,
Hajdamackiej wódzca młodzi:
Nogę wspiera na toporzec,
Wzrok w daleki sięga dworzec,
Łoskot wstrząsa poloninę,
To grzmi Dobosz na drużynę.*

*«Nuże! nuże! Czarnohorce
Za wołascki, za toporce,
Lekkie skórnice, pas szeroki,
I jedwabne przywdziać włoki,
I kindżały, i rusznice,
Wraz nam, wraz, na wieczornice.»*

— *Oj! Doboszu! ty nasz panie,
Zła to pora: jęczą kanie,
U stóp mroczy się dąbrowa,
Nad głowami dzieciół kowa,
Dymią góry, szumią brody,
Na zasadzki, na przygody.*

— *W* strzelby dwie kule, dwa noże
Za pas, resztę topor zmoże:
Czy się zdarzy, czy nie zdarzy
Tu wam widzieć, tu, w tej twarzy,
Kto ją zaćmi, temu wtulę
W pierś dwa noże, w łeb dwie kule.

O północy przez kosmacze,
Rozbudzona wrona kracze,
U Stefana Dźwinka żony
Miga w dworcu żar stłumiony.

— Zająć drogi, i rozdroża;
Tużes, tużes, moja hoża!
Ucisz, utul, serce młode,
Daj ochłodę, daj osłodę.
Spędź tęschnotę, zniszcz tę trwogę,
Czy śpisz?

— Nie śpię, spać nie mogę!
Jesteś sama?

— Tak, przed chwilką...
Teraz sama, sama tylko.
W noc i tucze biegnę do cię.
Sąż rozkosze, sąż łakocie?

— I łakocie, i rozkosze,
*W*net zastawię, wnet zaproszę.

Uczęzę hojno, przyjmę ładnie,
A do serca uczta wpadnie,
Bo rozkoszna, bo miłosna,
I w świat wszystek będzie głośna.

— Odchyl, odchyl, drzawi zawisne,
Niech obejmę, niech uścisknę.

— Zaraz, zaraz, ach tą razą,
Twarde dzieli nas żelazo!

— Ale twardsza moja ręka,
I stał przed nią, i mur pęka,
I pryskają wszczęt zameczyśka.
Czy odmykasz, czy niech pryska?

— O! dłoń moja, ni odmyka,
Ni uściśnie rozbójnika.

Z bark rześiste zmiótl kędziory,
Trzeszczą odrzwia, i zapory,
I z za odrzwi celne strzały,
Wraz Dobosza pierś strzaskały.

— Nuże! nuże Czornohorce,
Pochwyćcie mię na toporce,
Niech nie ginę śmiercią marną,
Zanieście mię w Górę-czarną,
Tam, na górze, tam, daleko,

*Niech mię w drobny mak rozsieką:
Kiedy w naszej Czarněj-górze
Zadną wichry, wstaną burze,
Niech z burzami przez doliny,
Grzmię i straszę wraże syny.»*

— *Oj Doboszu, ty nasz panie,
Cóż się teraz z nami stanie?
Gdzie noclegiem, gdzie gospodą,
Gdzie nam złożyć głowę młodą?*

— *Tam, od wschoda do zachoda,
Jak świat, wielka wam gospoda,
Jasna, piękna, i przejrzysta,
Niekielznany wiatr tam śwista,
Nieścigniony ptak tam hula:
Ni was szabla, ani kula,
Ani brudna mogił córa,
Nie tknie ziemia, ani chmura.
Tylko z lekka nocną ciszą,
Wiatry do snu zakolyszą,
Rankiem zlecą rody ptasze,
To w gościnę, to na paszę.*

W przypisie do tój dumki, pisze Bielowski, że nie daleko wsi *Barwinkowy* w *Kołomyjskiém*, jest kamień zwany od ludu: «*Kamieniem Dobosza.*»

II.

Zalotnik Marcowy.

GAWĘDA Z XVII WIEKU.

GAWEDA & KYI WIRI

I.

Jako! Wasze panie Michale, w tym wieku chceta się żenić? nie pomnicie *«że kiedy stary z młodą się żeni, tedy jakoby w stary wóz szalone konie założył.»* Trudna zgoda, *z ogniem woda!* Młoda zawsze ma prawdę, w niczém dla ciebie reju nie będzie, boć *szafrańcu nie przetrzesz, a baby nie przepiesz:* wtedy, *biada temu domowi, gdzie krowa dobędzie wołowi:* bo zawsze *tam wiercimak błędzi, gdzie donica rządzi.* Hem! Wasze panie Michale, patrzyta na mię złém okiem, by na táfara w jassyrze, wierzyta jedwabnym słówkom krasnej dziewczki, aleć to od dawna

nie napróżno powiedziano: «*Co ci powie bia-
łogłowa, pisz na bystrój wodzie słowa.*» Świę-
tej pamięci rodzic mi jeszcze mawiał: «*Ani
na wsi, ani w mieście, nie trzeba wierzyć nie-
wieście.*

Na taką przecież *perorę* pana Malchera
stryjecznego brata, pan Michał milczał upor-
czywie, pokręcając szpakowatego wąsa, co
tém więcėj mówię, jątrzyło i zapalało.

— Ptu! na marę! zawołał pan Malcher,
chodząc szerokim krokiem po komnacie, i
podciągając w gniewie co raz pasa: milczysz
jak zaklęty, boć poczuwasz się do złego. To-
bie w tym wieku brać w dom dziewczkę, a prze-
cież, choć *ma włosy długie, ale rozum krótki.*
Kto chce się żenić, powinien mieć naturę twar-
dą, a dobrze z początku żoneczkę karcić, aby
znała co pan w chałupie. Dobre były czasy
one, po których zostały przysłowia:

*Orzech, stokwisz, niewiasta, jednym kształtem żyją,
Nic dobrego nie czynią, kiedy ich nie biją.*

* * *

*«Kto pije, ten tyje. kto miłuje bywa zdrów,
kto bije żonę, będzie zbawion.»* (*).

Pan Michał, jakoby nie słyszał mowy brata, powstał zwolna i przeszedł do jadalni, gdzie zwykle z przyjacielem domu, jako zwano *rezydentem* o tę porę, grywał w tryszaka. Malcher splunął, pogłaskał w górę czuprynę, schował obie ręce za pas, co zawsze było oznaką gnięwu, i poszedł w milczeniu za nim, a zastawszy brata z panem Jaksem rezydentem zajętych tryszakiem, pomruknąwszy na wpół głośno:

*Kto miłuje rzewnie,
To szaleje pewnie:
Kto się kocha powoli,
Tego głowa nie boli.*

Usiadł w kącie jadalni, wysunął małą szachownicę, i przywołał starego rotmistrza z chorągwi Ussarskiej, zawołanego gracza w szachy. Kiedy tak się grą zajęli, wpadł za-

(*) Przypowieść S. Rysińskiego 1619 r.

dyszany pacholek donosząc, że pani Cześnikowa z panną, i całą rodziną, już jest przy granicznym kopcu.

Pan Michał jak piorunem rażony na taką niespodziankę, co rychlej schował wielką papierową tabakierę, kazał podać sobie żupan świeżej mody: Jaksza pomagał mu w przebraniu. Pan Melchior, stanął w czerwieni jak kogut do boju, rozdrażniony przybyciem nagłym niewiast, a co więcej go rozgniewało, że od nieskończonej partyi szachów uciekł i stary rotmistrz, dla poprawienia ubioru i poczernienia sumiastych wąsów.

Cała służba pana Michała wystrojona, oczekiwała przed gankiem na przybycie wielmożnych gości. Jaksza ich porządkował, i jako mówił: *ustawiał w ordynek*. Rotmistrz z uczernionym wąsem, i ogromnemi ostrogami stał na czele, aby podawać damom rękę: Pan Michał na progu sieni, wzruszony nie mało, oczekiwał swojej przyszłej, a Malcher? Ten nie wyszedł ani do sieni, ani na ganek, ale w złości poprawiał pasa, i przed zwier-

ciadłem, przy pomocy śliny, ustawiał na głowie *czub szwedzki*.

Na zegarze ściennym właśnie wykukała kukawka jedenastą godzinę w poraniu, gdy karetą wspaniała pani Cześnikowój, stanęła przed gankiem. Jaksza z rotmistrzem wysadzili najprzód panią Cześnikową, potem pannę Ewelinę jej córkę, a narzeczoną pana Michała, potem pannę Matyldę starą ciotkę, potem pannę Annę starą pokojówkę, potem dwie służące, potem dwa szpice, dalej jeszcze opasłego i sapiącego mopka murzyna, następnie ciotki papugę, w jednej klatce, a parę kanarków w drugiej: następnie pudła, pudełka, pudełeczka, szkatuły, puzderka, worki i woreczki, co blisko godziny zabrało całej służbie dworskiej, nim je poznosili. Pan Michał, ucałowawszy rękę Cześnikowój i narzeczonej, powiódł matkę na przód, a Malcher udobruchawszy się wiele, okazał się nagle w sieni i przeprowadził Ewelinę.

— Mój drogi Stolniku, rzekła Cześnikowa do pana Michała, chcieliśmy ci zrobić miłą

niespodziankę. Otóż jesteśmy. Wracając ze stolicy, zboczyli'm umyślnie, by razem zjeść gąskę na Śgo Marcina, bo to dziś tego patrona.

— Miła mi Asindzki Dobrodziejki (*odrzekł pan Michał z ukłonem*), każda łaska, a z czémże radość porównać, gdy raczyłaś pamiętać, iż w dniu dzisiejszym jestem pozbawiony gospodyni, która tak sławnie wróżyć umie, o ciekawej dla każdego rolnika zimie.

II.

Godzina obiadowa nadeszła nie długo: na pierwszym miejscu posadzono panią Cześnikową i Ewelinę, obok siedział pan Michał z jednej, a panna Matylda z drugiej strony, przy niej Malcher już weselszy miodem i *akwawitą* śniadanną, dalej rotmistrz i Jaksa, zamykali poczet.

Po wielu potrawach, w których staroświecki kucharz nie żałował szafranu i bakalij,

ukazała się gęś potężna, już rozebrana na części, wyjąwszy nietkniętych piersi: te położono na talérzu przed panią Cześnikową, która zręcznie mięso zjadłszy, zostawiła wprędce kość nagą. Wtedy za danym znakiem przez pana domu, podał Hajduk puchar kryształowy, kwartę obejmujący, który kolejną pierwszą wychylili wszyscy, za zdrowie dam obecnych. Cześnikowa w delikatne palce pełne pierścieni, o które zbił sobie zęby rotmistrz, całując serdecznie, ujęła kość piersiową, i zbliżyła się wolnym krokiem do okna ogrodowego, obejrzała ją troskliwie, a ukazując przytomnym, taką wydała wróżbę, bliższej zimy.

—Widzicie państwo, z początku te białe plamy, wśród więcej ciemnych, to znaczy iż po troszku będzie śniegu, ale więcej deszczu: taka niepewna zima, będzie do połowy, bo do połowy kości, wszędy są plamy czarne, ale za to druga połowa zimy, będzie mroźna i śnieżna, bo spojrzycie państwo, reszta piersi bez plamki.

— Taką rzeczą mościwa pani, wielmożna Cześnikowa, zawołał podochocony Malcher z puharem w ręku, będziesz z nas miała częstych gości kuligiem po dobrym śniegu.

Owoż! rzekł pan Michał, pierwsza wróżba Asindzki uiszcza się teraz, śnieg pruszyć zaczyna.

— Aha! (wyrzekli razem Rotmistrz i Jaks), święty Marcin jedzie do nas na białym koniu.

— »*Święty Marcin po lodzie, Boże-Narodzenie po wodzie,*« taka u nas dawna przypowieść, i nie wiem czy na gody, zadzwonim sankami u wielmożnej Cześnikowej. To mówiąc, skłonił się nisko pan Malcher.

— Choćby i na kołach bosych (odrzekła), miłe mi Waszmość panów odwiedziny zawsze, proszę nie zapomnieć o tém, bo pod sianem na wigiliją, możecie znaleźć wróżbę szczęśliwą dla siebie.

Kiedy miłe czas uchodził, przy zmroku poczęła się do domu Cześnikowa wybierać: przystojność bowiem sama, nie dozwalała w domu narzeczonego jej córki zanocować.

Zaszła więc karetą, wsadzono najprzód, albo raczej wniesiono Cześnikową do pojazdu, i jej córkę, i starą pannę ciotkę, i starą pokojówkę, i dwie służące: doładowano reszty dwoma szpicami, murzynem, mopkiem, papugą i kanarkami. Rotmistrz aby ujął sobie pana Michała, wsiadłszy na dzielnego arabczyka, zobowiązał się przeprowadzić damy, a pan Jaksa więcej uradował narzeczonego, bo dwóch pacholków wsadził na konie z zapalonemi pochodniami, i sam im przewodniczył. Psy siedzące w karecie, na blask jasny poczęły przeraźliwie szczekać, papuga kłaskać i świstać, Cześnikowa w uniesieniu radości, chustką z bramy powiała, gdy Malcher z pełnym kielichem nucił pieśni pożegnania:

»A kiedy odjeżdżasz, żal w sercu zostawiasz.»

III.

Zbliżył się czas *gód*, czyli Bożego-Narodzenia: pan Michał i Melchior wystrojeni, wraz z rezydentami swemi, Rotmistrzem i Jaksą, wybierali się na wigilią do pani Cześnikowej. Tą razą wróżba omyliła, i Święty Marcin był po lodzie, i Boże narodzenie po lodzie, i śniegu. Wyciągnięto przepyszne sannie, pudło wyobrażało okręt, z przodu łabędź misternej roboty, roztaczał białe skrzydła, i wyciągał długą pozłocaną szyję, obok dwóch murzynów w czerwonych czapkach, ukazywało zęby białe. Zaprzężono cztery białe konie, maść ulubiona Rotmistrza, który zawsze mawiał: *»Kto nie siedział na białym, ten nie jeździł na dobrym koniu..«* Przystrójone były w krakowskie chomonta, pełne dzwonek. Zasiadł wąsaty woźnica, w samej wilczurze, dwóch pachółków stanęło za sankami, i tak ruszono żwawo. Już gwiazdka

piérwsza ukazała się na niebie, kiedy nas; zajechali goście: przyjął ich na ganku pan Chorąży brat Cześnikowój, i wprowadził do komnaty. Znaleźli stół długi, zastawiony, sianiem nakryty, w każdym kącie izby, stały snopy zboża, świecznik ogromny pełen świec jarzących, oświecał widno. Pani Cześnikowa uprzejmie przyjęła oczekiwanych gości, oświadczając że *wigilija* gotowa, bo gwiazdka już przyświeca. Pan Michał posadzony obok narzeczonój, rozpływał się w radości. Malcher marszczył czoło, ale mars rozjaśnił się wkrótce, przy rzęsistych pułarach: wznosił on zdrowia liczne, proszony o to od gospodyni domu, a gdy właśnie dwunaste wznosił z kolei «*kochajmy się*» zabrzmiała kapela, rozwarły się drzwi, i ukazało się grono licznych gości i niewiast strojnych. Wiedziała o tych odwiedzinach Cześnikowa, ale chciała ucieszyć niemi przyszłego zięcia.

—W to mi graj! zawołał wesoły Malcher: a teraz rzniej od ucha kapelo, pijem zdrowie

szanownej i mnie wielce miłościwej pani Cześnikowej na kolanach!

To wyrzekłszy, ukląkł, wszyscy mężczyźni poszli za jego przykładem, otoczyli wieńcem matronę, i chórem śpiewali dawną piosnkę:

«*Nie ma to, nie ma, jako nasza gospodyni.*»

Rozrzewniona tym afektem Cześnikowa, skinęła na Chorążego brata: roztwarły się drzwi nagle, i na małym wózku ciągnionym przez dwóch karłów, okazał się antał starego węgrzyna, pamiątka po nieboszczyku jej mężu. Ujrawszy to podpiły Malcher, wziął na stronę pana Michała; i szepnął mu do ucha.

—Panie bracie! już teraz nie rzeknę, żeń się waszcć, to święta białogłowa, a snadź i dom zamożny.

Nie tu koniec, moi mili panowie *samsiedzi*, (*rzekła pani Cześnikowa*), każdy przy swym talérzu w sianie wróżbę znaleźć powinien, trzeba poszukać.

Posłuszni sięgnęli ręką: pan Michał zna-

lazł dziecię w powijaku, panna Ewelina cze-
piec, Malcher razem z Jaksą i rotmistrzem pan-
ny z cukru, a stara ciotka kołyskę z bliźniętami.

* * *

IV.

We dworze pana Michała, już przez całą zimę trwały przygotowania. Święty Jan był oznaczony na dzień ślubu: mało w domu zagrzali i rotmistrz i Jaksą, bo jeździli za sprawunkami. Malcher sam teraz doglądał gospodarki, gdy brat jego stracił głowę i zajmował się wyłącznie przygotowaniem do ślubu. Im więcej przecież zbliżał się do celu życzeń swoich, więcej rozmyślał: przypominał sobie że już w lata zaszedłszy do wielu się rzeczy nazwyczał, od czego trudno mu odwyknąć, a panna Ewelina nie znosi. Na przykład: nie pozwalała mu, jak dwa razy, zażyć tabaki przez dobę. On nawykł jeździć brocką bryką bez resorów: panna mu przy-

pominała karetę, i pojazdy nowe. Zaczęła przebąkiwać, że rezydentów nie ścierpi: trzeba więc będzie pożegnać rotmistrza i Jakśę przyjaciół prawdziwych, z których każdy, życieby za niego oddał. Krzywiła się na Malchera i doradzała, aby mu gdzie uboczną wieś puścił. Pani zaś Cześnikowa, chce mieszkać przy córce razem z starą ciotką, z starą pokojówką, papugą, szpicami i mopkiem!

To wszystko nie pokoiło pana Michała: we śnie nie raz wspomnienia takie dreszczem go nabawiały: tak straszne widzenia uspakajał modlitwą, i usypiał spokojniej, zdając się na opatrność. Malcher milczał, pracował szczerze zastępując wszystkich, dostrzegł zmiany brata i rzekł raz pod wieczór gdy sami byli.

—Miły panie bracie! coć wam wadzi: osowiały, zasępioły co dzień więcej, czyśta niezdrowi?

—Zdrowia nie braknie, miły Melchijorku, ale trosków więcej przy starych latach.

—»*Kto się ożeni, to się odmieni:*« tak mó-

wią: ale Wasze jeszcze się nie ożenił, a już odmienił.

— Nie wiem *ki to kat*, ale im więcej bliżej ołtarza, tém więcej rośnie w sercu obawy. Wszystko odmienić się tu musi, a mieć tak miło i dobrze, jako jest teraz.

— Miarkuję, co chciała Wasze wyrzec, musimy się rozdzielić: prawda, że jak dla mnie to bardzo przykro, boleśnie, (mówił wzruszony Malcher), od czasu jako na drewnianych hasali'm konikach, zawsze razem, wyjąwszy gdy raz trzeba było tym psom Tatarom ogonić się, i odpędzić od zagonów i kopców swoich: drugi raz, gdy Wasze nie mocą złożony leżał w Wieliczce... A teraz! ba!...

Nie mógł skonczyć, i łzy spłynęły mu po licach.

Zapłakał rzewnie pan Michał, rzucił się w objęcia brata, i długo płaczu utulić nie mógł.

V.

Nadszedł dzień ślubu, z smutném obliczem zajechał Malcher przed dwór Cześnikowój, oznajmiając prędkie przybycie pana Michała. Panna Ewelina zapytała dumnie, czy karetą będzie do ślubu? Malcher duże zrobił oczy, oświadczając, że pan brat o tém dotąd nie pomyślał.

—Jakto, krzyknęła z gniewem pani Cześnikowa, a o ślubie pomyślał?

—Nic nie wiem, mościwa pani, ale owoż i sam przybył, najlepiej to wyjaśnić potrafi.

Jakoż w brockiej bryce, zajechał pan Michał, z równianką kwiatów przy boku: towarzyszył mu konno Rotmistrz na dzielnym turczynie. Ledwie próg przestąpił, miasto powitania, matka i córka jedno-zgodnie wykrzyknęły: »Cóż to, brocką bryką do ślubu?

Pan Michał dotąd potulny baranek, podniósł dumnie głowę, i rzekł poważnie.

—Widzę, iż nie moja osoba, ale dostatek ma tu znaczenie i powagę, a wzięwszy to smutne przekonanie, nie pozostaje mi więcej, jak zostać powolnym sługą, i dobrym jeno samsiadem, mnie wielce miłościwym damom.

Oślupiał Malcher na te słowa brata, a tém więcej zdziwiony, gdy ten z ukłonem wyszedł, zarzucił wyloty na ramiona, kazał przed ganek zajechać brockiej bryce, wsiadł w nią i odjechał.

Rotmistrz nie zsiadając z turczyzna, został na podwórze.

Zbladła Cześnikowa, zaczerwieniała panna Ewelina, Malcher w milczeniu pokręcił wąsy. Zgromadzeni licznie goście, z podziwieniem oczekiwali końca. W tém wszedł pacholek pana Michała, i wręczył list Malcherowi. Przeczytał go, uśmiechnął się radośnie, i wlepił oczy na podwórze.

Nie długo zagrzemiał dziedziniec, cztery kasztanki przepysznie strojne z kareta, jakicj w okolicy nie widziano, stanęło przed ganekiem.

— Czyjeż to, czyjeż? zapytali wszyscy.

Malcher skłonił głową, i rzekł: »kareta i konie, przeznaczone do ślubu były, chciał tém swoją ucieszyć narzeczoną, aby od razu nie pokazać, i jam nie wiedział nic o karecie. Zawiozą ony raz pierwszy i ostatni jego brata, co go kocha sercem, chociaż zawsze w brockiej bryce jeździ.

Wyszedł, wszedł do karety, i zniknął.

Pan Michał z radością w miejscu żony, uścisnął brata, Rotmistrza i Jaksę. Spóźnił się dnia tego obiad o parę godzin, ale jak zwykle, jedli go razem: poczem Malcher grał z Rotmistrem partyjną szachów, a brat z Jaksą w tryszaka.

— Patrzcie! mówił uweselony pan Michał, zostanie wszystko jak było, nic się nie odmieni, będziemy razem do grobowej deski.

— Dzięki Bogu! odrzekł Malcher, aleć ja prawdę mówiłem, że *u białychgłów, długie włosy, ale rozum krótki*. Miłość mi, że mój pan brat, w pierwszym zawodzie, nie

uległ niewieście, bo za prawdę, dobrze ma-
wiano i dawniej:

»Z koniem nie igraj, niewieście nie ule-
gaj, pieniądze sam schowaj, chceszli być bez
szkody.«

A potem! czyż nam tak źle? Tyle lat
przeżyli'm społy w zgodzie i jedności, niech-
by tu niewiasta zasiadła, nigdybyś jój pan
brat nie dogodził, jako w onój starój przy-
powieści:

*Dwa razy żona męża biła, raz że ogórki
tupił; drugi raz, że jabłek nie tupał (*).*

(*) Przypowieści S. Rysińskiego 1619 r.



niekiedy walczyli, bo za przynależność do państwa
 nie mieli. Władza w ich rękach była tylko
 formalna. W rzeczywistości państwo było
 w rękach szlachty. Władza szlachecka
 była w rzeczywistości władzą państwa.
 Władza szlachecka była w rzeczywistości
 władzą państwa. Władza szlachecka była
 w rzeczywistości władzą państwa.

Władza szlachecka była w rzeczywistości
 władzą państwa. Władza szlachecka była
 w rzeczywistości władzą państwa.

Władza szlachecka była w rzeczywistości
 władzą państwa. Władza szlachecka była
 w rzeczywistości władzą państwa.

Władza szlachecka była w rzeczywistości
 władzą państwa. Władza szlachecka była
 w rzeczywistości władzą państwa.

III.

Stara Księga

I.

DAWNY MEDYK.

OBRAZ BIBLIJOGRAFICZNY.

Chcę powiedzieć o jednej księdze starej, i o jednym dawnym doktorze z czasów Zygmunta Augusta: tą księgą jest *Herbarz polski ziół z 1595 roku*, tym doktorem jest *Marcin z Urzędowa* (a). Księga ta, jak wszystkie z onych czasów, należy do osobliwych rzadkości, bo ileż ich płomień nie wyniszczył, ile niedbalstwo nasze nie zatraciło!

Nie wiele mogłem się dowiedzieć o szczegółach życia Marcina: nasi biblijografowie dotąd więcej dbali o okładki książek, a niżeli o to, co w sobie mają. Powiem więc to tylko, co sam o sobie namienia w różnych miejscach dzieła.

Był w Polsce w one czasy Włoch doktor, bo ich wtedy nie brakło, wedle staréj przypowieści: »*Co Włoch to doktor, co Niemiec to kupiec, co Polak to hetman,* « a zwał się *Tuszet*: przy nim się uczył nasz Marcin, i z nim do Włoch odbył podróż. Miał on swoje wioski we Włoszech, w nich bawił Marcin, i ćwiczył się w poznawaniu ziół natury (1). Był w Padwie i w Wenecyi (2). W Padwie narwawszy *oślich ogórków* (*cucumis asininus*), położył je na stole przy rozpalonym kagańcu, ale kaganiec gasł kilka razy, i uczyć się nie mógł. Dopiero przypomniał sobie Plinijuszowe pismo, które opisując one ogórki, namienia, iż gaszą światło, i precz wyrzucił (3). Po powrocie z Włoch, widać, iż wiele we własnej podróżował ziemi, bo na różnych miejscach *Herbarza*, wspomina wiele zamków, ogrodów, i gór Karpackich: kędy były osobliwsze zioła, tak między innemi namienia, iż sam zamek Tę-

(1) Str. 98. (2) Str. 118. (3) Str. 110.

czyński, dziś w gruzach leżący, ma bluszcz prawdziwy w zimie i w lecie zielony (1). Jałowiec u pana Tęczyńskiego wojewody Sandomińskiego w Kraśniku, tak rosły, że są drzewa piękne, trudne rozeznąć od Cyprysu, chyba jagodami (2). (b). W Sandomierzu były drzewa morwowe z czarnemi jagodami, tu mieszkał Marcin, i miał swoje ogródki, gdzie zioła sadił: na listkach celidonii znalazł jedwabniki, i mówi: że warto myśleć o nich, bo się u nas udadzą (3). Urodził się Marcin w mieście Urzędowie, i w okolicy poznał wszystkie zioła rosnące.

Był Medykiem nadwornym Jana z Tarnowa, Kasztelana Krakowskiego, i Hetmana Wielkiego Koronnego; a to wskazuje, jak wielce musiała być jego nauka ceniona, w jakim był szacunku, gdy mając tysiące Włoskich doktorów, pan tak możny, na zawoła-

(1) Str. 97. (2) Str. 349. (3) Str. 383. Jagody czarne z tych samych drzew były w roku 1809.

niu, *Marcina Urzędowa*, mianował lekarzem swoim. Na zielniku podpisany: »*Kanonik niekiedy Sendomiński*, gdyż był kanonikiem w Sendomińcu. Zapewnie po śmierci Jana Tarnowskiego osiadł stale w Sendomińcu, gdzie ratował wiele w czasie morowego powietrza, jako sam wyraża: »Mogę rzec, że będąc w ciężkim morze, nie znalazłem rzeczy przespieczniejszej nad *rutę* (1).

Najszlachetniejsze pobudki, ożywiały Marcina w napisaniu Herbarza. Przed nim, wystąpił był Stefan Falimierz (*Phalimierz, Phalimirus*), ale mało oznajomiony z rzeczą, wielkie błędy popełniał. Śmiało mu to i z całą otwartością wyrzuca: »Takich błędów, pełno w herbarzu polskim, iż albo insze dzieła po polsku wyklada, niżli po łacinie znamionuje, albo lekarstwa przeciwne, niemocom naucza, jako to okażę. Co ja bacząc, że się ludzie barzo tych ksiąg chwycili, według ich, gdzie nie ma lekarza sprawują się; wię-

(1) Str. 271.

cěj psując, niż sobie pomagając: bacząc téż, że żaden doktor tego nieszczęścia, lutować się nie raczył; wziąłem przed się tę pracę, abych ukazał niedostatek wielki, herbarza polskiego (Falimierza), i potém drugich takich herbarzów niedostatecznych a omylnych. Tudzież umyśliłem prawdziwe ziół wyłożenie na polszczyznę, i pomocy ich ku zdrowiu ludzkiemu wypisać.« (1).

O swych poprzednikach, jak o nauce tak mówi:

«U nas w Polsce ta nauka zakryta dotąd była: naszych czasów, udał się na to jeden, aby swą pracą, ludziom pożytek uczynił: wyłożył zioła na polszczyznę z łacińskiego języka z wielką w prawdzie pracą, jedno że też sam zioła nie dobrze znał, ani podobno się tego uczył, praca jego była niepożyteczna, a raczej szkodliwa, ponieważ insze zioła na polszczyznę wykładał, niżli po łacinie znamionowały: lekarstwa i własności ziołów

(1) Str. 2.

przypisował te, których nie miały: drugi chciał go poprawić, ale i ten nie wiele wskórał, bo i sam nie wiele mędrszy nad pierwszego był.» (c).

Tak więc głównie Falimierza błędy, którego Stefankiem nazywa i zarzuca, że to tylko wie jako się od bab nauczył (1), wywołały dzieło Marcina. Ale nie tylko tę jedynie pobudkę miał przed oczyma, jak sam mówi w swojej przemowie:

«Ja też widząc tak wiele napisanych po łacinie herbarzów (d), po polsku iż nic takiego nie było z czegoby ludzie pomoc brali, (zwłaszcza iż nie wszyscy po łacinie umieją, a też miejsce więcej w Polsce, kędy doktora żadnego, a podobno i apteki nie masz), napisałem tę księgę, abym wprzód ojczyźnie mej, powinność przystojną oddał, to co mi Bóg dać raczył, tyle ile jest, na pożytek pospolicity obrócił, ludziom narodu Polskiego się

(1) Str. 86.

przysłużył, a na podziękowanie i wdzięczność zarobił » (*przemowa*).

Szukając prawdy i pożytku, nie unosił się złością na Falimierza, ale szkoda ludzi, tąż samą ręką pisząc o błędach jego i gromiąc, pisze pochwały *Miechowity* doktora, nazywając go: »on zacny starzec, a znamienitej pamięci polski *Ipocrates*.»

Obiecywał Marcin napisać: «o zachowaniu zdrowia,» lecz widać, że śmierć mu przeszkodziła, bo i ten zielnik później po jego zgonie Firlwicz wydał. (*Author bowiem dobrze przed wyszcieniem tych ksiąg szedł*).

Przeczuwał postęp nauki lekarskiej w rychle: «Ja życzę tego, aby po mnie szczęśliwsze czasy były, aby kto był doskonalszy, i uczeńszy, (w chęci bowiem i życzliwości sztychować mię nie może), któryby dla poratowania zdrowia ludzkiego godniej, niżli ja pracował (1).»

(1) Przemowa.

Jan Firlewicz wydał herbarz Marcina: nie czytałem równie pięknego z tamtych czasów, jak początek przemowy tego wydawcy, przypisującego dzieło Gabryjelowi Woynie.

«Nauki wyzwolone pomnażać y zdobić, by też żadnego pożytku nie było, rzecz iednak przez się iest zacna, poważna, chwały y czi wielkiej godna. Abowiem będąc człowiek złożony z dusze y z ciała, iako wzgardzony iest, iесли się ugania za doczesnemi y cielesnemi rzeczami: tak zaś iесли do zacniejszych y górniejszych rzeczy, umysł swój podnosi, powagę y godność z duszą, iako z przedniejszą częścią od natury daną zatrzymawa. W naukach iście wyzwolonych, z których wszystko prawdziwe dobro płynie, łatwo pokazać może, kto się do nich garnie, y w nich ćwiczy, co za animusz w nim, iako wysoki y wielki, y iako wiele ma nad takie, co przywiązawszy się do żądy swych, umysł swój, dla ozdoby od przyrodzenia nażeczony, albo próżnością namiętności pomazuią, albo fałszywym rokoszy smakiem wiklą, albo fra-

sunkiem rzeczy doczesnych poniżają, y pograżywią. Wspaniała to bowiem rzecz iest, a prawie boska, nie bawić się rzeczami ziemskimi: ale umysł swój, choć tym cielesnym ciężarem ściśniony, do rzeczy znacznych dzwigać, aby mógł obaczyć czym iest, co za znacność iego, także aby rozumem y dowcipu przyrodzonego bęgiem, pomniał na początek swój skąd poszedł, y był uczestnikiem bóstwa. Tać iest doskonałość żywota ludzkiego, ten sposób naucziwszy do życia (1).«

O nauce Marcina i biegłości, cóż mam wyrzec? Na swój wiek, miał jęj bardzo wiele, ale dziś na nie się nie przyda, gdy sztuka lekarska jak i botanika, olbrzymie i nie do porównania zrobiła postępy: ale puścić w nie pamięć nie mogę, ile ta księga do domowe-

(1) W ustępie tym, zachowałem zupełnie i pisownią: jakiz to język, a pisownia jako mała różna od dzisiejszej po 244 latach! Zwracam uwagę, iż wyrazy *wszytko*, *abo* w on czas pisane, są tu przez *wszystko* i *albo* oddane.

go życia przodków naszych, zawiera szczegółów. Owóż, jaki obraz nam się zjawia z zebranych i rozrzuconych szczegółów, nie obcego nie dodając.

* * *

«Nauka lekarska, na bardzo niskim stopniu stała, baby w Irakowie na rynku przedawały zioła, a która nieświadoma, często i truła ludzi prostych (1). Lekarze nieumiejężni, ani znali skutków ziół, na ślepo zapisując do apteki: a było lekarzy i aptekarzy nie mało, co się jedynie na baby spuszczały, i od nich się uczyli. Lekarze ci najwięcej polecali zagraniczne zioła, za które drogo trzeba opłacać, chociaż swojskie, które deptali, mogły tamte zastąpić (2). Gotowali złoto z kapłonami, a polewkę dawali pić tym, którzy mieli drżenie serca.

(1) Str. 86. (2) «Z nas każdy ziółka depee, które nam więcej, niżli arabskie lub indyjskie pomogą.» (przemowa).

Barwierz (cérulicy) ówi żo wymyślili pi-
gułki z żywego srebra (z trtęci), na ciężkie
choroby użyteczne, a ziela *Stowrzód* albo
Uspi-wrzód (*Centum morbia, lunaria minor*),
używali jako bardzo pomocnego na rozmaite
bólączki, krosty plugawe (1).

W Polsce owoczesnej, nie wszyscy po ła-
cinie umieli, a w wielu miejscach, nie tylko do-
ktora, ale i aptek nie było.

Pijaków nie brakło, co pili wino jak pi-
wo, a takiemu gdy po przepiciu wczorajszém
krew' puszczone, ciekło wino miasto krwi (2).
Panie nie pogardzały tym trunkiem, piły wi-
no i małmazyją zaprawiwszy szafranem. Dla
ozdoby malowały brwie sobie, używając
z kwiatów róży polnej, proszku: nosiły pa-
ciorki bursztynowe, i korale.

Do wszystkich pokarmów, czy ubogi czy
bogaty, używali zarówno wiele pieprzu: bo-
gatsi ziół i korzenia zamorskiego. Ruś, która
nie bardzo się bawiać pieprzem, imbiérem,

(1) Str. 81. (2) Str. 456.

i muszkata; przyprawiali domowemi zioły pokarmy, jako gorczycą i chrzanem, długo czerstwie żyli, bo nie znali i cudzoziemskich napojów, przestając na miodzie *przyjacielu zdrowia ludzkiego* (1).

Jedli mannę za jagły, rzodkiew' po stole dla strawności: grzyby, któremi najczęściej zdrowie truli: cieciorkę (gatunek słodkiego grochu), szczególnie na Mazowszu (2).

Zagęściły się ogrody kwiatowe przy dworach szlachty i w samym Krakowie, a za czasów Marcina, poczęto siać i sadzić: *Gwoździki zimne albo Indyjskie, śliczny a piękny kwiat* (3), *myrt* (4), *groch włoski, rozmaryn* (5), *lawendową szpicę (Spica Romana)*.

Z drzew po lasach naszych były pospolite, a dziś rzadkie: *Cis, Jodła, Jawor, Jesion*. Liście jesionu wzmacniały siłę w człowieku, dając pić dziecięciu wedle lat dziecinnych po 5 lub 7 liści. Były modrzewio-

(1) Str. 317, 371, 261. (2) Str. 228. (3) Str. 32. (4) Str. 56. (5) Str. 269.

we lasy: w nich zakupywano modrzewiową gębkę (*Agaricus*) i wywożono do Wenecyi, gdzie tak drogo przedawano, jak u nas *Rumbarbarum*. Nie mało kasztanów włoskich było w Krakowie, w Warszawie wiele sadów kasztanowych.

Nie szczepiono wcale winnic, bo rzadko dla zimna kiedy doszły grona: w jednym Sendomierzu była winnica, która się udawała wybornie (1). Snać, iż za żywota Marcina mało sadzono, bo później wiele winnic istniało, jak tego historyczne pomniki nas uczą.

W Krakowie, mówiono, jak sam Marcin wyraża, *wypolerowanym językiem polskim* (2).

W wychowaniu dzieci już było złe zakorzenione: dzieciom dawano wino, cukry szkodliwe, korzenie cukrowane: «matki same zaś leda co jedzą, upijają się zwłaszcza winem, i mocnym pićm, więc ono dzieciątko z niej wysie, potem rozniemoże się, umrze, a mat-

(1) Str. 456. (2) Str. 44,

ka, która je swym obżarstwem zabiła, nie pokutuje» (1).

Lud święcił Sobótkę, przy ogniach niewiasty opasywały się bylicą (*Artemisia*) i wieszaly na sobie, ognia krzesali deskami trąc jedne o drugie, tańczyli i śpiewali pieśni. Jak uważano wtedy obrzędy staroświeckie ludu, dosyć przeczytać Marcina słowa (2).

«Tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać niewiasty, bo takież to ofiarowanie tego ziele (*bylicy*) czynią, wieszając, opasując się niém. Święta też téj djablicy (*Dyjanny*) święcą, czyniąc Sobótki, paląc ogień, krzesząc ogień deskami, aby była prawa świętość djabelska. Tamże śpiewają pieśni plugawe tańcząc, a diabeł też skacze, raduje się, że mu Krzescijanie czynią modłę a chwałę, a o miłego Boga nie dbają, abowiem dzień świętego Jana, wieśniaków przy chwale miłego Boga żadnego nie będzie, a około sobótki, będą wszyscy czynić rozmaite złości.»

(1) Str. 103. (2) Str. 32.

Marcin dalej radzi zająć się chodowaniem jedwabników, zbieraniem Czerwcu, bo w on czas w Wenecyi, farbowano polskim Czerwem rzeczy kosztowne jedwabne (1): szczepieniem kasztanów włoskich użytecznych (2). Czerwiec zbierano za jego czasów najwięcej około Łowicza, Rawy i Warszawy «iż tam tego obyczaj, bo jednak wszędzie po Polsce tego dosyć, ale o to nie dbają» (c).

Z rad lekarskich Marcina ważniejsze są: wstrzemięźliwość używania wina, i zarzucenie korzeni: jaja na miękko, uważa za najzdrowszy pokarm: w końcu radzi oszczędne krwi puszczanie, jakie się w on czas zageściło.

* * *

Małoż to szczegółów, do życia wewnętrznego podaje nam ta księga! Gdyby każda

(1) Str. 333. (2) Nie mogę zrozumieć, czemuby też się nie jęli szczepić tego drzewa (*kasztanów włoskich*), gdy się rodzą.

była w nie tak obfita, jakżebym wprędce zebrać można obrazy dokładne żywota przodków naszych z XV i XVI wieku? Ale są folijały, nad któremi oczy wysłęczyć potrzeba, głowy udręczyć, za nim się jeden lub dwa szczegółki zdobędą, a często ani ziarnka dobrego. Taka to droga cierniowa, którą każdy badacz szukający prawdy historycznej, przechodzić musi.

Teraz na ostatek, przychodzi mi samo dzieło opisać. Napis ma taki:

»*Herbarz Polski*, to jest: o przyrodzeniu ziół y drzew rozmaitych, y innych rzeczy do lekarstw należących, Księgi dwoje

Doktora Marcina Urzędowa

Kanonika niekiedy Sandomińskiego y Jaśnie Oświeconego Hrabie Pana, Pana Jana z Tarnowa, Kasztellana Krakowskiego y Hetmana Wielkiego Koronnego etc. Medyka. *W Krakowie* w drukarni Łazarzowej, roku Pańskiego MDVC in folio.«

Cały tytuł w ramkach ozdobnych: podkreślone wyrazy, czerwoną odbite barwą.

Przemów stronnice 3, samego dzieła signat: A-Tt 2. Kart na obie strony znaczonych 488 i jedna: i na tej zapewnienie własności wydawcy.

»Za przywilejem Króla JM: nikomu zgoła nie wolno herbarza tego Doktora *Marcina z Urzędowa* drukować: ani gdzie indziej drukowanego w Państwach JKrólewskiej M. do Korony należących przedawać, pod winą do Skarbu JKM. w przywileju mianowaną.« I znowu powłórzono miejsce druku jak wyżej.

Podzielił dzieło na dwie księgi:

Pierwsza zawiera rozdziałów (capitulum) 172, o ziołach.

Druga: »O własnościach przyrodzonych drzew y niektórych ziół zamorskich.« Ma trzy części:

A) Rozdziałów 105 zawiera.

B) Część wtóra o *kruszcach*, rozdziałów 37.

C) Część trzecia: »O rzeczach wodnych albo miękkich do lekarstw potrzebnych, któ-

rych używamy jedząc i pijąc. »Rozdziałów 35.

Całe dzieło ozdabiają drzeworyty roślin. O ich niedoskonałości, tak mówi po przemowie wydawca Firlewicz.

»Godziło się było wprawdzie, doskonalszymi figurami *Herbarz* ten ozdobić, i do każdego zioła, ich własne figury przydać. Ale iż ani rzemieślnika takiego, coby dobrze i pilno zrobić mógł, ani tego, coby wiernie w rzezaniu dojrzał; nie było. Autor bowiem dobrze przed wyjściem tych ksiąg zszedł: czytelnik łaskawy, na takich, na jakieśmy się zdobyć mogli, przestanie.« Bo (mówi dalej), jak kwitnie, jak dostawa się, trzeba było wyrazić, a koszt nieoszacowany i praca nieskończona.

Dzieło, które mamy przed oczyma, oprawne było zaraz po wyjściu z druku. Oprawa gruba, w deski powleczone skórą, na klamry mosiężne zamykana; wierzchnia strona oprawy, ma wyciski ozdobne i tłoczony napis: »*Herbarz Urzędów.*« Spodnia strona,

w środku ma wyciski na skórze wyborne, popiersi świętych mężów: w około zaś popiersia dokładne, jak na monetach: Zygmunta 1go, Bony, Zygmunta Augusta i siostry jego Katarzyny, co później była królową szwedzką, a matki Zygmunta 3go.

Druk gocki, mieszany z łacińskim.



PRZYPISY.

(a) Nie wiem dla czego Marcina Urzędów, przeważano Marcinem z Urzędowa. Wydawca Jan Firlewicz który najlepiej znał jego nazwę, pisze *Marcin Urzędów*. Tylko przywilej królewski w końcu dzieła zamieszczony, nazywa go Marcinem z Urzędowa, co jest błędem, bo i sam się podpisał w przemowie «Doktor Marcin Urzędów.»

(b) Równie piękny w drzewach jałowice, znajduje się we wsi *Góra* (dwie milki za Jabłonną), dziedziectwie Hr. Wacława Gutakowskiego.

(c) Gdy o dwóch tu mówi Marcin poprzednikach swoich, zapewne miał na celu Stefana Faliwierza, którego wyraźnie mianuje że był Rusin, i tyle tylko umiał, co go baby nauczyły, a który w r. 1534 swój Zielnik wydał: i Hieronima Spiczyńskiego lekarza Zygmunta Augusta, a tego zielnika wydawcą w r. 1554 był Marcin Siennik, lubo go nasz Marcin wyraźnie nie wymienia. Pierwszego zwykle Stefankiem nazywa, a wyrzucając

mu szkodliwe błędy dla społeczności, zaczyna od tych słów prostych: «*O Jesu Kryste! jaki błąd.*»

(d) Z łacińskich herbarzy roślin, z czasów przed Marcinem, znam tylko jeden *Szymona z Łowicza*, zapewne w rękopismach musiało być ich więcej do użycia.

(e) «Czerwiec, jest ci ziarnko, które w Polsce zbierają czasu majowego, pod korzonki z ziemi. Są ziarnka czerwone, niewielkie w ziemi pod korzonki u ziół, a zwłaszcza pod zielem zwane: «*Dzień i Noc*» albo *Niedośpiątek*, także pod żytem, i pod inszemi rozmaitemi ziółki. Te ziarnka kopają z ziemi pod temi korzonki. Maja kwitną, a gdy przyjdzie Czerwiec, tedy już się obróca w robaczki, i wylecą: też robaczki świecą w noc Czerwca, a zowią je też pospolicie *Czerwcami.*» (Str. 333).

Muszę tu przytoczyć wiadomość szczególną, którą poczeiwy Marcin za prawdę podaje na str. 429. «Wiem za pewną rzecz wodę na Podgórzu za Sączem, między skalami, którą gdyby kto chciał wynieść z granicy onój dziedziny, tedy czyni gromy, trzaskawice, dżdże, niepogody, a ludzie zaraża.»

IV:

MOROWA ZARAZA

w WARSZAWIE 1712 r.

OBRAZ Z PODAŃ MIĘJSCOWYCH.

Przy wzniosłem wzgórzu po nad Wisłą, na którym stanął zamek ołoweczny, przylepiony by jaskółcze gniazdo, chwiał się domek drewniany, zamieszkaany przez starego rybaka *Warsa*. Wielkiego on doznawał poszanowania między swojemi, którzy czołem bili przed tym, którego mieli za potomka założyciela Warszawy. Stary Wars żył skromnie, nigdy przecież nędza dotknąć go nie mogła: węda, węcierze, i sieci rozmaitego kształtu, co okrywały ściany jego domostwa, to był jego majątek! Schwytane ryby chleb mu dawały, ale nie samemu, bo szczęściu wyrosłe-

mi synami chlubił się stary rybak, co mu pomagali w każdej pracy. Krypa spora, i dwie łodzie, w których leżały mokre wiosła świadczyły, że nie dawno co z połowu wrócił; jakoż po wczesnej wieczerzy otarłszy wąsy, rzekł do synów:

— No chłopcy! Jakubówki (b) jeno co nie widać, nim ona dorzuci nam wody z Wisły, aż do progu naszej chałupy, trzeba zrobić zapas, jeżeli Bóg zdarzy.

I razem z ojcem ruszyli wszyscy synowie, stara ich matka przeżegnawszy, wyzierała z progu domostwa, jak dosiadali krypy i łodzi. Kiedy odbili daleko od brzegu, najstarszy Marek przy zmroku ukazując na Wiśle płomień zawołał:

—Panie Ojczy! dyć się nasza Wisła pali!

Stary Wars spojrział w tę stronę:

—Nie woda-é się pali, ale flisy chcą wiatr uprosić. Wy to fryce, owoż wam powiem co robią. Kiedy wychodzą z Gdańska, kupują piszczałki i skrzypice, a gdy ich długa cisza pod tę porę zachwyci i żaglem wiatru uła-

pieć nie mogą, w on czas płachtę umaczną w smole zapalają rzucając w wodę, i zaraz grają na fujarkach i skrzypicach, bo takim sposobem można jeno wiatr uprosić, by gwiznął w żagle! (c). Owoż słyszyta chłopey różne ich kapela.

W istocie, odgłos fujarek i skrzypic rozległ się po rzece, i odbił o brzegi, gdy stary Wars, spojrział raz na miasto, a potem w obłokach utkwiał oczy pod brwią siwą. Wesole krzyki flisów ochotnych, marszczyły mu więcęj czoło zorane. Powstał na krypie, dał znak, uciehły wiosła, a on wskazując znak na niebie czerwono-jaskrawy, z trwogą zawołał:

— Patrz-ta chłopięta! kara Boża nad nami. Taka sama ognista miotła, nad naszym stała miastem, gdy przed czterma laty morowa-zaraza wyniszczyła niemal wszystkich Warszawiaków, i lat dwa grassowała! W on czas, wyprowadziłem was z matką, w lasy Nieporętu. Miłyć Boże! panowie uciekli wczesnie, jak to w złem bywa u nas zawsze: 30,000

luda i kapłanów bożych, niemało pochowano w ziemi!

Wiatr się zerwał, musiano pracować dobrze wiosłami, ale woda uniosła krypę z czołnami daleko, i zbliżała do statku flisów, gdzie przygrywano jeszcze.

— Źle się bawicie, moi braciszkuwie! wyrzekł Wars stary, spojrzycie nad wieżę zamkową, widzita miotłę ognistą!

I wskazał palcem zdjąwszy czapkę.

Flisom wypadły fujarki i skrzypiec z ręku, wszyscy padli na kolana.

* * *

Drogą od Krakowa w tę właśnie dobę, szedł młody czeladnik kuśnierski, rodzic z Miechowa, i jako dziecię miechowskie, zawsze wesołe i śpiewne, nucił piosneczki swój ziemi. Podpierał jedną ręką, pałką krzemionkami nabitą, zmordowane kroki, w drugiej trzymał spore zawinięcie, drogi skarb własny, bo w niem były cudnego włosa czarne baranki, które dobrze spieniężyć spodziewał się w Warszawie.

Gdy ujrzał wysokie wieże kościołów tego miasta, począł śpiewać weselej, kiedy nagle uciał, zobaczywszy na niebie jaskrawą miotłę, tę samą, którą Wars stary od dawna uważał. Trwoga go jakaś tajemna przejęła, przecucie bojaźni, blizkiej śmierci, w tętnach swoich uczuł, wypuścił zawinięcie, i nie dostrzegając tego, szedł dalej, gdy jakiś Niemiec w trójgraniastym kapeluszu podniosłszy zgubę, przybiegł do niego i oddając zawinięcie wyrzekł: «Nieście to, to skarb twój, i dla miasta » Czeladnik chciał mu podziękować, ale już go więcej nie zoczył, tylko śmiech szyderski zabrzmiał mu w uszach. Pobożny młodzieniec dobył szkaplerza i zaczął odmawiać modlitwę z taką skruchą i serdecznością, jakoby stał nad grobem. Właśnie dzwony z kościołów miasta zabrzmiały tak żałośnie, by przed ciałem zmarłego: młodzieniec upadł na kolana, wzniósł oczy w niebo, miotła ognista nad *Starém-Miastem* zabłysła jeszcze jaśniej. Porwał się więc strwożony, i przeszedłszy długie ulice, stanął na *Krakowskiém-*

Przedmieściu; skąd zwróciwszy na prawo, zeszedł przy *Bernardynkach*, wążką ulicą, do znajomiej gospody kuśnierskiej.

* * *

Wars smutny, wracał z próżnemi rękoma z połowu. Kazał łodzie i krypcę, do wyższego koła przywiązać, spodziewając się większej w nocy wody, i wszedł ponury do domu, gdzie jego żona przy rozpaloném łuczywie, sak na ryby naprawiała.

— Pan Bóg z tobą, niewiasto moja, (rzekł zdejmując czapkę, i maczając palce w wodzie święconej, zawieszonj w kropielnicy we drzwiach). Nic się nam nie wiodło, ręka Boża srogo nas dotknie!

— A to czemu tak prawila? drżąc ze strachu, zapytała stara.

— Spójrzyj nad wieżę zegarową naszego zamczyska, a ujrzysz to, co było przed *morem*, kiedyśmy w lasach Nieporętskich.....

— Święta Rozalijo! krzyknęła z przerażeniem, czy dużo luda upadło?

—Może dotąd żaden, ale jedno z tego nas dotknie: mór, głód, ogień lub wojna!

I usiadł zamysłony na ławie. W tej chwili weszli synowie.

—Gdzie Marek? zapytał Wars surowo, już go nie ma!

—Poszedł na gospodę kuśnierską, na piwo, odrzekł najmłodszy Kryspin.

—Ta gospoda (*mruknął starzec*), zgubi go na ciele i duszy. Rozpalcie no ognia, wiatr zimny zziębł do kości ciało, jakże poświstuje, aż chata skrzypi, a ciemno choć oko wykol.

Zaledwie buchnął płomień na kominie, gdy starzec siedzący przy oknie, nagle stanął na nogi, i przychylił ucho do szyby: wszyscy na niego z trwogą spojrzeli.

—Jezus Marya! Słyszycie dzwony w mieście! gore miasto zapewnie!

I nie długo łuna mocna, przebiwszy ciemność nocy, zaświeciła w okno, i oblała jasnością całą twarz Warsa. Starzec, jakoby nią sparzony, odskoczył od okna, i wybiegł na małe podwórze.

Za klasztorem Bernardynek, wybuchnął pożar. Słup szeroki ognisty, oświecił całe miasto, a iskry i główne, rzucał daleko.

— To gospoda kuśnierska gore! zawołał Kryspin: ratujmy ich, tam nasz Marek spłonąć może! I poskoczył w górę, a za nim bracia, jednego tylko Krzysztofa starzec zatrzymał przy sobie.

Chłopcze! nie leć za tamtými, trzeba też żeby choć jeden mi został w chałupie.

Bartosz, on czeladnik kuśnierski, odzyskał wrodzoną wesołość w progu gospody, słysząc gwar radosny i śpiewki. Otwiera drzwi i wchodzi śmiało do dużej oświeconej izby, ale zaledwie krok postąpił, i drzwi przymknął; wszystko ucichło, i milczenie grobowe osiadło. Biesiadnicy weseli, z trwogą przywitali nowego gościa, jakby posłańca śmierci, a pomieszany Bartosz, przy piecu zajął próżne miejsce, gdzie złożył swoje zawiniątko, i usiadł przy nióm. Właśnie w tę

dobę roztwarły się drzwi na ścieżaj, i z wesółym licem, ukazał się Marek Wars, w granatowej kapocie, z wełnianym pąsowym pasem, i czapką z siwych baranków, z wielą wstążkami.

—Hej gospodyni! miodu Litewskiego, a szczego wiśniaku garńce mi stawiajcie! Jak się mata! i zaczął pozdrawiać znajomych sobie.

—Zdrowie Waszeci panie Marku, (zawołał pan Sobol kuśnierz z Dunaju), aby Wasze potomstwo, długo nas cieszyło, i przypominało tych, co założyli naszą Warszawę.

—Któż to taki? spytał nieśmieie Bartosz, siedzącego najbliżej starca.

—Widać, żeście cudzy, to trzeba Waszeci wiedziéc, jest syn najstarszy rybaka Warsa, którego prapradziadek założył Warszawę, a ma się żenić, z córką owego kuśnierza. Opowiem to Waszeci.

Bartosz kazał podać miodu dwie czary, a stary wnet się rozgadał.

—«Kędy tu widzita całe nasze miasto,

była dawniej wielka puszcza, pełna grubego zwierzna (d), a w niej radzi polowali nasi królowie. Jeden z nich Kazimierz, pędząc za jeleniem dzień cały, zabłąkał się w końcu, a odbiwszy się od swego dworu, już trafić na drogę nie mógł: darł się więc przez gąszcza, zarośle, błota, w których i konia zostawić musiał. Tak gdy się zmęczony błąka, zaskoczyła go noc ciemna: na szczęście, ujrzał małe światełko; było to ognisko z lichęj lepianki, gdzie w tę właśnie godzinę, żona łowcy porodziła bliźnięta. Tu znalazł przytułek, i wczas miły. Owoż trzymał sam nowo narodzone do chrztu świętego: chłopca z nich nazwał *Wars*, a dziewczkę *Sawa*. Nie zapomniał i później o tej rodzinie, pomógł łowcy, a on wystawił ten sam dworek, gdzie rybak z synami mieszka. Odtąd i inni poczęli puszcze wycinać, w okółło się osiedlać, a tak rok po roku, z tego powstała zwolna Warszawa, boć i Kraków nie za jeden rok zbudowano. Ten to młodzie-

niaszek, idzie w prostój linii od tamtego War-
sa, a ma pięciu braci (e).»

Bartosz ciekawsze oczy obrócił na Marka,
co rześko wychylał czary miodu. Starzec
co mu opowiadał początek miasta, widząc
że ciągle rękę na zawiniątku trzyma, zapy-
tał ciekawie, coby w niem zachował?

— «Cudnego włosa czarne baranki, które
chciałbym komu sprzedać, odrzekł Bartosz.

— Pokaż no Waszcę, tu nie jeden kupiec
w gospodzie kupić może.

Bartosz odwiązał płótno, i na stole począł
dobywać, jedną skórkę po drugiej, potrzą-
sając nimi przed światłem. Marek co naj-
bliżej siedział, głaszcząc włos piękny, po-
czął je wychwalać, ale wkrótce jakiś smu-
tek padł mu na czoło, nie dopił czary mio-
du, ręka mu opadła.

Bartosz zbladł i osłabł, kuśnierz *Sobol*,
co przy Marku siedział, pochylił zemdlo-
ny głowę, wszyscy umilkli strwożeni, gdy
nagle odgłos z dworu poruszył wszystkich:
«Gore! gore!» a jasna łuna uderzyła we

wszystkie okna gospody. Co żyło, wybiegło z izby; zostało w niej trzech tylko, Marek, Bartosz i Sobol. Marek z Sobolem nie mogli powstać z ławy osłabieni, Bartosz upadł przy stole i skonał; piękne baranki stanowiące biédaka majątek, nieznajomi, co później wpadli, rozerwali między siebie. Każdy z nich niósł radośnie nieszczęsną zdobycz, nie wiedząc, że kto jej się dotknie, śmierć go niezawodnie spotka: futra te były zapowietrzone!

Dwanaście domostw zniszczył pożar, spłonęła gospoda kuśnierska, a w niej Marek z przyjacielem i trup Bartosza: ale straszniejsza nad ogień ukazała się klęska, bo *morowe powietrze*. Ustanowiono zaraz BURMISTRZÓW POWIETRZNYCH, w *Starém i Nowém mieście*, którzy nieśli pomoc zarażonym. Gdy dzwony uderzyły, wszystkie roztwarto kościoły, wyniesiono obrazy świętej Rozalii jako pa-

tronki od zarazy, zabrzmiała tysiącem ust pieśni na cześć świętęj.

Opustoszały domy, ulice, codzień strwożeni panowie i możniejsza szlachta na odgłos klęski uciekali z miasta, pozostali mieszkańcy, patrzyli ze wzgardą na zbiegów i wołali: »Uciekajcie! uciekajcie! my tu gdzieśmy żyli, i ciała złożemy, gdy taka wola Boga!»

Burmistrze powietrzni, gdzie się zarażony ukazał, natychmiast domostwo ostawiali strażą, zabijano okna deskami, a żywność na długich podawano żerdziach. W pustém mieście, słyhać tylko było płacz i jęki, a dzwony kościelne, głośniejsze miały echa.

Wars stary w dniu owym, utracił dwóch synów: Marka, co nie wyszedł z gospody, i Kryspina, co nazajutrz z zachwyconej zarazy umarł. Wkrótce utracił jeszcze trzech synów, co byli przy pożarze, został mu Krzysztof jeden i chora żona.

Przygnieciony wiekiem i cierpieniami, szedł rano z Krzysztofem do apteki na *Stare-Mia-*

sto, po lekarstwo dla żony, gdy ujrzeli dwa wory pieniędzy. Stary rybak pominął je, nie rzuciwszy okiem, ale Krzysztof potraciwszy nogą, podniósł wory i ukrył je za pazuchę. Kiedy wrócili, wysypał z nich złoto i srebro, do niecki, pod łożę matki, a rzucając wory próżne w ogień, rzekł z cicha do ojca.

Panie Ojcze! pięciu już braci pomarło, nas spotkała nędza i głód nie raz, tam w niecce macie pieniądze: przemyłem każdy wodą i octem: możecie się dotykać, wory palę, a teraz bywajta mi zdrowi, Bóg mi pomoże, muszę uciekać, bo worki może zapowietrzone.

I wybiegł z domostwa. Starzec upadł na kolana, zalany rzewnymi łzami, uderzył czołem o ziemię, przed obrazem Matki Boskiej i rzekł: «Stań się wola Twoja święta.»

Kiedy wyszedł Wars na miasto, po miesiącu zarazy, zieloną trawą pozarastały ulice, klasztory i kościoły, jak zamki i pałace panów obwarowały się, zaopatrzone w żywność i w wodę. Z murów niektórych, spuszczano

na sznurach chleb i wodę. Błąkał się długo rybak samotny, mając pieniądze, a nie mogąc kupić żywności. Jak żebrak, podstąpił pod mury pałacu Kozanowskich (*) i drżącym głosem, prosił chleba dla chorej żony. W wysokim oknie ukazał się dworzanin, i rzekł liłosnym głosem.

— Do klasztoru idź mój bracie! pana nie ma doma, a chleba, my sami nie wiele mamy.

Spojrzał Wars z pogardą i poszedł dalej, jakoż z murów OO. Kapucynów, podał mu czcigodny kapłan: chleba, kaszy i butelkę wina.

— Teraz idźcie doma (*rzekł do rybaka*), a jak zapotrzebujesz przyjdź znowu, Bóg opatrzny czuwa nad wszystkiemi.

Poszedł starzec pustemi ulicami, i w zadumie, oblewając gorzkiemi łzami strawę podaną, postępował z wolna. Jakaż to cisza grobowa, zaległa gwarne niedawnemi czasy

(*) Dziś dom Dobroczynności, na Krakowskiem Przedmieściu.

miasto, nie usłyszał głosu człowieczego, jeno wycie drapieżnych zwierząt. Tak idąc, wyszedł za miasto pod *Wolą*, i stanął podziwem zdjęty. Resztką ludności uboższej, co opuściła domy, tu gronem klęczała znędzniała i wybladła; każdy drżącym głosem jawnie się spowiadał, a pobożni kapłani, udzielali rozgrzeszenia. Nie jeden, nie domówił słów zaczętych, i padał, zamykając oczy na zawsze: drudzy wystraszeni uciekali w lasy, co w około otaczały Warszawę. Wars padł na kolana, a rzewne wzniosłszy modły Boga, powstał, i z lżejszym sercem, wrócił do domu.

Nie tylko miasto, okropną przybrało postać, okolice na mil kilka, opustoszały nawet, a trupy liczne, zalegały drogi i pola. Stada wron, kawek i kruków, krążyły nad zwłokami, ale jakby czując zarazę, nie tknęły żadnego. Drogie sprzęty, srebrne naczynia, pieniądze w worach, leżały po drogach, i ulicach w mieście, ale nikt ich nie tykał, bo z nich mógł zachwycić za-

razę. Jaka licha wartość bogactw i pieniędzy, to wtedy ujrzałeś: trwoga, a myśl ochrony życia, w każdym sercu biła, miliony mogłeś sypać bez straży, jedno słowo »zarazone,« strzegłyby lepiej, jak warowne zamki, i zbrojne szeregi.

Codziennie rybak stary, modlił się gorąco Bogu, aby ujrzał syna, ale napróżno. Żona wstała z łoża, które zaległ nie długo starzec. Skwarne lato przeminęło, zbliżyła się jesień, nieszczęśliwi mieszkańcy pozostali, pragnęli jak zbawienia mrozu i śniegu, w nadziei, że te przytłumią zarazę. Wiatr już chłodny, ze szronem nie raz powiał, zimno w domostwie poczęło dokuczać, staruszka obawiała się wziąć drzewa od sąsiada, bo tam cała rodzina wymarła.

— Weźcie (*rzekł starzec*) krypę, com ją dobył na ląd, i łodzie porąbajcie, już się ony na nic nie zdadzą, a choć raz przynajmniej przed śmiercią, ogrzeją skośniałe ciało.

Gdy odeszła zrobić co kazał, rybak zasnął, a Warsowa wracając z kilką kawałka-

mi odrąbanemi od łodzi, ujrzała z podziwieniem ogień spory naniecony na kominie.

—Matko Boska! to cud jawny! (krzyknęła), a zbudzony rybak, zaczął pytać o powód jej podziwienia.

A któż napalił ogień? patrzyła, co tu su-
chego drzewa pod kominem leży.

(Spojrzała na stół).

—Miły Boże! patrzyła mój człowieku, trzy bochny świeżego chleba, gąsior miodu i piwa, kaszy worek i kawał słoniny! Kto tu był?

Nikogom nie słyszał, chyba stróż anioł, lub litościwy człowiek, którego Bóg natchnął.

Zakosztował Wars miodu i grzanego piwa wraz z żoną, i pierwszy raz niegłodni, snem miłym usnęli: odtąd dzień po dniu, świeża żywność, i pełne dzbany, ręka niewidzialna stawiała.

Już zaraza ustawać zaczęła, śnieg zakrył trawę i chwasty po ulicach, a dobre przy-
mrozki wróżyły, że klęska ustała. W przed-

dzień Śgo Marcina, przy dobrym ogniu, wygrzawszy ciało, stary Wars zaczął ze łzami przypominać, jako dawniej w gronie synów, wedle zwyczaju dawnego, gęś razem poszywali. W dzień tego patrona ubogich, i zwiastuna zimy oczekiwanej, gdy oboje wrócili z kościoła, ujrzeli drzwi otwarte, i gęś zasadzoną znaleźli na rożnie, a dzbany krakowskie, wypełnione piwem i miodem. Kiedy upiekła ptaka, i do należytego mieli siadać stołu, roztwierają się drzwi nagle, i staje w nich Krzysztof w nowej kapocie, i bogatym srebrzystym pasie.

Wars nie mógł słowa przemówić, oniemiała matka, a gdy syn upadł im do nóg, zapłakali starcy, przycisnęli do serca, jedyne dziecko, które z znalezionych pieniędzy zaoopatrywało skrycie w żywność rodziców, i nieciło dobry ogień na kominie. Krzysztof już teraz bez bojaźni, że nie zarazi rodziców, śmiało ich kolana uściskał.

* * *

Rodzina Warsa, znikła na tym Krzyszto-
fie, który umarł bezpotomny, w lat kilka,
po wstąpieniu na tron Augusta 3go.



PRZYPISY.

(a) «Roku 1708 w *Nowém-Mieście* i na Krakowskiem przedmieściu, okazała się zaraza śmiertelna w Lipcu, przez chorągwie kwarciane z Krakowa przybyłe naniesiona: mieszkańcy znaczniejsi powyjeżdżali, ta kara niebios trwała do Stycznia 1710 roku. Na murze blisko świętej Trójcy, niegdyś kościoła Panien Brygidek przy ulicy Długiej, znajduje się dotąd kamienna tablica pamięci «Doroty Kuklińskiej» i «Maryanny Okuniówniej» zakonnice, w ten czas z powietrza zmarłych, poświęcona. Zmarło 30,000 ludzi, 10 Missyjonarzy usługujących, z bractwa S. Benona 49 padło ofiarą! (*Opis Warszawy L. Gołębiowskiego 1827 r.*) W roku 1712 wybuchła zaraza morowa tym sposobem, jakśmy ją opisali z podania w mieście, które slyszalem w swojej młodości. W kościele OO. Jezuitów obok Fary, oltarz ś Franciszka Ksawerego, posiadał szczególniej ten przywilej, że co rok 3 Grudnia, święcono nadzwyczajnej wielkości świecę woskową, na pamiątkę wybawie-

nia od powietrza wr. 1661. Dopelniano tego podczas mszy *Rorate*; żyje jeszcze wiele osób, które pamiętają ten obrzęd religijny.

(b) «Jakubówką» nazywa się wezbranie Wisły, które na święty Jakub, mniej więcej rok rocznie bywa.

(c) Rzeczywiście flisy takich obrzędów używają, do uproszenia wiatru. Sam to widziałem na Wiśle, pod Wyszogrodem.

(d) Jeszcze znalazłem starców, co pamiętali las wprost kościoła księży Pijarów na Długiej ulicy (*gdzie dziś cerkiew*). Miejsce to zachowało swoją nazwę: była tam kawiarnia zwana «*Suchy las*.»

(e) Takie podanie jest między ludem o założeniu Warszawy ustalone: lubo P. Ł. Gołębiowski (*w opisie Warszawy*) przytacza, że niewiasta stara, zwana Ewa, dała początek, na którą wolali z dała flisy głodni «*Warz (gotuj strawę)* Ewa, i stąd Warszewa, a później Warszawa.

V.

KLECHA.

OBRAZ HISTORYCZNY.

Minęły już one lata,
Gdy Klecha zażywał świata:
Gdy ludzie dobrzy bywali,
Co do szkoły jeść dawali.

Pieśń Klechy z 1633.

(Szkolna mizeryja w dyjalog zebrana).

(Z dwoma drzeworytami).



MD. 927

(Inventarjusz 1906 2)



Wyprawa Albertusa z Klebby na wojnę.



*Albertus z wojny.
Drukarnia z r. 1796.*



nr D. 727



nr D. 727

nr D. 727



I.

Na początku XVI wieku, już widzę Klechę wspomnianego u nas, jako sługę kościelnego. Klecha w on czas, dzielił niemal władzę ze swoim plebanem: on chodził w każdy tydzień z kropidłem po wsi, święcąc kmieci i domostwa, pomagał mu w tém nie raz i Kantor, obydwaj biorąc wynagrodzenia za to, jak mówią: »*Fraszki Sowirzała nowego*,« z czasów Zygmunta Augusta.

*Kantor idzie z wodą, a Klecha z kropidłem,
Ten połowi barany, ów kokoszy sidłem.*

Mógł jako Pleban, klątwę na nieposłusznych rzucić, i klątwa ta, miała równe znaczenie, jakby ustami wyrzeczona kapłana. Lecz kiedy jęj zaczęto nadużywać, lud się nasz oswoił do tego stopnia, w połowie XVI wieku, że i mało dbał na nią, i klącego Klechę jak złapał, wybił mu z nasypką klątwę na grzbiecie. Tak w jednym z najdawniejszych drukowanych dyjalogów z roku 1553, skarży się sam Klecha, że kląć kmieci, co mu *myta* dłużni byli, gdy go złapali (1).

Byłoc tam chłopów na kopę,

A wszyscy mieli robotę:

Jedni rwali, drudzy lali,

A trzeci nade mną stali.

Mówiąc: »Nuż go bracia jeszcze,

Niechaj dobrych ludzi nie klnie.«

Wszystkie niemal obowiązki Klechy, w wspomnionym dyjalogu znajdujem.

(1) Rozmowy (*dyjalogi*) polskie, łacińskim językiem przeplatane rytmy, ośmio-rzeczunami słozone. w Krakowie 1553 in 12mo.

*Urząd: kościół otwierać,
Zwonić, mszę w niedzielę śpiewać:
Tys mistrzem, i tys' zwonarzem, (1)
Wszystko musisz czynić razem!
Nuż do posługi plebańskiej,
To dopiero urząd, ciężki:
Uktadaj snopy w stodole,
Idź i grab' siano na pole:
Urąb dREW księdzu do pieca,
Chceszli nie utracić miesca.*

Nadchodzi wielkanoc:

*Musi zaraz piec opłatki,
Wycierać kościelne statki:
Amputki, i téż lichtarze,
Przybrać chędogo óltarze.*

Prócz tego Klecha zarządzał szkołą wiejską, gdzie uczył żaków czytać, pisać i śpie-

(1) Zwon, mówiło się w staropolskim języku co dziś dzwon, stąd zwonić, zwonarz, (dzwonarz).

wać (1). I miał z niej swoją wygodę; dzieciaki znosiły mu, to gomółki, to masło i chleb na śniadanie, i obiady całe (2). Był i lekarzem, musiał znać zioła rozmaite, używane do leków: babywiejskie albowiem co posiada-

(1) W szkolnej mizeryi (dyjalog r. 1655) mówi Klecha :

*Jam się w szkole nie uczył, jak nakładać gnoju,
Tylko bym dzieci czytać, mógł uczyć w pokoju.
Ut, re, mi, fa, so, lam, ten dobrze solnizował.*

(2) *Masz dzieci coć przynoszą w każdy dzień
śniadanie,
«Czasem i obiady, jak jest twoje zdanie.»*

* * *

*«Dzieci zawsze kapusty z grochem przynosiły,
Nawet też i kantora przy sobie żywiły:
Pleban się nie turbował, tylko mu służyli
Klecha także z kantorem, [którzykolwiek byli.»
(Szkolna mizeryja).*

Na początku XVII wieku, już te dochody zaczęły upadać klechom: nie długo też przez nie-szczęścia, i szkółki wiejskie poniszczały.

ły mnóstwo tego rodzaju tajemnic, co w Krakowie na rynku zioła lekarskie przedawały, i uczyły o ich własnościach nieumiejętnych aptekarzy i lekarzy(1), łatwoby odkryły oszukaństwo, a Klecha na dobrém straciłby imieniu. Z tego powodu, mieli oni w samej istocie wiele wiadomości, o użyciu ziół i maści gojących.

Oprócz dochodów ze szkółki, miał część wyznaczoną z dziesięcin, ale na *kolędy* najwięcej zbierał: prócz tego, dopóki znaczenie własne utrzymywali:

*«To i chłop dał mu i korzec tatarcki,
Młynarz także odpuszczać zwykł od mléwa miar-
ki (2).*

Sam Klecha starał się o względy większych niewiast, gdy im wrzecionka malowane grynszpanem darowywał (3).

Zę część z plebańskich dochodów pobie-

(1) Herbarz Marcina Urzędowa r. 1595.

(2) Szkolna mizeryja 1633.

(3) Rozmowy (*dyjalogi*) 1553 r.

rał Klecha, stąd przypowieść u S. Rysińskiego (z r. 1619).

Ksiądz do Klechy: «A toż tak, mnie węgorz, a tobie piskorz.»

A Klecha na to: «a mnie przecie piskorz.»

Nie wiem jak wierzyć, ale dawne przysłowie naucza, że z klechów na plebanów wychodzili, lubo nie wiele sobie z nich obiecywano:

«Ciężki z kaleki pan, z Klechy pleban»

które Zabczyca poeta bardzo wzięty za Zygmunta III. tak wysławia:

*Z Klechy pleban,
Z chłopca pan,
Z niedołęgi żołnierz
radzi górę wybijają (1).*

Mało ludzi miało tyle zatrudnienia, ile Klecha we wsi: była to ważna i znacząca oso-

(1) *Politica dworskie Jana Zabczyca w Krakowie 1630 in 4to.*

ba. Jeszcze w początkach XVII wieku, kiedy Kantor go spotyka, temi słowy wita:

*Ciebie tu Dominusem często nazywają,
Żeś zjadł wszystkie nauki, tak ludzie mniemają.
Nawet jakom rozumiał, leczysz i niewiasty,
Którym pod czas przygody, dajesz teda chwasty:
I rozumieją wszyscy, że nie ma doktora
Nad ciebie ucześniego, jakom słyszał wczora (1).*

Ale nie tylko we wsi sława Klechów brzmiała, występowali w starych dyjalogach: wiele z tego rodzaju sztuk było wyłącznie poświęconych, dla tak ważnej osoby, on bawił, rozśmieszał i uczył (2). Przy kościołach wprowadzeni śpiewacy, czyli jak zwano *Kantorrowie*, najprzód osłabili wpływ Klechów, i wyżej zasiedli wedle przysłowia:

»*Czcij Klecho Kantora.*« (3)

(1) Szkolna mizeryja w dyjalog zebrana 1633 r.

(2) Obszerniej o tem mówię w obrazie: «Znakomitsze figury w starożytnym teatrze.»

(3) Przypowieść S. Rysińskiego 1619 r.

Późniejsze organy, a przy nich i organisci, powoli zmniejszając, znieśli zupełnie dawny wpływ przeważny na wsiach i powagę Klechów. Upadek ich zachowało pamięci naszej przysłowie, zapewne przez dumnych zwycięzców utworzone :

»Zgast, jak Klecha przed organistą.« (1)

Tak to upadek Klechów, jak się często zdarza, spotkały pośmiech i urągowisko.

Cofnijmy się myślą w wiek XVI, kiedy nauka pisania i czytania, nie były tak upowszechnione, a nie zadziwim się wcale, że Klechowie posiadający tę umiejętność, byli na dworach szlachty w poszanowaniu, a w siole u ludu dziwowiskiem. Dziedzice wsi, zwykle utrzymywali płatnych pisarzy do pisania listów, po wielu miejscach, Klechę, jeszcze w końcu XVI wieku, jak zwano »*Mistrza ubogiego żaka*,« używała szlachta do téj posługi. (2)

(1) Adagia Grzegorza Knapskiego 1632.

(2) Rękopism 1576 folio.

Nie wszędzie Klechom wolno było mieć żony: w *Wielko-Polsce*, przy żadnym kościele nie przyjęto żonatego (1), to pokazuje, że musiano ich uważać na równi, lub mało co niżej od plebanów. W innych okolicach, nie przestrzegano tego bynajmniej, wszakże najczęściej bezzenni byli, powód do tego tłumaczy »w szkolnej mizeryey.« Kantor, wyrzucając Krakowskiemu Klesze, że się ożenił.

*Nie żenić się to było, co wam bardzo szkodzi,
Dla żony was, ksiądz pleban, teraz za nos wodzi:
Bo widząc, iżście się żoną uwikłali,
Rozumieć, że wędrować nie możecie dalej.
I tak wam już na głowie, może rąbać kole (koły),
Wyżenie was kiedy chce, do gnoju, na pole.
A gdybyście w młodzieństwie, dotąd jeszcze trwali,
Nigdybyście przykrości takich nie doznali.
Widzicie jak młodzieńcy, co trzymają szkoły,
Nie wiedzą jako żywo, co to jest gnać woły.
Jeżeli mu też Pleban, przykre słowo rzecze,
Zarazem wzięwszy torbę, z szpargały uciecze.*

(1) Rozmowy 1553 dyjalog.

*Nie mówiąc Do gratias (1), kiedy z szkoły idzie,
A wszędy się ma dobrze, kędykolwiek przyjdzie.*

Małżonka Klechy, nazywała się *Kleszyna*, i pomiędzy niewiastami dworskimi, jako i w siole, w znacznej zostawała powadze, a w ściślejszej zawsze przyjaźni, z kucharką czy gospodynią plebanii. Obiedwie w starych dyjalogach, występowały niekiedy, obok ulubionego Klechy.

Klecha w XVI i XVII wieku, odbierała wielkie uszanowanie we wsi, mianowano go zarówno z plebanem: jak tego witano przez *Kisse (ksze) Plebanie*: tak Klechę «*Kisse-Klecho*» a nawet i *Księżę-mistrzu* (2). Nie tylko kmiecie tak go mianowali, *panem* lub *pankiem*, wojtowie i sołtysi, i szlachta dziedzice nawet, dodając często przydomek znaczący szacunek «*Magistracie*.» Tak w komedyi *Sołtysa z Klechą*, za panowania Władysława IV. wydanej, jak wita pan Klechę:

(1) Deo gratias.

(2) Rozmowy (dyjalogi) polskie 1553 r.

*Zdarz tobie Bóg wszechmocny magistracie miły,
Bogdaj twe lata zrżale? przedłużone były (1).*

Odróżniali się też i ubiorem; lubo prawie zawsze kurta albo kapota grzbiet okrywała, używali pończoch i trzewików ze wstążkami. Ten strój dziwaczny, zachowywali do połowy XVII wieku.

Dopóki czas i okoliczności, nie spospoliciły tego urzędu, pleban nazywał go w potocznej mowie *frater (bracie)*, razem z *Kantorami* i *Rybaltami*. Lecz w końcu XVII wieku, Kłechów niemal i Kantorów, na parobków zamieniono. «*Szkolna mizeryja*» z czasów Władysława IV. opisuje poniżenie ówczasowe obudwu stanów:

. *Taki rząd jest wszędzie
Między Kłechami na wsi, i między Kantorami,
Muszą nosić ze młyna Plebanowi z wormi*

(1) «Komedia Szoltysa z Kłechą, do którego jest przydane intermedium temuż podobne. W Krakowie w drukarni Waleryana Piątkowskiego R. P. 1646» in 4to.

*Mąkę: także do młyna żyto zanieść trzeba:
A ledwie mu da za to, czasem, trochę chleba.
Jeśli nie chce, dębcem go Pleban dobrze wzbierze,
Grzbiet mu dobrze koszturęm, i znacznie opierze.*

Nie dosyć jeszcze tego; musieli gnój nakładać, i wywozić w pole, z lasu drzewo wozić, często nie jedną kopę wymłócić żyta, i za lichą zapłatę, śpiewać w kościele.

S. Klonowicz sławny poeta XVI wieku, musiał patrzeć na zdrożności tego rodzaju ludzi, gdy nazywając ich pieszczonkami *Kleszkami*, mówi w «*Worku Judaszowym*.»

*Chudzi Kleszkowie,
Opuszczają pod czas kościół swój stary,
Przenoszą się na odpust do lasa od fary.*

Kantorowie, lubo dawny sposób z Klechami witania przez *frater* długo zachowywali, wywyższyli się nad nich, i uniknęli poniżenia jako śpiewacy, na chórach kościelnych. Klechów w ostatku obrócono przy kościołach do nadymania miechów w organach, i właściwych prac najemnemu parobkowi, a sama nazwa, poszła w pośmiewisko. Tak więc

w XVII wieku ów Klecha, co był główną *figurą* w polskich dyjalogach, co tyle cześci odbierał, i tak wielką miał powagę, przy każdym wiejskim kościele, dziś wzgardą okryty, stęka z zapoconém czołem, gniotąc miech ogromny, jak słuźalec organisty.

Wacław Potocki (*Jovialitates*), skromny ubogiemu Klesze napisał nagrobek.

*Kilkadziesiąt ubogiej lat był służą fary,
Tu umarł, tu pogrzebion, leży Klecha stary.*



III.

Kiedy w XVI wieku nakazano, aby duchowni i plebani *tanowego* z posiadanych gruntów, dostawili żołnierza, uzbrajali swoich Klechów, i wysyłali na wyprawę, czyli jak w one czasy mówiono: »*Na Podole.*«

Wtedy to wyszło, bardzo głośnej sławy, dziełko wiérsem, a raczej *dyjalog* pod napisem :

»*Wyprawa Albertusa na wojnę, roku 1596.*«

I drugie jako ciąg dalszy poprzedniego.

»*Albertus z wojny.*

Obydwa poemata miały liczne wydania, a co wskazuje, jak chciwie rozkupywane były.

W pierwszym do rozmowy wchodzi: *Pleban, Albertus, Klecha, Wendetarz i Roztrucharz.*

Pleban rozpoczyna, utyskując na nowe prawo, które na niego, taki ciężar kładzie.

*Owo się nie wysiedział, i nasz stan spokojny,
Miasto ksiąg ile bacząc, musim patrzeć wojny:
Już teraz wnoszą na nas, obyczaje nowe,
Chcą nas mieć do potrzeby żołnierskiej, gotowe.
Co wiedzieć, jak w to trafić, jam się w tym nie
schował,
A nim się żołnierzowi, jak żyw przypatrował.*

W tém utrapieniu, rachuje, ile go może kosztować uzbrojenie jeźdźca, a rozmyślając nad wyborem człowieka, wpada mu na myśl *Albertus* jego Klecha.

*Dobrze się tu przy szkole rządził czas niemaly,
Zejdzie się na żołnierkę, bo na nędzę trwały.
W lichém chodzi odzieniu, jje proste potrawy,
Widzi mi się, żeby był z niego rycerz prawy.*

Przywołuje więc Kłechę, który znudzony
wiejską szkołą żaków, z ochotą przystaje na
pomysł Plebana. Wybiérają się więc do Kra-
kowa, by na *Wendecie* skupić rynsztunek
rycerski i konia. Pleban ściskając worek, co
go musi nie długo wypróżnić, całą drogę
ntyskuje.

*I tą wyprawą naszą, wątpię by wskórali,
Szkoda tym stéru zwierzać, którzy nie pływali:
Sam Bóg Gedeonowi, kazal z wojska swego,
Wylączyć lud nieczemny, serca zajęczego.
Mily Boże! opak się dzisiaj wszystko dzieje,
Z świeckich ludzi stali się mowni kaznodzieje.
Plebanije posiadli, zawarli kościoły,
W dworach pozakładali, kaznodziejskie szkoły:
A nam, choć my jak żywo w tém się nie ćwiczyli,
Dobrze iż wždy, wodzie rot nie porzucili:
Bardzo ja wiem, co tobie na wojnę potrzeba,
Rychlój bym ci powiedział, co okolo nieba.*

Mimo to przecież, kupuje sam stare ostrogi bez bodźców: wyszarzane siodło, drewniane strzemiona, miecz stary, ciężki, wyszczerbiony, bo wedle słów Plebana:

*Jabym radził postarać się o starym mieczu,
Coby go to mógł ująć, czyście w garści obie:
Świątaż to, gdy dwie ręce, pomagają sobie.*

Zdziwiony Klecha taką prawdą, ogląda go z podziwem, i mówi przekonany.

*Prawie iż nienowyy, patrzcie jak zrdzewiały,
Snać że dobry, i w wielkich potrzebach bywały:
Szczerbin w nim co nie miara, tym ja mieczem
samém,
Wstawię się być rycerzem, w wojsku zwołanóm.*

Ucieszony Pleban zapalem swego bohatera, skupuje czém prędzej drzewce, rusznicę, prochownicę i konia, którego Albertus musi ciągnąć, bo sam iść nie chce: chwając w powrocie do domu, szkapę starą i chudą, że nie bryka, i Klecha bezpieczniej do obozu na takim zajedzie.

Lecz nie tu koniec troski Plebana, z płaczem dobywa ze spiżarni zapasy, by te ży-

wiły jego rycerza, i budziły w nim jednokowy zapal. Koń łeb zwiesiwszy, za ledwie stać może: mimo to, pakują na niego ćwierć grochu, pięć bochenków chleba, rzepy wędzonej, zamiast fig pół ćwierci: ćwierć jagieł i krup tatarczanych, sérów kilka, w ostatku rozrzewniony Pleban, daje mu w garnek przegotowanej kapusty, bo:

Możec się garnek przydać, uwarzyć w nim kaszę, Ba! i kiedy przy źródle, będzie stał za czasę.

Do tego parę grzywien, a dla konia pół korca owsa z sieczką, i kilka wiązek siana: »To (mówi) pożywi rumaka, będzie ci lepiej siedzieć, a nawet jest i zasłona od wiatru.«

Uzbrojony więc Klecha, z tak znamienitym przyborem, dosiada wierzchowca, poleca swoje księgi, kałamarz i liniją opiece Plebana, i robi ustny testament, wszakże z ostrzeżeniem zaraz, pewną mając, że nie zginie, otuchę, ażeby się nie śpieszył, w dopełnianiu jego ostatecznej woli. Pleban już gotowemu do boju bohaterowi, daje napomnienia, któ-

re on pokornie i spokojnie razem ze swoim rumakiem przyjmują.

. . . . Zabaw się dotąd przy Hetmanie,
Póki jeno legumin, i pieniędzy stanie:
Jeśli-ć eżem nie nagrodzi twego gardlowania,
Już będziesz miał przyczynę słuszną odjechania.
Lecz nim pojedziesz na tak niebezpieczną drogę,
Jak się tam masz sprawować, poradzę-ć co mogę.
Najprzód, od Boga poczniej, każdą sprawę swoją!
Toć stanie za tarcz mocną, i najtęższą zbroję!
Nie czyń krzywdy nikomu, nie bierz nic swawolnie
Raczęj upros, dać każdy rychlęj dobrowolnie:
Kozera się nie paraj, (*) ani żadnym zbytkiem,
Bo każdy totr u Boga, i u ludzi brzydkiem.
Z żołnierzem nie towarzysz, a zwłaszcza z hejduki:
Zbyłby prędko legumin, przez ich chytre sztuki.
W bitwie jako najdalej, w zad uchodź od czota:
Na harc nie jedź, a złego razu strzeż się zgoła.
O nierówną się nie kuś: weź-m tę radę zdrową,
Pomnij na to że muru, nie przebijesz głową.
Jednak, jeśli-że padnie co na skrzydło twoje,
Nie przepuszczaj, i pokaż innym męztwo swoje!

(*) Gry w karty.

*Wszak wiesz czem się wprzód potkać: mnieby się
tak zdało*

Kulą porazić, aźby mu we łbie zagrzmiało.

*W ten czas go możesz drzewcem z konia strącić
śladnie,*

Dopieroż głowę utniesz mieczem, kiedy spadnie.

Ażebyś cię jak ma być ze wszystkim wyprawił,

Abyś szczęśliwie jechał, będąc błogosławił.

Rozrzewniony Klecha, żegna go temi słowy:

Bogu was tu zostawiam pralacie łaskawy,

Mieście proszę w baczości do końca me sprawy.

A Pleban jeszcze raz żegna mężnego Albertusa.

Jedź w dobrą godzinę,

A przynieś pożądaną pokoju nowinę.

Klecha uderza silnie tępemi ostrogami szkapę, i żółwim krokiem śpieszy na wyprawę wojenną.

* * *

W drugim dziełku «*Albertus z wojny*» Pleban długo nie widząc Klechy z powrotem, troszczy się o swego wojownika.

*Wiesz to Bóg, co się teraz z Albertusem dzieje:
Radbym, by mi kto dodał, jeśli żyw nadzieje:
Dziwna rzecz, że nie słychać o nim, po wyprawie,
Lecz nie dziw, bo mu tuszę, nie schodzi na strawie.*

W tém zdala spostrzega jeźdźca, a włożywszy okulary, poznaje kochanego Klechę, który go już po dworsku wita:

Ehej! ksze pralacie!

Waszmości moja służba, jakoż się tu macie.

Ucieszony Pleban, wita Albertusa, a ten mu swoje przygody wojenne opisuje. Jak najprzód rumakowi w *Przemysłu*, ogon urznięto, a taki był żwawy:

*Nie mogłem na nim dwu mil, za dwa dni ujechać,
Zem musiał tu i owdzie legumin poniechać.*

Dla ulżenia ciężaru, zsiadł z konia i szedł obok, kopiją się wspierając: lecz i to nie pomogło, bo jak się w błocie przewrócił, już więcej na nogi nie powstał; Klecha zaś tak uzbrojeniem obciążony, że się nawet i przeżegnać nie mógł.

*Prawą-m się (ręką) siodła trzymał, w téjże-m miał
i wodze;*

Drzewo poń pachą: jakoż się tu żegnać w drodze.

Lewą-m zaś leguminy, i końskie obroczo

Musiał trzymać, bo były przypięte nie mocno.

Tom tak i utrzyć nosa nie mógł przez dzień cały:

Aż się więc i kobiety ze mnie naśmiewały.

Spadła-li mi też czapka, tom się więc naprosił,

Gdy się jeszcze kto trafił, by mi ją podnosił.

Zdziwiony Pleban zapytuje.

Wszak-em ci miasto czapki był przyłbice kupił?

K L E C H A.

Cóż! gdy mi się leb odniej dobrze nieoblupił,

Nie czulem już i szyję z ciężaru wielkiego.

Więc-em ją też uwiązał, u pyska końskiego:

Włożywszy trochę sieczki, aby nie ustawał,

Ale mu psi pomogli, próżnam mu i dawał.

*Po stracie dziarskiego rumaka, furmanom
sprzedaje rynsztunek koński, i własną zbroję.*

Drzewom (dzidę) sobie wymówił, kijec, i rusznicę.

I miecz: o zbroję-m nie dbał, ani o przyłbicę.

Bo suknia ublocona, także czapka moja,

Kiedy uschły, tak twarde były, jako zbroja.

*Konia-m tak już i z skórą psom i wilkom niechał,
Nie dbalem, gdy pod lubem, jak w karcie jechał.*

Tu przerywając opowiadanie, kur kilkoro, które zdobył po żołniersku w poblizkiej wiosce, ofiaruje Plebanowi, by i jego zdobyczy zakosztował: a wróciwszy do opisywania swojej wyprawy, maluje rozpusztę ówczesną żołnierzy, i utarczki z Turkami i Tatarami. Pleban zapytuje, czy sam walczył, kiedy tak dobrze opisuje, ale Klecha odpowiada:

*Chcecie wiedzieć com czynił? póki leża trwała,
To się też i żołnierka póty mię dzierżała:*

Ale gdy się kazano ruszyć ku potrzebie

Wszystkim rotom; jam one uważał u siebie

Słowa, które-m miał od was na samym żegnaniu,

Abym się nie przybliżał nigdy ku potkaniu,

I strzegł się z tego razu: tom ja pilnie chował:

Bo gdy tamci się bili, tom ja też wędrował

Kędy na Kantoryją, i przez wasze słowa,

Uszła z każdój potrzeby, cała moja głowa.

A kiedym zaś usłyszał, że na leżach roty;

To ja do nich, kościelne porzuciwszy nóty.

I tak żywiąc się przy nich, czasem się słyszało

To i owo: co się też zaraz powiedało.

*A jako pani stara, panny ćwiczy w domu,
Którym czynić co kształtem, gdzie? jako? i komu?
Jak się nisko uklonić, i gładko tańcować,
Jako krezy, i jako biéretek szychłować:
Samój zaś to nie służy, i nie czyni tego;
Także ja też rozumiem, co jęst żołnierskiego,
I umiem o tém mówić: jednak jako skoro,
Bić się z Tutory przyszło, było mi nie sporo.*

Takim więc sposobem, zakosztowawszy nasz Kłecha żołnierskiego chleba, uprzykrzył już sobie wioskę, i szkółkę żaków: przecie na wymowne przedstawienie Plebana, zostaje przy dawnych obowiązkach. Ten uradowany, że i wyprawę odbył i utrzymał Albertusa, żegna się z nim, jeszcze starym zwyczajem, nazywając Kłechę *frater*.

*Idź z Bogiem miły frater, abychmy się wcale
I we zdrowiu, da pan Bóg, jutro oglądali,
A teraz włascie Bóżej i spokojnie spali.*

Te dwa dziełka, wielkiej wziętości w swoich czasach, a dla nas nie małej ceny, bo w nich wiele domowego życia obrazów znajdujem, nie tylko odżywiły pamięć Kłechy, jakkol-

wiek szyderskim sposobem, ale stały się powodem do przysłów’:

«*Bieży jak Albertus z wojny:*»

gdy kto z tchórzowości przed nieprzyjacielem uciekał: a

«*Wyprawą plebańską*»

nazwano wszystkie liche wyprawy wojenne nasze, szczególnież z pospolitém ruszeniem.

Używa obu tych przysłów’ w kazaniach swoich, sławny kaznodzieja Fabijan Birkowski. Wspominając o pospolitém ruszeniu, jak cięży szlachcie i duchownym, mówi: «A cóż, kiedy o Tatarach posłyszysz, czy to nie bieży, jako Albertus z wojny?»

I dalej:

«Cóż tedy, mili panowie, mówicie, że przez księżą służba rzeczypospolitėj ginie? Jaka służba? Jeżeli ta którą zowiecie «*Wyprawą plebańską*» to mała szkoda (1).» Za Zygmunta III. musieli opłacić pobór na wyprawę

(1) O Exorbitancyjach kazania dwoje 1632 r. in 4to.

Chocimską, Kantor i Klecha: stąd mówi Jan Dzwonowski (1).

*Musieli iść chudacy do miasta z poborem,
Łzami się zalewając; Klecha i z Kantorem.*

W on czas to, kiedy naciśnięto duchownych, że należą do wyprawy łanowego żołnierza, i liczne w tej myśli i na jej poparcie, puszczano w obieg dzieła, znalazł się obrońca bezimienny, który chcąc poruszyć litością serca kamienne, wydał dziełko, dając mu żałobliwy napis:

*«Podpłomyk matki Fary, na poły z popiołem łzami jej rozczyniony, podany
działkom do skosztowania, jakim ją chlebem częstują.» in 4to.*

Tu rozwodząc się nad niesłusnością prawa, w te się odzywa słowa:


«Jeżeliś szlachcie, broń się sam, próżno się

(1) Niepospolite ruszenie, abo gęsia wojna Jana Dzwonowskiego, Jenerała Pilzińskiego w Krakowie 1621 r. in 4to.

obrony spodziewasz od Klechy księżego, i od snopków jego.»

Sama nazwa Albertusa, poszła w pośmiech i urągowisko, oznaczając drągala, niezgrabnego, tchórza czy bojaźliwego żołnierza (*).

(*) Słownik Lindego T. I.



VI.

DAWNE CZASY.

Gawęda z początku 17 wieku.

Z dawna to przy bankietach, zwykli dysputować,
Nie wadzi w ten czas, co kto ma w głowie spróbować.

*(Mięsopest, abo tragicomoedia na
dni mięsopestne r. 1622).*

obrony spodywarze od kłosa kłosego, i
od anafior jęga.

Sama nazwa Albertina, powstała w podobieństwie
i wygłoszeniu, oznaczająca drugą, niegra-
linę, która była w tym czasie solutna (?).

VI

DAWNE CZASY.

Przedstawienie z...
i...
i...

W tym miejscu...
i...
i...
i...
i...

PAN BARTOSZ

(Wnętrze szlacheckiej zagrody, wielka izba, na kominie spory ogień, pod oknem duża szkrzynia na kółkach, po ścianach obrazy świętych, przy drzwiach w cynowej ampułce święcona woda z kropidłem: łożo zastane kilimkiem: nad niemiem stara kołczuga, i w węzowej pochwie, zarzewiała karabela).

PAN MARCIN *(wchodząc).*

Pomaga Bóg miły kmotrze!

PAN BARTOSZ.

Bógdaj zdrów! samsiedzie: coź słyhać na świecie?

PAN MARCIN.

**Zwykle u mnie, jako w młynie, zawsze hu-
czy moja baba.**

PAN BARTOSZ.

Siadajże Wasze. Oj! tak, dym w izbie, dach dziurawy, i zła żona, co rychle wypędzą z doma. Trzeba Waszeci zawsze zmykać, jak on djabeł, a o nim powiem Waszeci. «Rozkochał się djabeł w gładkiej dziewczce i ożenił, ale jak gładka była, tak i zła była: nie mogąc wytrzymać, uciekł od niej. Dawniej był zrobił umowę z jednym człowiekiem, co mu zaprzedał duszę swoją, pod tym warunkiem, iż będzie miał prawo, trzy razy wypędzić go z opętanych. Człowiek ten wypędziwszy djabła z opętanych, nie tylko zebrał wielkie mienie i dostatek, ale stał się głośnym między ludźmi. Zdarzyło się, że po raz czwarty wezwany został do wielkiego pana, aby córkę opętaną uzdrowił. Przybył, ale uparty djabeł stosownie do cyrografu, ustąpić nie chciał. Wtedy on człowiek, rozkazał kapeli nadwornej przygrywać. Zdziwion tém djabeł, wychylił głowy z pięknej panny, i pyta co to znaczy?

— Pan tego zamku, (rzekł ów człowiek),
nadjeżdżającą Twoją żonę wita, i przyjmuje.

Ledwie to djabeł usłyszał, zaraz uciekł,
i opętana uwolnił (a).»

PAN MARCIN.

Dobrze to djabłu, bo ma gdzie uciekać,
aleć, ja gdzie się obrócę, wszędy mię mój
Herod ułapi. Teraz chora a terkocze, jak
umrze, boję się, aby mię jej upiór nie stra-
szył.

PAN BARTOSZ (*kiwając głową*).

Próżna obawa panie bracie, przecież cię
nie zabije! Dziś ludzie już i w upiory i w cza-
ry nie wierzą, a takiego, żadne się widmo
nie jęło.

Tu pan Bartosz, przysunawszy się do sie-
dzącego na ławie Marcina, zawołał: »Han-
ko! nastaw no miodu, i wsyp korzenia suto,
napijem się nieco, z swoim miłym samsiadem
i bratem.

PAN MARCIN (*ściskając go za rękę*).

Dziękuję Waszmości, za tę chętną pamięć

o swym słudze, tu téż oddycham swobodnie,
gdy zapomnę w gawędzie o domu i żonie.

PAN BARTOSZ.

Nie frasujta tak sobie głowy zbytecznie,
luboć to prawda, że te niewiasty, nie umieją
daru bożego języka szanować, ony tak ro-
bią, jak niedorostek jednego wieśniaka.

«Siał gospodarz na roli, a wzdychał czę-
sto, modląc się Bogu o plon obfity. Chodzi
a rzuca ziarno, aż zmordowany usiadł na du-
żym kamieniu, co za kopiec graniczny służył.
Kiedy pot ociera z uznojonego czoła, staje
przed nim jakiś podróżny z krzywą gębą,
w trójgraniastym kapeluszu, był to djabeł.

—Cóż to człowieku robita? zapytał.

—O! sieję mój panie, żeby było chleba
kawałek.

—Ja wam dam lepsze ziarnka: (*tu dobył
z borsuczej torby woreczek*), patrzła, są to
ziarnka wiatru, każde go z osobna poruszy, a
za całą garścią, powstanie wielka burza.

To wyrzekłszy, rzucił ziarnko jedno, a

wiatr począł świstać, rzucił potem garść całą, a burza okropna strachem napęłniła rolnika. Biły pioruny, błyskawice raziły oczy, lał deszcz obfity, którego daremnie pragnął nie raz. Przyjął więc worek z nasieniem, i przemokły powrócił do domu. Nazajutrz dla próby rzucił ziarnko, i w czas pogodny, zerwał się wichur: zawiązał więc dobrze worek czekając suszy, aby sobie pole deszczem odżywić. Miał w chacie syna wyrostka: był to wielki próżniak i gawron, mało robił, ale wszystkie w chałupie przewracał kąty. Znalazł nie długo worek, przez ojca zachowany: rozwiązał, a ujrzawszy ładne ziarnko, wziął jedno i rozgryzł. W tej chwili, jakaś go siła obaliła, wiatr wyrwał część dachu, powybijał okna, a jemu ciągle w gębę wiało z poświstem. Kiedy przyszedł do siebie, rozgniewany, porywa worek cały, wybiega na podwórze, i za chatą wysypuje wszystkie ziarna. Cóż się stało? burza całą wieś zniszczyła (c).

Owoż, mój kmotrze, tak się dzieje, i z nie-

powściągliwym językiem. Bóg dał zęby, jak na te ziarnka worek, ażeby go trzymały na wędzidle: głupi, kto ten worek otwiera często.»

PAN MARCIN.

Moja baba, nie zna co usta zamknąć!

PAN BARTOSZ.

I dla tego zawsze burza w chałupie, co niszczy spokój, i szczęście domowe.

(Marcin smutnie na piersi opuścił głowę, gdy Hanna miód zkecony, postawiła przed nim i Bartoszem w dwóch sporych garkach).

PAN BARTOSZ.

No, kmotrze! zapomnijcie biędy, rzućcie o ziemię troski, rozchmurzcie zasępiełe czoło.

I podniósł garnek, uderzył nim o garnek Marcina, a życząc sobie zdrowia, weselsi popijać zaczęli.

PAN MARCIN.

Jakiż to mój żywot nędzny! kończąc wiek młody, kiedym na wasy chorował, stan należny sobiem obierał, idąc oslep za fortuną. A chcąc nie wiele pracować, i cudzą pracę

pożywać, ożeniłem się z babą, a wdową, *bo u wdowy chleb gotowy*, dla mnieć nie był zdrowy. Dzień piérwszy, chwala Bogu, nie tak już dzień drugi, na trzecim żałował gorzko. Wnet kucharkę odprawiła, i sama strawę warzyła, a kompanom, przyjaciołom, drzwi przed nosem zatrzasnęła; szaty do skrzyni pochowała: gorzałkę z beczką zamknęła, którą jój dworzanie i chłopięta słomką powypijali. Za nos wodzony, przeżyłem lata. Baba razu nie *chorzała*, jak krzemyk zdrowa, nie zdarta, czart jój się nie dołowi, nie dopyta. Zawiozłem do zapowietrzonego miasta, insi pomarli, baba zdrowa: najechali Szwedy, baba uciekła zdrowo do Częstochowy. Pójdź gdzie szynkarka nieprzykra, a ona się dowie, woła: «Zdrajca, nie pamiętasz żeś mi przysiągł, wysypląłeś mi wszystko z *wacka* (*), a teraz hulasz, paniczkujeś sobie.» Ja się ubieram, ona pyta: «Komuż to g'woli wąsik ostrzysz, piórka zbierasz, szaty miotełką

(*) Wacek worek do pieniędzy.

ściérasz, nie mnie g'woli, pewnie, mój drogi karafijale.» Radaby, żeby wszystkie młode pomarły. Żali się «niechaj mi będą poduszki świadkami, ile ja łez wyleję.» Ja jednego diabła wspomnę, ona stu, lub tysiąc, ona wszystkich rogatych z piekła, ćmę tysięcy i więcej. W nocy śpiesz, baba kaszle, stęka, wrzeszczy. Ty nie chcesz spać, a ona spać co rychlój: a tak, cały mój żywot, gdy ja *strzyżono* ona *golono*, gdy ja *golono* ona *strzyżono* (d).

PAN BARTOSZ.

Już przyznać Waszeci muszę, żeś za błąd młodości, srodze ukaran, a jeszcze będąc potulny, i bojąc się baby. Trzeba było z początku boki dąbkiem wysmarować, a grzbiet wygarbować surowcem, zaraz byłaby skromniejsza. Ja tak się wzięłem zrazu do rzeczy, a po płaczu, był pokój domowy. Kochałem swoją niewiastę, i nie biłem jej więcej, jak dwa lub trzy razy do roku, zwykle na gody, i na wielkanoc, gdy ciasto piekła.

PAN MARCIN.

Bo wtedy musiała być najgorsza, a nie pamiętałeś Wasze na dawną przypowieść: «Na konia u stada, na pana gdy się gniewa, na niewiastę gdy chleb sadza; nie nacieraj.»

PAN BARTOSZ.

Prawdać, że człek i mało doma zagrzewał, bom służywał dworsko zawsze, za ledwie człek się na święta jakie do chałupy dochrapał. Oj! żywot dworski za moich czasów, nie był tak łatwy, jako się wydawać może: dworzani w on czas musiał nie raz za swego pana, i własnym łbem nadstawiać, ba! żywot nawet na harc stawić. Pomnę jakoś w młodych swych leciech, pan mój u którego służywał, wybierał się cichą nocą na *zajazd* blizkiego sąsiada. Wieczera była hojna, nie żałowano miodu i wina. Przy zagrzanych głowach, pan dopiero wyraził swoje prawa do wsi pana Strzembosza, i wezwał wszystkich, i każdego z osobna, co czuje krew szlachecką w sobie, aby poparł sprawiedli-

wą jego stronę. Wnet dosiadło nas trzydziestu, napadłim Strzembosza w nocy, rozbili jego służbę, ale było dosyć roboty, do dnia białego. Strzembosz schował się do ogrodu, zabiwszy kilku szlachty, gdzie ranny omgłał. Wtedy gdy go znaleziono, mój pan rzecze do mnie.

— Panie Bartoszu! przynieś Wasze misy! Skoczyłem żywie, przyniosłem z kredensu rozbitego misę srebrną: mój pan nabrawszy wody z bliższej sadzawki, przyszedł do Strzembosza, i kazał mu się umyć przy świadkach. Nie chciał w żaden sposób, aż mu pan zagroził, że go powiesić każe. Ulegając przemocy, począł obmywać twarz, ale pan pilnował, by i ręce umył. Wtedy rzekł do nas:

— No! panowie bracia! Strzembosz *umył* się od swego dziedzictwa nieprawnie posiadane go, teraz należy do mnie (e).

PAN MARCIN.

To zapewno zostało po tem przysłowie: «*Nie umył się do tego.*» Moja baba, często mi to powiada, gdy jej proszę o co.

PAN BARTOSZ (*kivając głową*).

Tak! tak! Ale powiem Waszeci, że na sucho memu panu nie uszło tak dalej. Na drugiego samsiada, zebrał dużo szlachty i piechoty nie mało zbrojnej, a samsiad przygotował się dobrze i zagrał mu sarabandę. Tańcował on całą noc, jak go wzięto w obroty. Samsiad dowiedziawszy się od przychylnych sobie o napadzie, ukrył się w chróstach ze swemi, po nad drogą. Wśród cienia nocy, przeszlim cicho, patrzem we dworze ciemno, muszą spać wszyscy, jakoś i konie nasze poczęły parskać dając dobrą nadzieję, a więc śmiało na przód. Aż tu nagle z tyłu i z przodu, i z obu stron drogi, jak sypną by grochem na ścianę, spadło dużo szlachty, zajęczało i hajduków pieszych nie mało. Nie dosyć, zaraz potem zbrojni na koniach rozbili hajduków naszych, i wycięli wiele: pana rannego wzięto do lochu. Ja, dzięki Bogu, wymknąłem się gracko, dostawszy dwie kresy przez czoło, końcem ussarskiego koncerza, i lekko draśnięty kulą w łytkę. Zmykałem

jakby mię śmierć goniła, jużem na takie wyprawy nie poszedł więcej (f).

PAN MARCIN (*popijając miodu*).

Ja w on czas więcej za piecem leżał, ależ potem krzyżową sztuką, machałem nie raz szablina. Zawsze to jednak głupia sprawa, bo trzeba coś dostać w przydatku, i owo noszę *signa*: pół ucha uciętego, palec ucięty, i na brodzie szrama.

PAN BARTOSZ

(*wstaje z uszanowaniem, kłania się, i ściska mu rękę*).

Te *signa*, powiększają mój szacunek dla Waszeci, myślałem żeś za spódnicą całe życie siedział. Daj, niechaj te szramy ucałuję. Hanno! staw tu zapleśniały gąsior wiśniaku.

PAN MARCIN (*rozczulony*).

Mości panie Bartoszu, mnie wielce miłościwy panie bracie, wierzcie mi, iż czuję głęboko, tę waszę ku mej osobie estymę, i dziękuję poniżenie, że mię tak raczycie gościnnie.

(*wąchając gąsior przyniesiony*).

To rzecz rzadka *by raróg*, człek dawno

tego nie widział na oczy, bo moja baba wszystkiego chroni; raz piłem podobny, na wyprawie z panem hetmanem przeciw Tatarom....

PAN BARTOSZ (*robiąc duże oczy, z podziwieniem*).

Jako! wasze panie bracie zaglądałeś w oczy tym psom poganom.

PAN MARCIN (*podnosząc głowy dumnie*).

Tak, zajrzałem im w oczy, i mogę rzec, że z tej ręki trzech czarnych djabłów oddałem na tamten świat ich bratu, tak mi panie Boże dopomóż.

PAN BARTOSZ (*ściskając go serdecznie z rozczuleniem*).

Panie Marcinie! gdzie Waści posadzę go-dnie! pijcie zdrowi! Hanno! dereniaku! maliniaku z przedpotopu! Ale opowiedz mi Wasze, jak to było, tylko popijajcie nieco.

PAN MARCIN.

Jakoś we dwa lata po ożenieniu, wieść rozbiegła, że się o mil kilka od naszego miasteczka, liczne kosze pokazały tatarów. Pan Hetman zwoływał wszystkich ku obronie, bo

już dużo luda pobrali w jassyr i kilka zamczków zdobyli. Nic nie rzekłszy swojej żenie, stawiłem się pod chorągwią, a dostawszy rynsztunek i konia od swego brata, dalej z kopyta.

(z zapalem).

O! panie bracie! w on czas krew' żywiej biła w tętna, a śmiałość junacza jęczała w sercu, chcąc się na jawie ukazać. Pięćset towarzysów zebranych, ruszyło cwałem.

PAN BARTOSZ (stojąc przed Marcinem z uszanowaniem i dolewając coraz próżną szklenicę).

Pijże panie bracie.

PAN MARCIN.

Tak, godzin dwie mało spoczywając, goniliśmy: aż tu pod lasem, dojrzelimiśmy psu bratów: i choć konie zgrzane, z kopyta na nich. Ha! ha! ha! zawrzyszczeli z dala, i tak wiele strzał puścili, aż słońko zasłoniły. Nie widziałem nic w on czas panie bracie, jak tylko tych pogan z małemi oczkami, śniademi pyskami, i ich kożuchy. Zajrzeliśmy sobie w oczy, i przyszło na rękę: do razu

ich szyk w pół miesiąca złamaliśmy. Kopy-
ją przybiłem jednego do ziemi, wił się jak
wąż, gryzł zębami drzewce. Kiedyśmy rozbili
część hordy, dopiero w pojedynkę gonię, nie-
bezpieczna to sprawa, bo Tatar sroższy gdy
ucieka, nim kiedy czołem nadstawia. Napa-
dłem na ich starszego co go *Murzą* zowią,
musiał mieć jaką szablę polską, bo mi ob-
ciął drzewce: rzuciłem je więc, i na gołe
szablíce *hajda w taniec*.

PAN BARTOSZ.

Odpuście nieco kmotrze, popijcie nie-
co... więc z *Murzą* na rękę.

PAN MARCIN (*pijąc*).

Tak, panie bracie, za drugim składem, rę-
ka z szablą na ziemi, i *Murza* na ziemi za-
bełkotał jeno, pod kopytem mego konia.

PAN BARTOSZ.

To już dwóch.

PAN MARCIN.

Rozbici Tatarzy, grzbietami pokryli całą
drogę, ci co uciekali, w przestrachu rzucali

swoje kożuchy, co im zawadzały, trupy ich leżały w okół, jak mogiły na stepie, ale wielu bronilo się zażarcie, choć który i konia stracił. Jeden przy samym lesie, ciągnął na smyczy rzemiennęj naszego brańca, poskoczyłem, smycz przeciąłem, a samego Tatara pochwycił, ale nie długo pożył, bo od rany w głowie zadanej moją demeszka, w kilka godzin skończył (g).

PAN BARTOSZ (*całując go w uniesieniu*).

Miły bracie, za zdrowie Wasze piję.

PAN MARCIN (*już podchmielony dobrze pijąc*).

Dziękuję!... dziękuję!... Jakiż to wtedy ujrzelismy widok! Poważne niewiasty, szlacheckie córy, zacni mężowie, dopiero z łyk uwolnieni, na kolanach nam dziękowali za oswobodzenie. Ileż tam dzieci po polach leżało, których matki wyszukać nie mogły! W on czas rycerstwo z koni padło na kolana, i zaśpiewalismy razem *Te deum laudamus*.

Tu pan Marcin jak wyrzekł, tak uczynił:

upadł na kolana, padł w uniesieniu i pan Bartosz, ale Marcin pijąc za wiele niezazwyczajony, już się podnieść nie mógł, upadł i zsunął w objęcia gospodarza, który go zaniósł na swoje łoże. Sam rzucił na ławę kilimek, za nim się położył na takim posłaniu, zaświeceł łuczywem rozpaloném nad łożem Marcina, i wskazując go córce swojej, wyrzekł: — Patrz, śpi nasz samsiad! niech mu nie przeszkadza do wyweczasu, on był na wyprawie przeciw Tatarów, i bronił naszych kopców.



PRZYPISY.

(a) Powieść ludu.

(b) Patrzeć dzieło *«Bohomolca, djabeł w swojej postaci»* gdzie są opisane zdarzenia, w których ci, co ucinali mniemanym upiorom głowy, posokę z trupów zmieszawszy z trunkiem, wypijali u nas. Miało to być skuteczném w tym sposobie: iż tego, który to wypił, upiór już nigdy nie tknął.

(c) Powieść ludu Mazowieckiego.

(d) Z Broszury XVII wieku, gockim drukiem in 4to: *«Baba, albo stary inwentarz»* Matlaszewskiego z Babożenic.

(e) Z opowiadania pana Adama Czyżewskiego.

(f) Z opowiadania tegoż.

(g) Cały opis bitwy z Tatarami, jest skróślony wiernie podług owoczesnych poematów naszych.

VII.

OLEJKARZ.

•Węgrzyn kusy z olejkami,
Do szopy przybywa •

Kantyczki.

OBRAZ HISTORYCZNY.

PREFACE

(1) The first part

(2) The second part

(3) The third part

(4) The fourth part

(5) The fifth part

CHAPTER I

(6) The sixth part

(7) The seventh part

(8) The eighth part

(9) The ninth part

(10) The tenth part

(11) The eleventh part

(12) The twelfth part

(13) The thirteenth part

(14) The fourteenth part

Węgrzyni, tak blisko nam sąsiedni, nie wielki przecież wpływ na nas wywierali: były różne języki u nas w modzie, jak czeski, łaciński, hiszpański, francuzki, włoski; nigdy przecież węgierski, wyjąwszy używania ich sławnych przekleństw, i kilku wyrazów (a). Przypominali się często tylko ubiorem i czapkami, gdy bywały w modzie; a rok rocznie, zalewali swoim winem, dawną Polskę.

W przysłowiach, znajduję kilkokrotne wspomnienie Węgrów.

Stara przypowieść XVI wieku mówi:

Tom III.

16

»*Djabeł Ewę po włosku zwodził, Ewa Adama po czesku, Bóg ich po niemiecku gromił, Anioł zaś po węgiersku, z raju wygnał.*« (b)

Tu mamy skreślone i zdradę z chytrą włoską, i pochlebstwo czeskie i długie niemieckie wykrzykiwania, a w końcu, po węgiersku ujęcie szabli, i węzłowate zabranie się do grzbietu.

Do najlepszych rzeczy, policzano u nas w XVI wieku, te cztery rzeczy:

Koń turek, chłop mazurek: szabla węgierka, czapka magierka. (c)

Jak węgierską szablę, wychwala książę Jabłonowski (d), »szabla takowa płytka, twar-
da, sieczysta, jest wyborna;« tak gani czapkę magierkę.

—»Była ona w ten czas w Polsce modna za królów polskich, co i węgierskiemi byli, ale cale nie ma żadnego, ni do ozdoby, ni do w czasie przymiotu.« Pamiątkę niekiedy magierek już niewidzianych, w Krakowiakach zasłyszymy:

*Pojadę ja przez wieś, zdejmę magiereczkę,
Poklonię się matce, dostanę córeczkę.*

Oprócz czapek, był i strój węgierski, używany za ostatnich Jagiellonów, ale z tyłą nie raz dodatkami obcych ubiorów, że przysłowiem owoczesnych wyśmiewano modni-siów, iż się przybierali: »z kiepska po węgiersku.«

W broszurze z czasów Zygmunta Augusta: »*Fraszki Sowirzała nowego*, znajduję w opisanii różności nacyj« ostrą na Węgrów przyganę, że się chwyтали luterskiej wiary. »Wę-gier (mówi) gospodarny:

*Ma dobre towary,
Jedno nie strzyma wiary;
Jeśli z Bogiem skłamali,
Któż im wierzyć ma dalej?
Nowa wiara, chłop stary,
Djabłu wdzięczne ofiary.*

Sąsiedztwo Wę-gier, mówi T. Czacki (e), dało nam w przykładzie jeden zwyczaj te-

raz zapomniany: że kiedy hultaj jaki bezżenny, był skazany na śmierć, a dziewczka mu zarzuciła chustkę, i jeżeli takowy chciał się z nią ożenić, uwalniano go od kary śmierci. Lecz zwyczaj ten, był tylko czasem od Magistratów miejskich tolerowany «.

W starodawniej ziemi naszej, wina węgierskie, największy odbył miały, takowe zaś w nich Polacy upodobanie mieli, że przyśłowiem:

»*Non est vinum, nisi hungaricum* ;«

pokazuje widomie, że wino jedynie węgierskie winem nazywali, lubo niewiasty wołały wina włoskie. Wino to powszechnieznane *madzar* (f), miało w sobie *colorem, saporem, et odorem*, barwę, smak i wonność wdzięczną, wedle starych znawców. Prócz wina, wprowadzali do Polski wielką ilość swoich sławnych śliwek i szub, albo raczej kożuchów baranich, z kolorowemi ze skóry wierzchami.

Jak dziwne o węgierskiej ziemi lud miał

wyobrażenia, niech posłużą za dowód dwie pieśni: *Litewska* i *Ruska*.

Litwa, Węgry wystawia za raj sobie, a Ruś bliższa nawet, prawie za koniec świata uważa, utrzymując, że tam ani koguty nie pieją, ani zorzy i dęszczu nie ma, trawa nie rośnie, i koń pastwiska nie ma.

1.

*Dziś litewski miód pijemy,
Jutro na wojnę pójdziemy:
W Węgierskie kraje!
Tam wina, jak u nas wody,
Złote jabłka i jagody,
Sady jak gaje.*

* *

*No! i cóż tam zrobiemy,
W tój Węgierskiej ziemi?
Jak na skałach zrodzi zboże,
Jak na śniegu zejda róże,
Jak wyschnie morze (g).*

* *

2.

*Poichaw Starosta w uherskuju zemlu
Uhrynoczku w lubyty:
Uhrynoczku sy w lubyw,
Hospod mu ne prysudyw,
Bo w uherskij zemli.
Kurońki ne pijut,
I swit nie switaje,,
I sonenko ne schodyt,
I trawońka ne roste,
I konyk sia ne pase (li).*

Mimo to, bliżsi mieszkańcy gór, co roz-
graniczają dawną Polskę od Węgier, w pie-
śniach swoich obrzędowych, wysyłają *swa-
tów i dworskich*, po wino i wódkę do wę-
gierskiej ziemi, a świt jaśniejący nad Kar-
patami, oznaczają wyrażeniem że to

»*Węgierka świta.*«

Olejarze, zwykle *Stawaki*, których w po-
spolitym języku, *Węgrami* nazywano, od
bardzo dawnych czasów, wędrowali w Pol-

sce, wyłudzać grosze. Ślad tego, mam w starych kantyczkach, na urodzenie Chrystusa, gdzie gdy wszystkie narody, śpieszą do dziecińcy, leżącój w żłobie na sianku :

Węgrzyn kusy z olejkami,

Z krepulcami,

Do szopy przybywa,

W toż głosu dobywa:

Legem, legem, malatana,

Sem prynosim tu dla Pana,

Strafe olejki (i).

W XIII wieku, w Czechach na teatrze, w wystawionym dyjalogu, już występował przebiegły olejek na jarmarku, i jego *pajaco*. Obadwaj kuglarstwem i figlami zwabiają gmin do siebie, który kupując od nich różne leki i maści, stosowne od obydwóch odbiera przestrogi i nauki w satyrycznej mowie, i na takowe odpowiadając wzajemnie, odcina się satyrą. Jest w téjsztuce, mówi W. A. Maciejowski (k) pełno grubego i tłustego

żartu, lecz rzecz zgrabnie zastosowana do miejsca i ówczesnych zwyczajów.

Olejarze ci, były to wędrownie apteki, wędrowni doktowie razem: baby lekarki kupowały od nich maście sławne, jak rycerstwo nasze i szlachta maść zwaną *lardum*, która rany goiła, i rzemienie odmiękczała (1); *dryjakiew*’, pomocną na choroby skórne i ukąszenie węża: olejki pachnące; do czernienia włosów i t. p. Sami ci oszuści ogłaszali, że mają lekarstwa do zapłodzenia niewiast, utycia podług woli i miary, a nawet prędkiego pójścia za mąż lub ożenienia się.

Pocziwych kmieci naszych oszukiwali najwięcej. Spotkał chorego, po przywitaniu, nie pytał o rodzaj choroby, ale zapowiadał z góry, że on zna, co mu brakuje.

— Oni sem su slabi, nemocni?

Wieśniakin kiwa głową, że prawda.

— Nu! ja znam co im brakuje: ket’ oni sem pod horu idu, to im cieżko, i dyhat’ ne mohu: a jako z hory, to sem im lekko: a co prawda?

Wieśniakin zadziwiony, uważa go za szczególnego lekarza, i przyjmuje każdy proszek, każdy olejek co mu podawał, płacił z ochotą, w nadziei uzdrowienia prędkiego.

Olejekarze ci, tak potrafili zjednać sobie zaufanie i wiarę ludu, że w każdej wsi znaleźli łatwowiernych kupców, na swoje przechwalone towary. Czegóż jeno zażądał, mieli na wszystko, potrzebne w apteczce plecowej maście, olejki i proszki. Na dowód oszustwa, przytoczę jedno zdarzenie, podaniem do nas doszłe.

W pewnym dworze, pani domu zażądała od olejkarza przechodzącego, na pchły i pluskwy jakowej trucizny, albo *olejku*. Ten jak zawsze, na każdy rozkaz gotowy i posłuszny, dobywa proszku, bierze dobrą zapłatę, i wychodzi dalej. Ale pani zapomniała się wypytac, jakim go sposobem używać: każe więc zawrócić Węgra. Przychodzi, a zapytany, daje śmiało poradę, że pchłę albo pluskwę potrzeba złapać, i posypać proszkiem, a niezawodnie zdechnie.

Lubo zniknęli już nam z oczu olejkarze, pamięć ich dochowują dotąd tak zwane *Szopki*, z którymi chłopcy od Bożego-Narodzenia przez zapusty, chodzą od domu do domu śpiewając pieśni, i ukazując rozmaite *figurki*. Pomiędzy temi, jak zawsze, musi być Heród i djabeł co go porywa, tak i olejkarz z mastyksami swoimi, dzwigając wielkie pudło leków na plecach, albo przed sobą, i zachwalają «*strafe olejki.*»

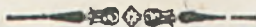
W dawnych naszych dyjalogach, wprowadzono ich także, i wybornie zastępowali miejsce owych szarlatanów włoskich, co objeżdżali miasta i wsie z lekarstwami cudownemi.

Węgrami, nazywają także kramarzy Sławaków, co dotąd jeszcze po Galicyi z towarami chodzą: są to po większej części mieszkańcy z *Turczańskiej* stolicy (*obwo-
du*). Z pudłem na plecach i czekaniem w ręku, po kilka miesięcy są w ustawnej wędrówce. Byli oni dawniej więcej użyteczni, ułatwiając kupno towarów, gdy obchodzili dwory szlachty, teraz przy łatwości handlu,

nie za długo utracą zupełnie swój sposób zarobkowania.

Olejkarzy u nas, nazywano często *Dryjacznikami*, że przedawali *dryjakiew'*, sok wielce pokupny u ludu naszego. Sok ten otrzymywano w części ze żmii, służył przeciw jej ukąszeniu i przeciw truciznom: stąd przysłowie:

«*Wyciągać dryjakiew' ze żmii*»
to jest: złe, na dobre obrócić.



PRZYPISY.

(a) Zdaje mi się, że wyraz *kord*, a po węgiersku *kard*, od Węgrów wzięliśmy. *Kord* nasz od szabli musiał się wielce różnić, gdy przysłowie dawne stanowi między niemi różnicę: *«kord do boju, szabla do stroju»*.

(b) S. Rysiński przypowieści r. 1619.

(c) Tenże.

(d) W rękopiśmie pisanym w fortecy Königstein r. 1715.

(e) O Litewskich i Polskich prawach T. I.

(f) Węgra nazywano w XVI wieku u nas *«Magier»*.

(g) Przekład A. E. Odyńca.

(h) Pieśni Ludu w Galicyi Wacława z Oleśka.

(i) Kantyczki nabożne z XVI wieku.

(k) Magazyn Powszechny Nro 28 z r. 1837.

(l) Wyprawa plebańska Albertusa na wojnę w Krakowie 1596 in 4to.

VIII.

D Z I A D E K.

GAWĘDA z KOŃCA XVIII WIEKU.

Z RODZINNEGO PODANIA.

I.

Dziewiędziesiąty rok dobiegał, jak Stolnik pierwsze światło ujrzał, jak go matka do serca przytuliła, ojciec następcę swego radośnie powitał, i w kołysce uśpił. Przebywszy tyle burz w życiu, pochylony wiekiem zgrzybiałym, umysłem i stęraną siłą, wracał do dzieciennego wieku, i jak dawniej wypoczywał w kołysce, tak teraz zasypiał w dużém krześle. Hanna, młoda wnuczka, była ostatnim kwiatem, co mu umiłał żywot długi, ostatnią zarazem gałązką, z bujnego szczepu Stolnika domu, bo synowie i córki,

razem z jego ukochaną małżonką, spoczywali już snem wiecznym, na smętarzu przy parafijalnym kościele we wsi. Ona jedna tylko została, co starca rozweselić umiała, i pielęgnować to dziecko, siwe, pragnące ciągłego spoczynku, i wygody.

Kiedy wieczór Hanna przy kądzieli siedząc obok dziadka, śpiewała piosnki; starzec słuchał, czasem zanucił z cicha, i usypiał snem miłym.

I teraz w pobliżu komina, siedział starzec, popijając winną polewkę. Wiatr zimny poświsływał na podwórzu, Hanna z zaszępieniem obliczem, to przyrzucała drewek dębowych w ognisko, to przędła na kołowrótku, rzucając często oczyma w okno, skąd widok na sad owocowy, a w jej oczach, malowało się oczekiwanie z bojaźnią.

—Dziecię moje, czemu nie śpiewasz, rzekł starzec: śpiewaj, to weseli dom opustoszały.

Hanna zwiesiła głowę, i zanuciła znaną piosnkę ludu.

*Przyleciał sokoł, przed tutejszy dom,
I padł w ogródeczku,
Przy wonném ziółeczku,
Roztoczył ogon.*

* *

—» *Kasieczku miła, Jasio cię woła,
Byś do niego wyszła,
Sama jedna przyszła,
Sama jedna, zgoła.*«

* *

*Kasia nie chciała,
Lecz posła wystąpiła:
Poseł nic nie sprawił,
I długo się bawił,
Potém sama poszła.*

* *

—» *Terazże teraz, wóz mi zataczajcie,
Pojedziemy w nasze strony,
Kędy dom mój ubielony,
Konie zaprzęgajcie.*

* *

*Jak ci wyjechali daleko na pole,
Kasia zapłakała,
Ręce zatamata,
Na swoją dolę.*

* *

—*» Obejrzej się Kasiuśko, obejrzej ko-
chaniem,
Czyliś czego zabaczyła,
Czyliś mną już pogardziła,
Na co płkanie?*

* *

—*Miły Jasiu, zabaczyłam dla ciebie
cnoty,
O! daj mi się do dom wrócić,
Serce ojca nie zasmucić,
Jasiu mój złoty!...*

I nie skończyła ostatniej zwrotki tej pieśni, łkając rzewliwie. Ta pieśń, dobyła z jej serca boleść tajoną, a łzami nie rozplynęła się wcale. Starzec już usnął, gdy lekkie stuknienie w oknie, dało się słyszeć.

—Bożeż mój! czy to już?

—Tak, moja Hanno, czekam od dawna, już wszystko gotowe.

Drżało biedne dziecię, wahając się na przemian. Spojrzała na dziadka.

—O! Najświętsza Panno! ja go mam opuścić, a któż go pielęgnować, kto o nim staranie mieć będzie.

I uklękła przy nim, całując go w opuszczoną z poręczy rękę.

—Hanno! moja Hanno! mamże więc odejść, i nie widzieć cię nigdy! (*zabrzmiął mocniejszy głos w oknie*). Dobrze! odejdę, ale więcej na tej ziemi, już się nie ujrzymy.

—Dziadku mój drogi! (*wyjękło dziewczę ściskając śpiącemu kolana*), czy ty mi przebaczysz? Daruj mi! przebacz! bo ciebie nie opuszczę na zawsze, i wkrótce znów będę przy tobie.

—Boże błogosław! (*wyrzekł starzec snem zmorzony*), a Hanna jednym skokiem stanęła przy oknie. Czekał na nią dorodny Jan-ko; przebiegli chyżo sad długi: na gościńcu czekała bryczka, i cztery dzielne bieguny,

za chwilę już przejechali granicę dóbr Stolnika, i zniknęli w bukowym lesie.

Kiedy zegar uderzył dziewiątą wieczorną, weszła stara Brygida klucznica, i gospodyni domowa, aby pana zaprowadzić do łoża: pomagała jej w tém i Hanna.

Patrzy, okno roztwarte: nie mając podejrzenia, z podziwieniem zamyka: czeka na pannę daremnie. Niespokojna dopytuje, nikt nie wie gdzie znikła: biedna niewiasta, poczęła głośno szlochać.

— Co się stało? Zapytał zbudzony starzec, czego płaczeta? czy gęsi lis porwał, czy zginęły kurczęta?

Panie! odrzekła klucznica: wielkie nieszczęście! pannę nam porwano!

— Moję Hannę? Hanno! Hanno! odezwij się przecie! I stanął krzepko na nogach, z podziwieniem domowników, bo już lat trzy jak podupał, nie stąpił i kroku. Pawle! (*zawołał silnym głosem*), niech dworscy zbrojnie dosiędą keni, rozpalić pochodnie. A teraz podajcie mi kołczugę, moję

szablę z nad łoża, i czapkę z czepcem żelaznym.

Paweł zbladł, osłupiał: myślał że ostatnia godzina starcowi wybiła, patrzył rychłoli z wysilenia skona: lecz Stolnik stał krzepko, z wyniesioną prawą ręką w górę, jakby się gotował do cięcia szablą nieprzyjaciela.

Brygida upadła na kolana, zaklinając go, aby usiadł, lecz starzec grzmiącym głosem wołał szabli i zbroi. Gdy Paweł w przestachu nie wiedział co czynić, Stolnik pewnym krokiem zbliżył się do łoża, i zdjął szablę: pachołek podał mu drucianą koszulę, i czapkę z żelaznym czepcem.

—A teraz, dziatwo moja! zawołał Stolnik, trzeba ciało wzmocnić, podajcie puhar herbowny.

Drżąca Brygida, patrząc jak na cudo, nalała puhar żądany, który do dna starzec spełnił, i wyszedł na ganek prowadzony od Pawła, chcąc dosiąść rumaka.

Rozjaśniło sześć pochocku pomrokę nocy grubej jesieni: na pięciu koniach siedzieli dworsecy uzbrojeni.

— Rozdzielcie się Wasze na dwie części, jedna ze mną, druga w przeciwną stronę z kopyta! Nie ma przebaczenia! tnićj! rąb! uwodziciela! Zabiję, zapłacę! (wołał coraz z większym uniesieniem), ale odbiję moję Hannę!

A po tych słowach, wspomnieniem utraconej wnuczki dotknięony, osłabiał, zachwiał się i upadł. Dworscy otoczyli wieńcem biednego starca, a sześć pochodni ukazało widnie blade, śmiertelne oblicze Stolnika i twarze smętne, zapłakane, domowników przywiązanych.

II.

Dwa lata dobiegało właśnie od chwili zniknięcia Hanny: Stolnik i teraz jak w owej dobie siedział przed kominem, a miejsce Hanny zajmowała stara i zgarbiona pod brzemieniem wieku Brygida, nucąc drżącym głosem dawne pobożne pieśni.

Starzec nie liczył godzin, ni czasu minionego, bo sen częściej niż kiedy mrużył mu oczy: snami żył błogo, widział w nich nie raz to zmarłą córkę, to Hannę swoją, ów skarb drogi, który tak nagle utracił. Brygida słyszała we śnie Stolnika, bolesne westchnienia, a nie raz imię Hanny powtórzone: a przecież na jawie, zdawało się że o niej zapomniał, że nie nie brakuje w tych samotnych komnatach, które śpiewem i wesołością napełniało niegdyś radosne dziewczątko. Ale starzec zamknął w sercu boleść głęboką, milczał myśląc o Hannie, a sny stawiały mu wierne obrazy ukochanej wnuczki. Nie raz w ułudzie marzył, że widzi ją przy sobie, że ją słyszy: głos dopiero drżący i chrapliwy starłej Brygidy, wywodził go z obłąkania, rozdzierał mu serce bolesnym przypomnieniem; gdy Brygida swoim zwyczajem, co wieczór przyśpięwywała, w mniemaniu, że uprzyjemnia chwile Stolnikowi.

Jesienna była doba, a u nas jesień ma dni wiosny, lata i zimy: przed wschodem słońka,

przymrozek bieli murawy i pola, później się zmiénia w rosę kroplistą, w południe cały urok lata rozwija się jeszcze. Tylko liść żółkły na drzewie, liść opadły na ziemię, zwiastuje, że pora mroźna za pasem, że czas rolnikowi, aby zbierał co rychlej plon, jaki mu Bóg urodził, co go ochroni od głodu i niedostatku.

Paweł, stary sługa Stolnika, jego powiernik poufały, zarządzał gospodarstwem: on co wieczór stawał przed panem, i zdawał liczbę z robót całodziennych, i właśnie w tej chwili, gdy drzwi do komnaty starca otwierał, usłyszał turkot kolasy przed gankiem dworu, zatrzymał się i spojrzał.

Cztery siwki w krakowskich chomątach ze dzwonekami, ciągnęły rzeźwo kolasę, jak w on czas ozdobną i wspaniałą. Głębokie pudło w kształcie łabędzia wisiało, na czterech łańcuchowych resorach, świeciło wyłoceniem i wymalowaniem: było bez nakrycia: za to w każdym rogu ozdobione figurą z drzewa pomalowaną. W jednym murzyn z odkrytą

głową, pokazywał białe zęby, w drugim spasył Turek bielił ogromnym turbanem: w trzecim Niemiec palił fajkę, a w czwartym dziewczica trzymała parę gołąbków. W środku siedziała wyróżzowana i wybielona panna Katarzyna, z dwudziestą cztery muszkami na licach, czole i nosie, przy swój matce poważnej matronie, a siostrze ciotecznie nierodzonej pana Stolnika.

Stolnik drżymał swoim zwyczajem, gdy weszła pani Skarbnikowa i z prawdziwym *afektem* rodzinnym, uściskała swego brata. Rozweseliła czoło starca, który ją po Hannie najwięcej lubił.

—Jakże się masz panie bracie, dawnośmy się nie widzieli, i mnie gniecie ciężar wieku, już to na siódmy krzyżyk człek zarywa.

—Co wam wadzi pani siostrze, jać dziewiąty pominąłem, to wy młodzik przy mnie: i gdyby nie troski, nie *turbacyja* o moje Hannę!....

Tu uciał: łyż zatamowały mu język, w głos się rozpłakał. Skarbnikowa kazała odejść

córcę, a gdy sami zostali, tuląc starca ręką.

—Panie bracie! Bóg trapi i pociesza, niech się święta Jego wola stanie! Hanna żyje zdrowa, chce upaść do kolan Waszych razem z małżonkiem swoim, i Waszym prawnukiem.

—Gdzie jest Hanna! (*wykrzyknął w uniesieniu, i stanął rzeźwie na nogach, aż ostąpiła Skarbnikowa*), ale niech mi jej podły uwodziciel na oczy nie staje. Zwodziciel dzieciątka mego, nie splugawi progu mego. Pawle! (*wołał w gniewie*), kord mój w węzowej skórze, jeżeli tu zjawić się poważy, łeb rozplątam, jak to niegdyś Murzy tatarskiemu pod *Podchajcami*.

I wyniósł rękę w górę, potrząsając nią groźnie.

W tej chwili roztwarły się podwoje, i Hanna świeża jak dawniej, z małą dzieciną na rękę, upadły przy nogach starca, a za nią padł Janko na kolana.

Stolnik zadrżał, w gniewie nie dojrzał Hanny, ale zobaczył Janka, któremu dawniej odmówił wnuczki, z którego ojcem był w nie-nawiści, ten Janko uwodziciel Hanny, klęczał przed nim. W zapamiętaniu spuścił wyniesioną ręką, i silny wyciął policzek. Janko porwał się na nogi, krew mu uderzyła do głowy, jeden tylko wyraz zabełkotał «*hań-ba!*» i wyciągał ręce żylaste, aby się pomścić zniewagi: ale spojrzawszy na starca, jak z zamkniętymi oczyma, padał na krzesło osłabiony wysileniem, porwał Hannę splakaną, i odciągnawszy od kolan dziadka: «*Za mną*» rzekł ponuro i wybiegł. Hanna ucałowawszy ręce Stolnika, wyszła za małżonkiem.

Skarbnikowa poczęła omglałego trzeźwić: wkrótce odetchnął i otworzył oczy.

— Czy-m we śnie widział swoją Hannę? zapytał osłabionym głosem.

— Byłać tu na jawie, ale poszła za swym małżonkiem, któregoś pan brat znieważył.

—Jako! (*krzyknął w gniewie*), on tu był, wyszedł cało, i ja'm go nie rozsiekał?

—Więcej mu krzywdy Waszeć pan brat zrobił.

—Jakićj krzywdy?

—Czy nie pomnisz że uderzeniem w policzek!...

—Dzięki niebu! choć słabą zemstę odniósłem. Z jego rodzicem krzyżowali-m swoje kordy nie raz, i poniósł do grobu znaki, któremi-m go naznaczył, syn był nie wart żelaza, napiętnowałem go lepiej.

Skarbnikowa napróżno łagodziła uniesienie starca, nie mogąc przełamać upornego gniewu, nad wieczorem odjechała ze strojną córą.

III.

We dwa miesiące, siedział zadumany Jan-ko w wybielonej izbie: Hanna przędła na kołowrotku, a mały chłopczyzna ciągnął drewnianego konika.

— Tak, moja Hanno! niezem uporu two-
jogo dziada zmiękczyć nie można: pisze mi
pani Skarbnikowa, że wszystkie jej starania,
były nadaremne. Uparty starzec, woli cie-
bie nie widzieć, a niżeli mnie przebaczyć,
którego całą winą, że cię tak szczerze ko-
chałem i kocham. On mię nazywa uwodzicie-
lem, a przecież święty ślub połączył nas obo-
je. Boże chroń, abym mógł mieć dla ciebie
myśl występłą. Widzisz że pracuję, staram
się o dostatek doma, wszyscy mię poważają,
on tylko jeden, chciałby mię znieważyć, hań-
bą okryć!...

— Mój Janku! w Bogu miejmy ufność, on
spełni nasze nadzieje, i nas pocieszy!

—Daj Boże! z duszy pragnę, aby poznał ile błędzi, niech wie, że zemsty z niego nie żądam. Za hańbę, jakiej doznałem, każdy-by inny życiem przypłacił, ale-m jemu przebaczył: żałuję uniesienia, żem poważył ręce podnieść na włos siwy, lecz Bóg dobry, to mi przebaczy, bo-m był bezprzytomny!

—Dziękuję Ci, dziękuję! zawołała ze łzami Hanna. Bóg-by cię ciężko skarał, i mnie i twoje dzieci, gdybyś nie uczcił sędziwego wieku mego dziadka.

—Gotujmy się do kościoła, słyszę dzwon na mszę świętą zwołujący wiernych! Dawniej, bywał tu dziadek na modlitwie, teraz do dalekiego jeździ o milę kościoła, aby się z nami nie spotkać.

* * *

Kościół już był pełny, gdy przyszli Hanna z Jankiem: z wielkiem podziwieniem ujrzeli sanki Stolnika na smętarzu stojące, a samego siedzącego w pierwszej ławce. Po mszy, szanowny Pleban wstąpił na mówni-

cę, a wiedząc o nieprzyjaźni Stolnika do męża wnuczki, a tej wsi dziedzica, rozpoczął kazanie, nie do pierwszego święta Bożego Narodzenia, ale do zajścia rodzinnego stosowne, poczynając od słów:

«I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy.»

Po objaśnieniu tekstu, wyrzekł głosem poważnym, i z uczuciem.

»Nie daleko potrzeba szukać przykładu zawziętości ludzi: nie pamiętają na słowa zbawiciela, aby odpuścili drugim winy, by rzucając zawziętość o ziemię, podali sobie braterskie ręce do świętej i błogosławionej zgody. Nie jeden ojciec, odpycha od swego łona, swoje dziecię, rzuca klątwę na niewinną głowę, niepomny, że z czynu niesprawiedliwości przed tronem Boga, zda ciężki rachunek. O! serca twarde! nieludzkie! których zmiękczyć łzami, rozpaczą, i proźbą nie zdołam, was że to nazwać można chrześcijańskimi, nie! niegodne jesteście tego nazwiska, gdy odpuszczać błędów bliźniemu

nie umiecie. Na was to, jako niegodne kościoła miłosierdzia, rzucam klątwę. Napawajcie się łzami bliźnich, karmcie się ich boleścią, cieszcie się z ich nędzy, albo! upadku: ale pomnijcie, że dla was Bóg głuchy będzie, że przyjdzie usprawiedliwiać samym niesprawiedliwość wyrządzoną! Zbawiciel swoim katom przebaczył, a wy swojej krwi, kości swoich kości, przebaczać nie umiecie? Ciężkie przekleństwo Boga, wisi nad wami, cięższe będziecie mieli konanie, gdy nikt z rodziny w ostatniej godzinie życia, nie pośpieszy zamknąć powiek obumarłych!...»

Zaledwie zatrzymał się szanowny kapłan na tych słowach, które trwogą winnych przejęły, gdy Stolnik upadł krzyżem, rzewliwie płacząc. Poskoczył Janko i Hanna, podnieśli starca, spojrzali na nich, i znaku niechęci, nie ukazał wcale. Wyprowadzili go z kościoła, wsiadł do sanek, i w milczeniu wskazał dwóm Janka, gdzie się kazał zawieść. Zdążyli przed nim młodzi małżonkowie, a obo-

je płacząc, z radości przygotowali wszystko na przyjęcie dziadka.

Zaledwie wprowadzony przez czeladź, usiadł: padł przed nim Janko z synem na kolana, i Hanna. Starzec we łzach cały, ucałował najprzód Hannę, potem Janka i dziecinę, a wzniosłszy ręce przemówił:

—Boże błogosław dzieci moje! i ożpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy.

Poczém wziął prawnuka na kolana, a całując ładne chłopię, zegnał krzyżem świętym.

Hanna podając opłatek, rzekła:

—Wczora przy *Wigili*, sami łamaliśmy opłatek, płacząc że nas dziadek opuścił, dziś z uśmiechem i radością, bo nam łaskawie przebaczywszy, szczerze będziemy sobie wzajem życzyć *Dosiego-roku*.

W tém czeladź i domownicy uradowani, na ganku chórem zaśpiewali pieśń o *Narodzeniu Pańskim*.

*Dzieciątko się urodziło,
Wszystek świat uweseliło:*

*Wzięło na się człowieczeństwo,
Co znaczyło jego bóstwo.
Poznał ci to, wół i osiek,
Iż to był niebieski poseł:
Trzej królowie przyjuchali,
Dary mu ofiarowali,
Wchodząc do szopy klękali,
Bogu cześć, chwałę dawali.
Przynieśli mu dary za to,
Mirte, kadzidło i złoto:
Na to Boże Narodzenie,
Wesel się wszystko stworzenie. (*)*

Stolnik prosił Janka, aby w jego imieniu udarował śpiewaków i wyrzekł:

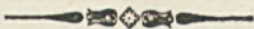
— Od dwóch lat cierpiałem, nie znając radości, dziś Bóg mię oświeciwszy usta świętego kapłana, dozwolił uciechy prawdziwie, i jako się świat weseli, z urodzenia Chrystusa Pana, tak i ja z wami się weselę. Już ja nie rychło od was się wyniosę, a jeśli zaj-

(*) Kantyczki.

rzę do swego domostwa, to z wami zawsze dzieci moje!

W otwartych drzwiach, ukazał się sędziwy Pleban, a widząc wróconą zgodę w rodzinie, wyjął z zanadrza krzyż mały, z częstką *drzewa świętego*, a gdy je wszyscy ucałowali, krótką modlitwę skończył, jak zaczął swoje skuteczne kazanie:

» *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy. Amen.*«



czy do swego domostwa, to z wami zawrze

dziać swoje!

W otwartych drzwiach, ukazał się sędzi

wy Pleban, a widząc wroczoną zgość z ro-

dzinie, wysił z kapturą krzyżową, a cze-

sto do drzwi wstąpił, a gdy je otworzył, na-

stawił, krótką modlitwę skończył, jak zwykły

swój skłuczone kapturę;

— I odpusć nam nasze winy, Jezu, i miły

odpuszczony Amen, oświadczył, i

Na to Bóg Narodzin,

Przed się wstał, i

Stali przed Janem, aby z jego rękami

udawował spisywał w i wyzwał:

— Od dwóch lat cierpię, nie mając

rad, tak Bóg nie oświadczył, i

zawładnął, a gdy się uchylił, powiedział,

I jako się świat wstał, z aniołami, i

na Pół, tak i ja z wami się wstał, i

nie czyhać na was, a ja

(*) Antygrań

IX.

Śpiewacy

W POLSCE I NA RUSI.

OBRAZ HISTORYCZNY.

«Nie ma już Polskich bardów i guślarzy,
Co z Druidami sąsiadów spór wiedli:
Kto lepiej swoich do boju zachęci,
Kto lepiej swoich przy uczcie zabawi;
Ich pieśni znikły, we wnuków pamięci,
Ich arte niema, zapomnienie rdzawi.»

Alc: Chodźko.

IX

Spis treści

WŁOŚCIE I NA RUŚCI

OBRAZ HISTORYCZNY

...nie ma jak Polaków i Polki
...i Polaków i Polki
...i Polaków i Polki
...i Polaków i Polki
...i Polaków i Polki
...i Polaków i Polki

Włocławek

I.

Zagaśła pierwsza Guślarzów nazwa, wraz z ich pamięcią u ludu, a starożytne śpiewy, ony pomniki dziejów dawnych, głuchły coraz: w ustach jedynie wieśniaczych, zostawiwszy słabe echo, nie już wspomnień historycznych, ale właściwie sławiańskiego ducha, barwy i myśli.

Dziś kobzę rzadko zobaczyć, rzadko napotkać wędrownego z rzemiosła dudarza, a przecież, taka ich mnogość była za Stefana Batorego, że na sejmie r. 1578 ustanowiono, iż każdy dudarz rocznie podatku dać winien 24 groszy ówczesnych. Duda i Lira, brzmia-

ły gęźbą po zamkach panów i modrzewiowych dworach szlachty, a rycérz w okurzonej zbroi, wróciwszy z wyprawy, zadać kobzy się nie wstydział, lub przygrać na lirze, alboli bandurze.

On zawołany bohater Samuel ksiązę Korecki, którego S. z Skrzypny Twardowski (a) słusznie »*piorunem tureckim*« nazywa, gdy szedł w jassyr turecki, po nieszczęsnej bitwie, przygrywając na kobzie, smutnych pocieszał towarzyszków swoich (b).

Kobza, inaczéj Koza, Duda zwana, najpowszechniejsza była w krajach Nadwiślańskich, jak lira i bandura u Rusinów (c). Jeżeli dudarzy pełno było, nie tylko w miastach i po wsiach osiadłych; niemniej i wędrujących, co przebiegali z kobzą w ręku, a pieśnią w ustach, sioła i dwory i zamki.

U Rusi wszakże, dostrzegam oddzielną niejaką kastę śpiewaków. Są to ślepcy, niewidomi, którym natura nie odjęła wzroku, ale albo sami się ślepili, lub od własnych rodziców zostali oślepieni. Znałem na Pokuciu

(nad Prutem) dziada, który dwóch synów oślepił. Dziad taki niewidomy, gra lub sam na lirze, lub go prowadzi syn młody, co przygrywając na niej, przyspiewuje pieśnią.

Rzewnie patrzeć na starca, co pozbawiony wzroku, z sakwami na plecach, trzymając za ramię młodego syna, obchodzi dziś jeszcze sioła i dwory na Rusi. Usiedzie starzec, miasto oczu, drgają mu tylko białka, a syn chok niego pokręca korbą, uderza zręcznie w klawisze liry, i wydobywa z niej tony, do pieśni świętej, i smutnej dumy.

Ale nie zacznie ni dumy starodawniej, ni wesołej kołomyjki, póki nie odśpiewa pieśni o świętym Mikołaju.

— »Bo nie masz na ziemi (tak śpiewa lirnik), większego patrona, nad świętego Mikołaja: w nim jest pomoc cała, on rozum jest. On ratuje więźnia, sierotę i wdowę. Jeżeli błędząc pomodlisz się jemu, on cię naprowadzi na drogę, nie wpadniesz między lutyh wilków, a biésowski rozpędzi obłąd.«

«Opiekun siórot, karmiciel biednych, o co go błagać, w tém poratuje: a gdy przyjdzie dzień strasznego sądu, w nim pomoc, i obro-
na grzesznika.» (d)

A gdy zakończy pieśń pobożną, starzec przypomina mu dumę jaką; Lirnik młody gra i śpiewa, już wtedy światowe pieśni, zwykle wesołą kołomyjką kończając.

I tak chodzą ode wsi do wsi, od dworu do dworu; ślepiec napełnia sakwy żywnością, i grosza uzbiera, wraca do swojej chaty gdzie wygodnie żyje. Zwykle abowiem ten *Panionko*, jak go Ruś sama zowie, do najbogatszych należy: nie ma we wsi nad jego zamożniejszej chaty: żadna dziewczka tak się nie wystroi, jak córka Panionki, a pomiędzy swémi, jest w powadze i znaczeniu. Dla czego, używając dobrego bytu, ojciec ślepi synów własnych, by w jego krwi i pokoleniu, utrzymał się zaszczyt rodu Dida (*dziada*), bo to już nie-mała chluba, gdy Panionko może powiedzieć o sobie: że did z diða, dziad z ojca i pradiada (e).

I sami Panionkowie grywają na lirze. W górach w pobliżu sławnego wodospadu Prutu, spotkałem (w r. 1832) młodego ślepeca. Nadszedł w to miejsce widomy lirnik, i począł przygrywać. Na pierwszy odgłos, zadrżał ślepy, błagał aby mu użyczył liry: drgały mu palce, z chciwością wyciągnął ręce jakoby po skarbiec jaki: ale nieużyty grajek, nie chciał mu dać liry, i zaledwie datkiem zagniony do spełnienia gorących życzeń ślepego. W on czas ślepiec schwyciwszy lirę, odetchnął wolniej, pochylił głowy przysuwając bliżej ucho, zakręcił korbą, i puścił palce uczone po klawiszach. Na bladej twarzy, wnet wybił rumieniec, w całym było widać głębokie uczucie, mogę powiedzieć, że nigdy lira lepszego nie miała mistrza: a gdy skończył, z wysilenia opuścił bezwładne ręce, oparł głowę o skałę, pod którą siedział, a pot kroplisty oblał twarz całą, rozpaloną gorączką.

Lirnicy, odwiedzali często, i nadwiślańską ziemię, a Mazury równie lubili tych graj-

ków, i śpiewaków razem, jak swoje sławne mazowieckie dudy (f). Jeszcze pamiętam starca lirnika, co obchodził po Warszawie. Wysoki, nachylony nieco laty, siwy jak gołąb', poważnego i czerstwego oblicza, okryty zawsze jasno niebieskim szerokim płaszczem, z krótkim kołnierzem, pod którym nosił lirę. Chodził od gospody do gospody, grając na lirze, przyśpiewując drżącym głosem, dawne dumy i pieśni. Często i na publicznych przechadzkach usiadłszy, obudzał smętne tony. Pamiętam go dobrze! Ta twarz sędziwa, zmarszczkami okryta ale szlachetna, z której rozpuśta nie spędziła młodzieńczej róży, ten włos siwy, w długich splotach, co wiatr rozwiewał, płaszcz długi, ubiór niezwykły, przy wykwintnym stroju cudzoziemskim mieszkańców Warszawy, używających przechadzki, cała postać wspaniała, ten głos drżący, co się tak dobrze godził z drżącą struną liry; silne na młodzieńczym umyśle musiał czynić wrażenie. Był to ostatni lirnik śpiewak, co wśród zfrancuziałego, i przeniemiecziałego mia-

sta, dobywał grobowego głosu, do wyśpiewania starodawnej pieśni, której słabe echo, nie odbiło nawet. Któż wtedy zwrócił na niego oko? Pamiętam jego słowa, gdy raz wychodził z gospody, nie mogąc nic zarobić, zagłuszony wrzaskliwą katarynką: »Żle że starego nie chcecie słuchać, a stary dawne rzeczy pamięta.« We dwa lata jakem go poznał (*było to między 1816 a 1818 rokiem*), w zimie umarł. Na próżno-m go czekał, tam gdzie zawsze zwykł przychodzić, gdzie słuchołem jego liry i pieśni, nie ujrzałem już więcej *niebieskiego płaszcza*, jak go nazywano: pogrzebiono go w tym płaszczu, a lira, na której nikt grać nie umiał, rzucona na komin, posłużyła do rozniecenia ogniska ubogiej rodziny, przy której zamieszkiwał starzec.

II.

Wiele przyczyn wiązało się na zgubę tych śpiewaków i muzyki, która w gęśli, dudzie, lirze, i bandurze żyła. Główne powody: zamiłowanie cudzoziemczyzny, rozkrzewienie muzyki włoskiej, i śma muzykantów z tamtej krainy, upowszechnienie instrumentów obcych, zgubny wpływ wywarło. Czuł dobrze tę szkodę własną Jan Gawiński, kiedy napisał (r. 1668) kobzie nagrobek, bo już o niej między szlachtą zapomniano.

*Ja, ona sławna kobza, z dereniū zrobiona,
Z cnoty, nad cytry swemu Panu ulubiona :
Dla lutni w kąt rzucona! dziś brzęczę z świeczkami,
Ach! cudze w cenie, swemi gardzimy cnotami (g).*

A przecież, za świadectwem M. Reja, ta kobza była ulubioną gędźbą szlachty w XV i XVI wieku. Gdy gospodarz na pijatykę spraszał do siebie, dopóki goście nie przybyli, skracał sobie czas długi oczekiwania, leżąc za pie-

cem, a wzniosłszy na ścianę nogi, przygrywał sobie na kobzie (h).

W *Figlikach* swoich, Rej, doskonały obraz stawia szlachcica, co nazwyczajony do swojej dudy, po innych grajkach nawet i skać nie umiał:

*«Ziemianin się ożenił, nasz prostak u dwora,
Nie umiał tańcować bez dudy potwora:
Pannę mu wywiedziono, pięć piszczków zagrało,
Chłopisko jako wryte, pośród izby stało.*

— *«By mijechać do doma, ja nie pojde tego,
A co ja wiem, jako z nich, mam słuchać którego.»
Aż mu potem gdzieś chłopca z dudami nabyli
Ledwo pana naszego w tanek wyprawili.»*

Szlachta w on czas lubiąca swój ziemi, nie obcą muzykę; i sami grać na kobzie umieli, i trzymali nadwornych dudarzy, lub bandurzystów. Kiedy szli na zabawę, postępował grajek należący do wystawy dworskiej, poprzedzając swego pana, i wygrywał na kobzie: później zastąpili ich trębacze, często mieszanymi razem z dudarzami, dla większej okazałości (i). Na Rusi po dworach, do naszych niemal czasów, utrzymali się bandurzyści.

Duda, pod nazwą Kozy, kobzy, używana jest w Krakowskiém, u Górali; w Wielkopolsce, nie ma do dzisiaj muzyki u pospólstwa, gdzie dudy nie ma. Wysmukli Górale nasi, na brzmienie kozy, w chyżych skokach okazują radość, jak Górale Sławacy, wśród śnieżnych Tatrów, kiedy swoje *Gajdy* usłyszą. Ruś dotąd, używa jeszcze Kozy (k).

Duda wielkopolska tém się głównie różni od kobzy krakowskiej, góralskiej, i ruskiej, że grajek sam usty nie dmie, ale za pomocą mieszka, umocowanego na prawém biodrze nadyma, a przez to swobodniejsze zostawia usta do śpiewu.

Tym to dudarzom, kobeźnikom, bandurzystom i lirnikom, kiedy zagasła pamięć sławiańskich Guślarzy, winniśmy dochowanie najdawniejszych i najpiękniejszych poezyj. Byli to prawdziwi apostołowie, co przychodzili ode wsi do wsi, od dworu do miasta, nauczając pieśni i nuty: o każdym z nich można powiedzieć, co o starym Widorcie pieśń mało-ruska wyraża:

*«Stari zamky jeho znajut,
I win diť dawnych uczył was :
I w jeho pisniach odzywajut,
Zmerłyj lita, zmerłyj czas.»*

Gdy się pokazał lirnik, dudarz, zbiegali się do niego, otaczali w około, a ten zwykle do słuchaczów obracał pierwsze słowo.

*«Czy czuły wy dobre lude, taku nowynoczku:»
albo: «O takiěj nowyni.» (I).*

A dudarz, kobeźnik zaczynał, gdy miał śpiewać dumę historyczną, lub zdarzenie z rodzinnego pożycia:

Stała się nam nowina (I).

Gdy stanął w zamku pana, lub we dworze szlalcica, zwykle jakoby prosił o posłuchanie:

Posłuchajcie panny, i wy zacne panie.

I kończył nie raz, gdy śpiewał o zwiedzioném dziewczęciu, moralną naukę:

*Posłuchajcie panny, i wy zacne panie,
Jakie z hultajami dobre wędrowanie.*

albo

*Posłuchajcie panienki, i wy też mężatki,
Jako źle wędrować, od ojca i matki (m).*

Jak zaczyna dziś lirnik, kobziarz czy dudarz, mając śpiewać starą dumę, tak zaczęli i przed kilką wiekami wielcy śpiewacy, których zabytki do nas doszły. Mamy tego dowody w rękopiśmie »*Krolodworskim*,« że jak dudarz zaczyna: *Posłuchajcie panny, i wy zacne panie*, tak tam przed opisem świętych turniejów (siedani), u kniazia Załabskiego :

*Znamenaite stari mladi,
O pótkach, i o siedani.*

Tak przed zaczęciem powieści o Jarosławiu.

*Zviestuiu vam poviest veleslawnu,
O velikych pótkach, lutyh boiech:
Nastojte i ves svoi um zbierajte,
Nastoite, i nadiwno vám sluchu (n).*

Widziemy to i z wyprawy Igora, owego pomnika poezji sławiańskiej, z ostatnich lat XII wieku, którą tak zaczyna śpiewak stary.

«Nie pięknież byłoby bracia począć staremi słowy, trudne powieści o pułku Igorowym, Igora Swiatosławicza! Poczynaj-że się pieśni! wedle wydarzeń tego wieku, nie wedle Bojańskiego zamyslenia» (o).

Przebiegali Nadwiśle prócz naszych dudarzy, śpiewacy Serbscy, na skrzypicach i na kobzie grając staroświeckie dumy, opiewając w nich jak Turków przed laty bili nasi, i mężne Horwaty. Taki mamy obraz z XVI wieku, który wspomniawszy o Serbskich śpiewakach, wystawia naszych dudarzy (p).

«Żołnierze co strawili na wojnie lata, sy-ci już trąb i bębnow, kobzy radzi słuchają. Kozakom przerażliwi Surmacze grają psalmy wojenne, a oni słuchają dopóki zmorzeni trunkiem nie zasną.»



III.

Do tych, co przechowywali w ustach nie już historyczne dumy i światowe, ale po-

bożne pieśni, należą żebracy *Dziady i Żaki*.
W inném miejscu obszerniej o żakach, teraz
o pierwszych powiem.

Na mnogość tych żebraków, już narzekał
w 1625 Szymon Starowolski, nazywając ich
dobrze *biegunami* (r). Nie odbył się żaden
odpust, uroczystość kościelna, pogrzeb, a na-
wet wesele, bez licznej dziadów czeready.
Sprawiedliwe o nich urosło przysłowie:

Na każdym weselu swat, na każdej stypie dziad.

Sadowili się tłumnie przed kościołem dłu-
gim szeregiem, gdzie o dogodniejsze miejsce
wszczynali bójki, używając kuli i laski za
oręż. Prócz prawdziwych kaléków i żebra-
ków, starców niezdatnych do pracy, była oso-
bna klasa, rozradzająca się w mnogie po-
kolenia, a dzieci zdrowe nie miały innego
powołania jak dziadostwo. Żebрак z ojca i
dziada, miał swój obwód, który co rok po
kilka razy obchodząc, mógł być pewny swe-
go utrzymania. Pobożność ludu, upatrując
w każdym ubogim *Łazarza*, ułatwiała ten

sposób życia. W brudném odzieniu, czapce lub kapeluszu, z torbami i sakwami, w ręku miseczka, lub żółwia skorupa, w drugim paciorki, kosztur z jeżem i bicz niekiedy dla odegnania psów napastniczych, co ich w ogóle nie cierpiały, (skąd przysłowie: *»lubią go jak psy dziada«*), kule i szczudła do udania kaléctwa, rożek tabaki, broda długa, głos żebrzący, pokorna postać cała, dziad taki obchodził domostwa wiejskie i miasta.

Żebrak jak obudzał litość nędzną odzieżą, tak z drugiej strony musiał mieć dobrą pamięć, mnóstwo pacierzy i biegłość w śpiewaniu pobożnych pieśni, przytém dowcip, przytomność i znajomość stosunków całej okolicy. Albowiem po zmówieniu pacierzy, po odśpiewaniu nabożnych pieśni, których wieśniacy z nabożeństwem słuchali, kiedy mu pozwolono spocząć i rozgościć się, dopiero zaczynało się jego właściwe powołanie, a na pytanie: *»Skąd idziecie staruszk? Cóż tam słyszać?»* wszczyniała się długa gawęda, kronika całej okolicy. Cóż dopiero gdy się zeszli żebracy

w swojej gospodzie, gdzie się nie wystrzegali nikogo, tam przy kieliszku, odkrywali całą swą przewrotność, a częstokroć najsprośniejsze obyczaje. Tam przechwałki, jako musiał wrzeszczyć, żeby dostać jałmużnę, jak dobrze udawali kaleków, dla wzbudzenia litości. Tam za grosz zbierany, oddawali się pijatyce i hulance. Błagał dziad głosem płacziwym o jałmużnę, a gdy nie dostał, przeklinał w cichości (s).

W czasie odpustu, przybrawszy korną postawę, nucą pieśni pobożne, jak równie pod wrotami chat sielskich, i na progach dworów szlachty, nie łączą do tego prócz głosu żadnej muzyki, gdy u Rusi często lira towarzyszy śpiewom.

Z ich pieśni, pomnę mały urywek o Sądzie ostatecznym i Antychryście, która trwogą wieśniaków słuchających napełniała.

*Piruny (pioruny) będą litali,
Bydło, ludzie, będą zabijali:
Ach! gdzie my się podzieć mamy,
Jak tych lat się doczekamy!*

*Ancyhrysta jeździć będzie,
Piec żeluzny wozic będzie:
A kto nie chce weń uwierzyć,
Tego w ten piec każe włożyć.*

Zwykłą zaś pieśnią, była śpiew o Łazarzu, co pobudzała do litości słuchaczów.

*Co się stało przed laty?
Człowiek jeden bogaty,
Z złota srebra miał szaty.
Jadł, pił, tylko tańcował,
Dzień i noc bankietował,
Pychę w sercu swém chował.*

A chociaż sam zbyt kował, Łazarz z głodu na śmieciach umierał. Widział go bogacz, i twarz odwrócił, a gdy Łazarz wzywał jego pomocy, jako swego brata, wedle zasady chrześcijańskiej, złażał go pan za to, i pluwał na niego z pogardą. Umarł w nędzy Łazarz, a bogacza nadeszła kara. Wpadają czarci do jego pałacu:

*W tém śmierć go dusić skoczy,
Na wierzch wylazły oczy,
Aż z gardła pianę toczy.*

*A w tém okrutni czarci,
Jako na zwierza charci,
Srogim jadem zazarci,
Porwali go czém prędzěj,
Od skarbów, od pieniędzy,
Do piekła, wiecznej nędzy.
Tam gore, od dnia, do dnia,
Ten nieszczęśliwy zbrodnia,
Język jako pochodnia.*

W tych to dziadach, zostały ślady staro-
dawnych pątników, czyli pielgrzymów na-
szych, którzy roznosili między ludem, prócz
pieśni nabożnych, bajki wschodu, powieści
włoskie, co dotąd krążą po sielskich osadach.

IV.

Ale wróćmy do naszych śpiewaków.

Sławna była kobza ukraińska (t), jak zno-
wu ruskie ganiono dudy.

*Przyjdzie obiad, coż masz jeść ty pacholku chudy?
Musisz ryczeć od głodu, jako ruskie dudy.*

(r. 1635. Genealogija Niecydesa z Gratysem w Krak.)

Chwalono w XVI wieku mazowieckie dudy (u), z niemi chodzili pątnicy (*pielgrzymi*) zwani *Cursory* w on czas (w), a przygrywając, śpiewali pieśni nabożne, i cuda świętej Jerozolimy.

Pomiędzy Dudarzami, bywali sławni grajkowie. Zimorowicz wychwała Daniela Koheźnika.

Jak lubiono za Zygmunta III dudy, dowód podaje Kasper Miaskowski z r. 1622.

*Ale nie masz nad nasze z krzywym rogiem dudy,
Bo te może mieć zawzdy, i pacholek chudy.*

Na maszkarach z serbskimi skrzypkami składały muzykę:

*Serbskie skrzypki, i dudy ostatek zagłuszają
Gdy z maskami ode drzwi do podsienia kłuszają.*

(K. Miaskowski.)

Dudarze nie cierpieli innych muzyków, i może słusznie szli za przeczuciem, że cudzo-

ziemskie zwyczaje, wypędzą ich z własnej ziemi.

Już w XVI wieku, powstawano na dudy. Salomon Rysiński, przytacza o nich przysłowie szydzące:

Kogo kobza uweseli, wielki fortunat.

I drugie, okazujące wyższość lutni cudzoziemskiej:

Lutni sta nie zacznie, póki gajda (duda) nie umilknie.

«Bo (jak mówi Ł. Górnicki *Rozmowa*), młodź słano do Włoch dla lutni, a utratnego gdy pytano, co będzie czynił, wszystko utraciwszy? powiedział: będę grał na lutni, i tén się pożywię.»

Kiedy dawniej nasza ziemia pełna była zamków panów i zameczków szlachty, dudarz wędrowny łatwiej się pożywił, jak to dobrze wyraził bezimienny poeta w dyjalogu. (*Szkolna mizeryja w dyjalog zebrana*) r. 1633.

— «Na jakim takowym zameczku,
Zwłaszcza kędy przy dworze, muzykę chowają.
Jeść i pić przy bankietach dostatek dawają.»

Dударze to narzędzie gędziebne, którem słynęli, zawieszali w świątyni pańskiej przed obrazem świętym, jak mówi Kasper Miaskowski (r. 1622) do swego szwagra.

*Toż i ty z twemi uczyni szwagrze dudy,
Przybiwszy je gdzie u świętej Giertrudy:
A z niemi wespół, i skrzypki i tańce,
I twe ustronne do białej płci szanę.*

Już w XVII wieku, zaczynała wziętość kobzy upadać. Skrzypki serbskie i cymbały, poczęły stanowić muzykę.

*Para Serbów, a cymbał, idysz w taniec kołem:
A coraz do swój pani, bij niziuchno czolem.*

(Zwrócenie Matyjasza z Podola 1684 r.)

Bandurzystów utrzymywali zarówno panowie Polscy i Ruscy. Kiedy Jan Kazimierz królewiczem będąc, uwięziony został we Francji dla błahych pozorów, bandurzysta smętnego rozweslał. (*Carcer Gallicus Wasenberg*).

Zborowski Krzysztof, Wojtaszka swego bandurzystę, używał do ważnych poleceń:

on to wydaniem listów, znoszenia się swego pana z nieprzyjaciołmi kraju, wyjawiał.

Znana jest pospolita przez nich używana piosnka, o wesołej bandurce.

*Moja bandurka z samoho złota,
Kto na nią zahraje bere ochota.*

Bandurzyści, przetrwali długo polskich dudarzy i kobezników, kiedy ci już nie zajrzeli do żadnego dworu, przygrywając jeno po gospodach i na weselach wiejskich, bandurzyści do ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, znaleźli miejsce po dworach. Widziałem rysunek, sławnego naszego malarza Orłowskiego, przedstawiający powrót z uczt dwóch panów polskich. Idą podpili, z rozpaloném obliczém, krzesząc szablami o bruki Warszawy, za nimi postępuje opiła służba, poprzedza ten orszak wesoły bandurzysta, skacząc, śpiewa i przygrywa na bandurze.



PRZYPISY.

(a) Władysław IV. król Polski i Szwedzki w Lesznie 1649 fol.

(b) Obraz wieku Zygmunta III Franciszka Siarczyńskiego T. I.

(c) Na Pokuciu między Dniestrem a Prutem, był sławny knieć ruski we wsi *Czortowiec*, doskonale grający na dudzie, który przytem tańcem i śpiewkami, wesolo zabawiał szlachtę po dworach. Dotąd jeszcze pamięć jego żyje w tamtej okolicy.

(d) Przytoczę tu parę strof tej pieśni we właściwem narzeczu, które spamiętać mogłem.

*Ratuje więźnia iż temnicy,
Dast sposub syroł'i, wdowycy:
Tylko jeha potrzeba blahaty,
Na pomoszcz sebi przyzywaty
Prybud'et!*

* * *

*Dosyt' jest tak ne mało ludu,
Doznały preswiatoho czudu.
Kto tylko jemu sia pomolyt,
Najmenszy czlunok ne zabolyt.*

(e) We wsi Matyjowce nad samym Prutem, w pobliżu miasta Kołomyi (w *Galicyi Austryjackiej*), znalazłem odwieczne gniazdo tych panionków. Mam pewną wiadomość, że i u nas w Hrubieszowskiem, byli przed kilkunastą laty w osadach ruskich podobni ślepcy, zapewnie znajdzie ich i teraz.

Że podobny rodzaj ślepych dziadów, i u nas był przed laty, napomyka dowód, stary dyjalog z 1553 roku drukowany (*Rozmowy in 8vo minori u Floryjjanowój wdowy w Krakowie*), w którym czarownica przyznając się do swoich występków, między innemi mówi:

*A drugą-m rzecz uczyniła,
Strychowi oczy skaziła:
Ale mu to nie nie wadzi,
Rychło mu da piéniędz każdy:
Widząc tę jego lichotę,
Którą cierpi przez ślepotę.*

(f) *Inventores rerum* albo opisanie co kto wynalazł i do używania ludziom podał: Jana Proto-

sowicza w Wilnie 1608 in 4to. Mazowieckie dudy sławnemi nazywa.

(g) Sielanki 1668 r.

(h) Żywot poczciwego człowieka Reja.

(i) Sebastyjan Klonowicz, Worek Judaszów: «On idzie za trębaczem, on idzie za dudą.»

(k) Dudarze, szczególniejszą są przywiązani do swoich instrumentów. W roku 1837, od Rusina z Wołynia nabyłem dudę. Długo się wzbraniał ją sprzedać, ale namówiony od swego towarzysza, gdy odstąpił, całował ją serdecznie, ze łzami: powracał kilka razy i wygrywał na niej na pożegnanie.

(l) Wacław z Oleska (Zaleski). «Pieśni polskie i ruskie ludu Galicyjskiego.» Rzadko kiedy śpiewał o sobie wspomina: jest jedna pieśń tylko w tym zbiorze która się tak kończy:

*To tu tobi spivanooczku sestryczka skludala,
Szoby brata Stefanoczka ta ne zabuwala.*

(i) Pieśni ludu Białochrobotów, Mazurów i Rusi z nad Bugu. K. Wł. Wojcickiego T. I. II.

(m) Pieśni ludu Polskiego w Galicyi Z. Pauli 1838. Znajduję pieśń która się poczyna:

*A był ci to taki
Co po świecie chodził,*

*Od ojca, od matki,
Dziewczęta uwodził.*

Kończy:

*Patrzajcie wy panny,
I wy też mężatki:
Jak się to uwodzi,
Od ojca i matki.*

Koniec ten, bywa w innych stronach tak odmienny:

*Przypatrzcie się panny, i wy też mężatki,
Jak to źle wędrować od ojca, i matki:
Przypatrzcie się panny, i kawalerowie,
Jak to źle wędrować zwłaszcza białogłowie.*

(n) Kraladworsky Rukopis nalezen, a wydan od Waclawa Hanky w Prace 1829. W zbiorze pieśni Słowaków J. Kollara, znajduję pieśń jedną, która się zaczyna podobnie jak nasze:

*Nesem wam nowinu smutnau,
Zawistiwym pannam wzácnuu.*

(*Narodnie Zpiewanki T. II. w Budyne 1853*).

(o) Wyprawa Igora na Połowców, poemat sławiański, wydany przez Augustyna Bielowskiego Lwów 1833 r.

(p) Światowa rozkosz 1630 in 4to w XVI wieku: już poczęto powstawać na swojskie dudy. M.

Rej ich nie lubił, i często z nich szydzi, i w tém poemacie znajduję :

*Kobzy, téj w tym miesiącu wszyscy mi się jęli,
Ten troski nie znał, kogo ona uweseli.*

Podrwiwa z kobzy i S. Rysiński w przypowieściach swoich.

(r) Votum o naprawie R. P. 1625.

*. . . . Ci to biegunowie,
Co to ich widujecie zawsze w Częstochowie
I na Kalwaryi i przy każdym kościele.*

(s) P. L. w Lesznie in 4to.

(t) Oeconomia Jeżowskiego 1648.

(u) Inventores rerum J. Protosowicza w Wilnie 1608.

(w) Mięsopest dyjalog 1611.

X.

GAWĘDA

przy Sosze.

Pan Starosta Kaniowski z dobraną drużyną,
Wychyla gąsiorami po pradziadach wino,
Świece gasi kulami, tby butelkom zrywa,
Hajdukom między palce, strzela króśle, asy,
Wybijają tańczącym dziewczętom obcasy.
Lecz kiedy coraz hojniej gąsiora nadlewa,
Rani ręce hajdukom, a dziewczętom nogi,
Broczą się krwią kobierce, broczą się podłogi!
Pan się śmieje, przepija za zdrowie kompanów
A na wiwat grzmi dziesięć, i tręb i turbanów.

Aleksander Groza (Poczyje 1836).

Właśnie pan Gwóźdź z Sokółowa, jak
garnek jeden wyrzucił na pobliskiej mie-
dzy, a pan Tabasz także z Sokółowa, na-
szedłim razem pod Jablonką, dobywał
żelazki cynowej z szachowicy, i w drabinie
bratnowskiej wglądał, gdzie na baranach kładzie-
liwy ze skwarzaniem, wreszcie pojechał śliny.
Po gwałtownym, kłótni w roku 1800
kt. spływać; widać się prawie napochnął,
po wzięciu z dworami może dzień czasu, nie-
zaczęło w dwójce obiad, a w trójce spoży-

Bys! bys! wołał pan Marcin z *Sokołowa*
na swoje woły, i unosząc sochę na miedzę,
gdzie dzika grusza cień dawała, wypuścił
zmęczone z jarzma, sam zatkniętą w miedzy
szablę, schowawszy do pochwy wiszącej u
boku, odpasał rzemyk, i nieodstępną towa-
rzyszkę swoją, położył na jarzmie z wilgo-
coném, potem pracowitych wołków. Zdjął
czapkę rogatą z siwym baranem, otarł znój
z czoła, i gniéwnie spoglądał, na oddalony
dworek, wybielony między lipami, czy nie
ujrzy kogo, co by mu niósł na południe obiad.

Właśnie pan Grzegorz z *Sokołowa*, już garnek jeden wypróżniał na poblizkiej miedzy, a pan Tadeusz także z *Sokołowa*, na szerokim zagonie pod jabłonką, dobywał łyżki cynowej z za cholewy, i w dzbanek krakowski zaglądał, gdzie na barszcz zabielany ze skwarkami, wcześniej połykał śliny.

To gniewało Marcina, gniótł w rękę czapkę, spluwając: wkrótce się przecie uspokoił, bo wybiegła z dworku mała dziewczyna, niosąc w dwojakach obiad, a w fartuszkę spore glony chleba razowego, i trochę w niedużej flaszcze wódki. Z radością pokręcił wąsa, usiadł na sosze, odwinął poły kapoty, zdjął czapkę, a rozgarnawszy włosy, oczekiwał wygłodniały ucztę swójej. Zajrzawszy we flaszę i dwojaki, rozchmurzył czoło, a nasycony dobrze, wesoło spojrzął po sąsiadach swoich, którzy się z soch podniosłszy, zbliżali się do niego.

— Pomaga Bóg!

— Bóg daj zdrów!

I zasiedli pod cieniem gruszy, gdy dziew-

czyna zabrawszy sprzęt swój, wróciła do dworku.

MARCIN (*do Tadeusza*).

Jako-że miły samsiedzie, nie skończyliście swego zagonu?

TADEUSZ.

Wielka posucha, za ledwie doorzę przed zachodem słońka, woły się pomęczyły.

GRZEGORZ.

Coby na to chłopcy z sąsiedniej wioski powiedziały, co szydzą z nas szlachty, i zagonów naszych, gadają: że *pies jak usiedzie na dziedzictwie szlachecca, to ogon za granicą trzyma.*

MARCIN (*z dumą*).

Choć nie długo, nie szeroko, ale głęboko i wysoko! ()*

TADEUSZ.

Już-ci co prawda, to nie grzech, że z je-

(*) Przypowieści szlacheckie.

dnego zagonu, trudno wyżywić we dworku, i siebie, i drobiazg z niewiastą. W dawniejszych czasach, łatwiej było o wszystko; człek nie frasował wiele ma wyrostków, aby im grzbiet lada jako okrył, pojechał z nimi do pana, to w służbie dworskiej, nie długo wychodzili na ludzi. Mój rodzic, służył u pana Stolnika, najprzód za pacholę, później wyszedł na dworzanina. Miły Boże! jako mu w one czasy było dobrze! Zawsze co Nowy-Rok, dostawał nowy kontusz, żupan, pas, czapkę i buty: prawdać że przyszwy często musiał zaraz nowe dawać, bo były naszarzane, ale za to cholewy w barwie ślicznej.

MARCIN.

Toć z tego panie bracie gadano przysłowiem: »*poznać pana po cholewach*,« bo niemal wszyscy dworzanie, nosili pańskie cholewy, choć przyszwy czarne, alboć tam inne bywały.

TADEUSZ.

Oprócz tego, przy jakiejś *fecie*, pan gdy

sobie podochocił, rozdawał, lubo nie każdy był tak hojny, jak on sławny *Panie Kochanku*, ksiązę Radziwiłł, co na sejmiku w Nowogródku, zdjął wszystko z siebie, aż do koszuli a hajdawerów, a rozdał braciom szlachcie (*). Miły Boże! to go téż kochali, a za kolana ściskali, aż nogi miał sine.

* * *

Kiedy to mówił, z blizkiego gaju wyszedł z krupką słomianą na plecach, pełną rydzów i bedłek, stary *Kordus* jak go zwano, szlachcie już po ósmym krzyżyku, wyniosłego wzrostu, i tuszy sporéj w sobie. Szlachta *Sochowa*, ujrzawszy starca, powstała z uszanowaniem, zdjęła czapki, a *Kordus* rzekł:

— Pomaga Bóg bracia! cóż to, południujecie? idzta zdrowi: owo i stary nie próżnuje: ale spiekota, przyszedłem do was w cieniu spocząć!

To mówiąc, zdjął czapkę, i krupkę z sie-

(*) R. 1781.

bie, a rozgarniając gęste sploty siwych włosów, co mu na ramiona spadały :

—O czem żeśta, panowie bracia, gawędzili?

—O dawnych wielkich panach: odrzekł Tadeusz.

KORDUS.

Pamiętam z nich wielu, służyłem nie u jednego, nie za jednego szablicą po łbie dostałem. Mój Boże! wszystko wymarło, skarbcce, bogate mienie, zmarniało, a ja żyję, dzięki Bogu, zdrowo, patrzę na czwarte po sobie pokolenie. Bo też jako się żyło, i przez jakowe *casus* człek nie przechodził! Opowiem to wam młokosom, miejcie jeno co w dzbanie, aby odwilżyć gardło!

* * *

Tadeusz dobył z za gruszy dzban malowany zielony, pełen jeszcze smacznego podpiwku, a Kordus łyknąwszy sporo, otarł wąsy i zaczął.

»W młodych leciech, odumarł mój rodzic, matka nie długo poszli za nim, nie wiele

chudoby zostawiwszy po sobie. Jakoś, był odpust w pobliskim kościele, poszedłem, dać na mszę za ich duszę, i czołem uderzyć naszemu Bogu. Po nabożeństwie, że był skwar duży, podpiwszy nieco w gospodzie, położyłem się na brzuchu, w cieniu gaju, nie daleko drogi i zasnąłem. Chłopi wracający do dom, zobaczyli mię, i jeden zuchwalszy, jakem się później dowiedział, uderzył mię nogą, mówiąc swoim: »*Patrzta, jak szlachcic barany pasie,*« i począł namawiać swoich, żeby mi zdjąć kontusz i żupan. Trafiło to im do smaku: wtędy poczuł, że coś mię gniewie: obudzam się, i widzę chłopstwo w okóło, w ręku jednego mój pas, u drugiego czapka z żupanem, u tamtego kontusz. Otrzeźwiony, wstałem na nogi, żądając swoich rzeczy, ale miasto tego, poczęli się śmiać. »*Co, wy chamy!*« (krzyknąłem w gniewie, aż gorąco w czuprynie poczuwszy), chcęta dworować ze mnie! Jak skoczę, jak utnę pięścią tego, i tamtego i owego, aż z dwunastu chłopów, sześciu padło, drudzy uciekli, rzuciwszy

moje szaty: nie wielu z tych poszło do domu co upadli, bo zabiłem czterech, i w on czas, odkryłem wielką siłę, jaką mię Bóg obdarzyć raczył. Ubrawszy się więc, poszedłem do domu, ale nie było co długo popasać, bo za zabitych chłopów, kazano mi płacić, i w wieży siedzieć: a więc wziąwszy szablę i konia, oddawszy bratunkowi gniazdo swoje, ruszyłem w świat, a bywszy po wielu dworach, najdłużej byłem u księcia pana *Panie Kochanku*, i pana Starosty Kaniowskiego. Było to dwóch magnatów najświetniejszych w one czasy; jeden z bogactw i hojności, a dobroci: drugi, *Panie* odpuść! djabeł zły, i postrach żydów, ba, i szlachty.

Opowiem Waszecom, co pomnę o panu Kaniowskim.

Nie był ci tak zły jak mówiono, ale wart djabła, bo nie jednego żywota pozbawił, fundował klasztory, i wydał jakieś tam pisma, alem nie miał czasu ich czytać. Ludzie po jego śmierci gadali, że w zamku swoim miał loch głęboki, z takim mostkiem, co gdy kto

stanął na nim, zapadł się na wieki. Tak już stracił 98 ludzi: kiedy swego wiernka tam zrzucił, on go przeklął, i krzyknął lecąc, że sam starosta będzie setny: jakoż, gdy chciał pan Kaniowski zajrzeć do tego lochu, wpadł sam na wieki.

Ale to nie prawda, ja Waszeciom powiem co pewniejsza. Jak umarł, leży pochowany w Poczajowie, a ciało jego z osobliwą do tych czas *attencyją*, pokazują miejscowi księża Bazylijanie: gdyż pan Starosta Kaniowski, pyszny ten klasztor wydzwignął i nadał. Był on *banitem*, wywołanym z kraju, ale później pokutował szczerze: prawdać, miał za co, nie mało nastrzelał bab, co im na drzewie kukać kazał. Wspierał on konfederacyją Barską, a był tam pan Twarowski rotmistrz, co gdy mu coś przykrego powiedział, strzelił doń, gdy siedział w karcie. Starosta od-tąd był z wielką dlań *estymą*, jak dla one-go towarzysza, o którym zaraz.

Codziennie odzian łaćchmanami, z przewieszoną torbą na plecach i kosturem w ręku

jako dziad ubogi, wychodził ze swego zamku, do odległej przy gościńcu kapliczki, gdzie godzin parę, na modlitwach strawił. Wiedziało o tej pielgrzymce Starosta, ale drżano przed tym dziadem w łachmanach.

Zdarzyło się raz, że Starosta w drodze jadąc z Warszawy ze swoim dworem, spotkał towarzysza od jazdy narodowej, co za urlopem jechał do domu: młody i dorodny, zwrócił jego hacznosć. Po zaczętej rozmowie, gdy się już zabięrał do odjazdu towarzysz, Starosta zapytuje, czy tęż się zaopatrzył we wszystko, co żołnierzowi w drodze potrzeba.

A masz tęż Waści szydełko i dratwę? by jak się bucik zdziurawi, było czém naprawić. A masz Waści igielkę i nici? by mundur rozpruty, lub rozdarty zeszyć.

Pomięszany towarzysz, napróżno tłumaczył się, że już domu blizki, nie potrzebował tych ostrożności, nieubłagany Starosta, kazał jako szlachcicowi posłać dywan, i sto przypiekanych odliczono. «To masz Waści panie bracie, *pro memoria*, *admonicyj*ą cielesną,

a nauka w las nie idzie. Waści drugi raz zasobniejszy pojedziesz w drogę.» Towarzysz, gryząc język z bólu, skłonił się jeszcze swemu nauczycielowi, dziękował za rodzicielskie rady, w duszy jednakże pomstę zaprzysiągł. Dowiedziawszy się, jak przebrany Starosta chodził na modlitwę do kapliczki; o zachodzie słońca, z silnym pachołkiem, oczekiwał go pilnie. Jakoż, nie zawiódł się w oczekiwaniu: dziad ubogi, w obdartych łachmanach, z czerstwymi policzkami, chociaż siwizną okryty, z poważną brodą, ukazał się na drodze. Towarzysz, zatrzymuje go, daje jałmużnę, i zaczyna rozmowę.

—A gdzie to was pan Bóg prowadzi, mój dziadku?

—Ot! idę wielmożny panie, do téj kapliczki, modlić się za grzechy.

—Zapewnie nie z téj wsi jesteście rodem?

—O! z daleka, panie towarzyszu!

—Cóż to mała w téj torbie?

—Nic dotychczas, czasem bywają okrucy chleba z jałmużny.

—Kiedy tak wędrujecie, mój dziadku, a czy macie też szydełko i dratwę, by jak się bucik zdziurawi, było czém go naprawić? A masz dziadku igiełkę i nici, by suknią rozprutą lub rozdartą zeszyć?

Dziad zdziwiony, spojrział na towarzysza, i z największą *rewerencyją* tłumaczyć się usiłował, ale nieubłagany moralista, za danym znakiem, gdy i pacholek dopomógł, sto przypiękanych *boćkowskich* bizunów odliczył. To masz, mój kochany dziadku odemnie *pro memoria*, a drugi raz lepiej już o swoich potrzebach będziecie pamiętać.»

To wyrzekłszy, wsiadł na konia, i odjechał w swoją stronę. Starosta ledwie się do wlokł do zamku, nie mówiąc o przypadku, leżał dni kilka, pod pozorem słabości. Rzecz dziwna! nie pomyślał Starosta o zemście na towarzyszu, owszem, wywiedział się o jego nazwisku i przez wpływy swoje, wyrobił mu stopień Porucznika, w téjże samej chorągwi!

Pan Starosta, lubił prosićcinę pieczoną, czę-

sto bywała więc na stole: właśnie na takie pieczone, trafił kwestarz. Pan Kaniowski już podchmielony, zaklął się na swoje wąsy, rozkazując kwestarzowi zacząć prosiaka, że skąd on zacznie, toż samo spotka kwestarza. Mnich wiedział, że z tym panem, żartów nie ma, tym bardziej, że trzech stanęło za nim kozaków; czekając skinienia jeno pana. Spotniał biedaszek, i myśli: «zaczęć od głowy, czy uszu, źle; od skórki, jeszcze gorzej.» A pan Kaniowski wyłupił nań oczy zabiłone, popłukując usta winem, ciekawy *konceptu* kwestarza. Ten też poszedł po rozum do głowy; zaczął śmiało prosić, palcami dobywając nadzieienia z pod ogona. Parsknął głośnym śmiechem Starosta, i hojnie obdarzył dowcipnego kwestarza.

Z prosiaka lubił najwięcej mózg, i skórkę przypiekaną: popamiętał tego przysmaku jeden szewczyk, o którym zaraz Waszeciom powiem, jeno gardło odwilżę.

Nie daleko ogrodu swego, ujrzał Starosta dwóch wędrowników, z których jeden był

kucharzem, a szewczykiem drugi. Woła ich i zapytuje najprzód kucharza, co u prosięcia najsmaczniejszego? z tém zagrożeniem, że jeżeli zgadnie, dostanie sto złotych, w przeciwnym razie, sto bizunów. Kucharz po krótkim namyśle, odrzekł:

—Skórka, Jasny panie!

—Dobrze! zawołał Starosta, i kazał mu sto złotych wypłacić.

Następnie przywołuje szewczyka, i znów pyta: »A u wołu, co najsmaczniejszego?« Szewczyk, co z professyi trudnił się jeno skórami, a jeszcze widząc, jak kucharz za skórę nagrodzony został, odrzekł prędko.

—Skóra, Jasny panie!

—Dajcie mu sto przypiekanych! krzyknął Starosta, i wnet dopełniono rozkazu, wśród płaczu, i przekleństw szewczyka.

Jak lubił prosięta, tak nie cierpiał żydów. Brat pana Kaniowskiego, miał u siebie żyda, którego więcej jak przyjaciela uważał, a nawet sadzał z sobą razem do stołu; gdyż

wielką mu był pomocą w rozlicznych interesach. Przyjechał pan Kaniowski do brata, a oburzony, że razem przy stole i żydów siedział, wydaje skrycie rozkazy kozakom, by na skinienie jego uważali. Po obiedzie, wychodzi z żydem do ogrodu, z początku grzeczny, ośmiela go dół poufałości: nagle w największym gniewie zawołał: A znasz ty, psie niewierny, z kim rozmawiasz?... Żyd wystraszony, zdjął nie tylko czapkę, ale i krymkę nawet. Starosta skinął na swych kozaków, i w oka mgnieniu, powiesili go na drzewie; sam z najspokojniejszym obliczem powraca, żegna brata i odjeżdża. Wkrótce odkryto powieszzonego żyda: rozżalony śmiercią prawej swojej ręki, pisze brat do Starosty list ostry: ale ten chcąc nagrodzić stratę, rozkazał ze wsi i miasteczek na 12 bryk połapać, i napełnić każdą żydami, i transport cały z listem bratu odesłać. Zajeżdżają w oznaczone miejsce ładowne bryki, wywracają każdą na środku dziedzińca przed gankiem pałacu, a gdy z każdej wysypują mnóstwo

żydów, te wyrazy w liście przysłanym brat Starosty czyta:

»Kochany bracie! żałowałeś jednego żyda, com go kazał powiesić: posyłam ci za jednego, 12 bryk żydów, w nadziei, że się potrafisz pocieszyć niemi, po stracie tamtego.«

Nie mało żydów wyprawił do *Abrahama na kwaśne piwo*: często bez strzału czy szabli, innym sposobem żywota pozbawiał. Jednego żyda za nicostrożne, a ubliżające sobie słowa, miechem kowalskim wydał na śmierć: drugiemu, co się w *Kaniowie* przechwalał, że on to samo znaczy, co pan Starosta, inny zgon wymyślił. Kazał mu być na obiedzie u siebie, przy stole same trefne potrawy, półmisek po półmisku zjadać. Próżno płakał i prosił, ale darmo; Pan rozkazuje, sługa musi. Kiedy biędne żydzisko jeść już więcej nie mogło, rzekł pan *Kaniowski*: »Widzisz, że co *Kaniowski*, to nie żyd, a co żyd to nie *Kaniowski*.« Dla lepszej pamięci, kazał 200 wyliczyć. Odwieziono go do *Kaniowa*, nie długo żydzisko zmarło.

Czasem i za żydem się ujął, gdy miał wesołą *fantazyją*: jako raz, gdy spotkał żyda smolarza ze swego miasteczka, co nad beczką rozbitęj smoły siedział i płakał. »A czegoż ty płaczesz?« zapytuje go Starosta. Żyd opowiada, że tylko co z góry zjechał, gdy jakiś szlachcic, rozpędziwszy konie, dyszlem uderzył w dno beczki i wybił, a smoła prawie się wszystka rozlała. Starosta daje znak kozakom, ci lecą, dopędzają szlachcica, i nie długo stawiają przed nim.

— To Wać wybiłeś dno beczki smoły?

— Tak, Jasny panie, ale to niechcący.

— No, to Wać wybij i drugie dno, co pozostało!

Szlachcic z pokorą dopełnił rozkazu, bo wiedział, że to nie przelewki.

— Teraz Wać przejdź przez beczkę.

Szlachcic i teraz był posłuszny, a gdy umazany smołą, stał się pośmiewiskiem kozaków nadwornych, i samego żyda; Starosta za beczkę smoły, kazał mu zapłacić. Szlachcic do był kalety, dziękując Bogu, że tak gracko

bez niewielkiej szkody, wykręcił się sianem.

Tak się wykręcił i kahał żydowski z Kaniowa: bo Starosta potrzebując pieniędzy, zgromadził cały, zadawszy pytanie do rozwiązania: »Który Bóg lepszy? czy żydowski, czy katolicki?« Żydzi prosili o godzinę namysłu, wtedy po naradzeniu się z sobą, że w każdym przypadku źle będzie, czy powiedzą że katolicki, czy żydowski: wchodzącego po odpowiedź Starostę uprosili, że dał słowo, iż najpierw odpowie na ich zapytanie.

—Jasny pan Starosta ma muzykę? wyrzekł z ukłonem żyd najstarszy.

--A mam!

—Tam są skrzypki, basy i cymbały.

—Naturalnie, jak przy każdej kapeli.

—Otóż Jasny panie, jak muzyka jest jedna, tak i Pan Bóg jeden. Ale to nie wiadomo; czy ja cymbał, a Jasny Starosta skrzypce, czy ja basy, a Jasny pan cymbały.

Podobała się odpowiedź Kaniowskiemu, i cały kahał wolno wypuścił.

TADEUSZ.

Z przeproszeniem Waszmości, śpiewają o nim piosnkę, jeno go nazywają *Starostą Mikołajem*.

KORDUS.

A tak, bo to był pan Mikołaj Potocki, Starosta Kaniowski i Bohusławski.

MARCIN.

Pamiętam pieśń tę całą, nauczyła mię moja matka.

KORDUS.

No! zaspiewajże nam chłopcze.

MARCIN (*śpiewa*).

*U młynarza Marcina,
Jest tam gładka dziewczyna:
A pan o niej nie wiedział,
Służeńka mu powiedział.
Posłał ci pan utana,
»Pódź młynarzu do pana.«*

Idzie młynarz i дума:

»Co ten pan do mnie ma?

Młynarz do pana wstępuje,

Pan go winem częstuje.

»Pij młynarzu to wino,

Nie piteś go, jak żywo.

Pij młynarzu, maszli pić,

Kasia musi moją być.«

»Weź mi panie co ja mam,

Ja swój Kasi dać nie dam:

Weź mi panie i woły,

Wszystkie snopy z stodoły:

Weź mi panie i szyję,

Ja wprzód Kasię przebiję.«

* * *

Nie mógł pan z nim poradzić,

Kazał siebie w wór wsadzić:

»Zawieście mnie do młyna,

Gdzie Kasienka jedyna;

Nie kładźcie mnie na spodzie,

Bo mnie zmielą przy stodzie:

*Położcie mię w komorze,
Gdzie jest Kasine łoże.»*

* * *

*Już o saméj północy,
Wór się do Kasie toczy:
A Jezus-ci Maryja!
Gdzie ten wór nogi ma:
Co u kata za zboże,
Co się toczy na łoże.
Cicho Kasiu! nie wołaj!
Ja Starosta Mikołaj! (*)*

KORDUS.

Tak, prawda! pomnę że się rozmiłował w żonie młynarza swego, ale daremnie sma-
lił koperczaki, aż ją porwać kazał, nie wiem
jak wskórał, i co się z biednym młynarzem
stało.

TADEUSZ.

Jakem bywał na Rusi po nad Dnie-

(*) Pieśń ludu.

strem, słyszałem ruską pieśń o panu Kanio-
wskim.

RORDUS.

Znam ją, była to córka bednarza, którą zabił wystrzałem z rusznicy, niech mu tam Bóg na sądzie ostatecznym przebaczy, a dobre czyny nakarbuje za złe, co w ciągu żywota swego ludziom narobił (2). Nie taki był *Panie-Kochanku*, Karól książę Radziwiłł, luboć jak nalał w pałkę, strzelał do ludzi, i psoty niewiastom wyrządzał. Pomnę, jak go Pisarz Litewski *Pac*, wyzwał w czasie pijatyki na pojedynek. Radziwiłł go nawzajem dla postrachu w śmiertelnej koszuli, między księdzem i katem na plac wyprowadzić kazał, potem go poił na zgodę, i *Pac* trzeciego dnia umarł (3). Nie dla tego zrobił, żeby się bał szabli, bo z panem Tryzną bił się, i uciał mu demeszkę. Lubił wielce zbytek i wystawę. Pomnę, kiedy go *Serenissimus Stanislaus Augustus* raczył odwiedzić, z jaką go pompą przyjmował! Najprzód od piérwsze-

go swego kopca granicznego dóbr, ustawił chłopów blisko jeden drugiego tak, aby jak pierwszy zawołał, drugi dosłyszał. Kiedy pierwszy dojrzał dostojnego gościa, i krzyknął: «*Król jedzie*» rozgłos ten przez mil siedem w ciwiec godziny doszedł do uszu księcia Pana w Nieświeżu. Słyszałem, że tam gdzieś na Niemczech, wymyślono do prędkich wiadomości jakieś wieże ze znakami (*). *Panie-Kochanku* i bez tego lepiej sobie poradził. Było to anno 1782: pragnął książę wszystkie bogactwa i starożytność domu swego na oczy wysadzić, dla tego kazał otworzyć skarbce swoje. Kredensa szczerolote, stoły, zasłony do kominków, krzesła, ze szczerego srebra lane, obicia by malowane wizerunki, a tego pełno było w pokojach dla króla Jegomości przeznaczonych. Osobliwości skarbcu, były ułożone w sześciu ogromnych izbach: leżały stosami konwie złociste, miednice, i kredens; książęce mitry zawieszono na chora-

(*) Telegrafy.

gwiach zdobytych. Okazano w drogich oprawach relikwije świętych, stały szafy pełne pereł, dyjamentów i drogich kamieni: osobno arsenał starożytniej broni i zbroi; osobno zamorskie cuda, suche ciała z za morza (*) i śliczne lalki z kredensem malowanym (**). Sam książę pan wyjechał na arbskim rumaku, w złotém wędzidle, w rzędzie klejnotami wysadzany: podkowy ze szczerego złota. Miał na sobie mundur wileński: mundur nie lada, bo za guzy brylantowe przy żupanie, szpinkę, karabelę sadzoną, szlifę co trzymała wstęgę od orderu, i pióro na kołpaku, można było dwa miasta ze wsiami zakupić (***). Cała szlachta z wileńskiego i dalszych stron przybyła, najgromadniej powiat Oszmiański i Nowogrodzki wystąpił. Stało nadwornej piechoty księcia 6000, w nowych mundurach a barwie. Oprócz jazdy,

(*) Mumije.

(**) Chińska porcelana.

(***) Ubiór ten wartal 1,600,000 złp.

brzmiały kapele włoskie, dobrze i więcej niż zwykle obsadzone. Miasto nie objęło wszystkich, stali więc w polach pod namiotami, a gdyś spojrział na tę mnogość, myślałbyś, że to jakowa *elekcyja*. Uderzono we dzwony za zbliżeniem się gościa, a armata z murów i wałów, ciągle salwy dawała: chorągiew z herbem Radziwiłłów powiewała na zamku. Zatrzymał się król Jegomość przed farą i przyjąwszy święconą wodę z rąk proboszcza księdza *Katembryka* ex-jezuity, stąpił w progi kościoła: prowadzon przez księcia, usiadł na przyrządzonym majestacie. Tron, otaczało sześciu rycerzy olbrzymiego wzrostu, od głowy do stopy, w stalowe zbroje przybranych. Po krótkiej modlitwie króla, ksiądz *Katembryk* przemówił doń dziwnie pięknie okrągłemi słowy, z których to pomnę.

(Tu *Kordus* chrząknął, splunął, a powstawszy na nogi zaczął).

«Nie zadziwia to książęcego domu, miłośnicy Panie, że Królowie polscy bywają w Nieświeżu. Był tu Zygmunt August, ostatni krwi

Jagiellońskiej potomek, bo się starał o Barbarę Radziwiłłównę. Był tu Michał Korybut Wiszniowiecki, bo blizką krwią łączył się z Radziwiłłami. Był tu pogromca wschodu Jan Sobieski, bo się z Radziwiłłówną urodził. Ale że Wasza Królewska Mość, ze szczególnej dobroci i względów pańskich, raczyłeś przybyć do tej starożytnej książąt Ichmościów stolicy, to Radziwiłłowie za zaszczyt sobie przyznają, i życzliwość sobie pańską wysoko cenić umieją» (4).

Gdy w pokojach ukazywano gościowi bogactwa liczne, cebry i wanny srebrne, książę pokazał Apostołów z szczerego złota ulanych: było ich dwunastu, oprócz Chrystusa. Ale *Serenissimus*, naliczył ich dziesięciu, bo książę dla *facecyi*, dwóch kazał schować. Król wiedząc że dużo stracił, zapytał z uśmiechem, gdzie reszta Apostołów?

«Mości Królu, wysłałem ich w świat, aż eby chwałę panowania W. K. Mci, światu opowiadali.»

Gość skłonił głowę, dworzanie unosili się

nad tą pochwałą, ale drudzy uważali to za dobrą przymówkę.

W parę dni w zwierzęcu *Alby*, wyprawił książę łowy: dawniej były w nim jeno daniele, ale teraz kazał nagnać grubego zwierzka. Aż z za *Slucka*, w pobrzeżnych *Polesia* puszczech, zapędzały je obławy, w przygotowane zasieki, od tych rozciągały się przez mil kilkanaście aż do zwierzęca wązkie ulice, ustawione z sieciowych wysokich parkanów i gęsto z obu stron osadzone ludźmi. Przymuszony zwierz dziki, wstępować wnie musiał: niedzwiedzie, łosie, odyńce, a nawet mniejsza zwierzyna, szła w tę zagrodę, jak bydło do obory: z każdej strony ciśnięto je i gnano. W zwierzęcu zbudowano wspaniałą altanę dla króla, i znakomitszych gości. Udało się wszystko i Najjaśniejszy Łowiec, zastrzelił własną ręką srogiego niedźwiedzia (5).

Był to piękny folwark *Alba*, przedtém Jeznici ostrzyli nań zęby, a gdy książę podchmielony, był w dobrym humorze, przyrzekł im uroczyście i dał słowo, że daruje im *Albę*.

Nazajutrz o dotrzymanie słowa gdy go nagłą, książę pięknie wyszywaną darował im *albę*: spuścili nos na kwintę, bo im się chciało folwarku, nie wyszywanęj alby.

Ile kosztowało przyjęcie dostojnego gościa, to żaden rachmistrz nie policzy, bo dla wszystkich i obroki dla koni i jedzenia, a napitku dostarczał prowent książęcy. Ale to nie raz, wydawał dużo grosiwa. Gdy odbywał książę w Nieświeżu nabożeństwo żałobne za duszę swych rodziców i krewnych, przez tydzień cały odprawiało się codziennie, kilka tysięcy mszy, a każdy ksiądz, oprócz stołu i wszelkich wygod, dostawał za mszą czytaną dukata, a za śpiewaną 50 czerwonych złotych.

Na tych sutych zaprosińach, pogodzili się z sobą książę z gościem, bo dawniej nie lubił go książę Jegomość, i nie stroił się gdy na dwór przybywał: zwykle, nosił wtedy żupan materyjalny biały zatabaczony i poplamiony, kontusz na tym mundurowy, wileński, wytarty. Raz gdy był w dobrym hu-

morze, radził mu król, aby o powierzchwie szaty dbał więcej. »Mości królu, *Panie Kochanku*, ten kontusz, już trzynasty z kolei Radziwiłł Wojewoda Wileński nosi, to nie dziw, że się podstarzał.«

Jeden z panów koronnych, nazywał go niedźwiedziem litewskim. Książę pan, kazał w Warszawie cztery niedźwiedzie do karety zaprządz, i wtedy, gdy on pan już był w zamku, na dziedziniec zamkowy zajechał. Za ledwo się pokazał, gdy konie rozhukane, połamaly karete pana koroniarza, powstają krzyki i wrzawa. Król wysyła pazia, żeby się dowiedział o powód rozruchu. Paź wraca, i donosi: »Ze książę Karól Radziwiłł, *Panie Kochanku*, zajechał czterema niedźwiedziami.«

Znałem szlachcica, co się prawował z księciem, a nie mogąc nic wskórać, przybył na dwór jego. Książę ujrzawszy owego, rzekł: »No! cóż słyhać panie bracie?« »Nic nowego Mości książę, mówią jeno, że nie masz większych kpów, jak Wasza książęca Mość,

i ja.« Co! co! krzyknął z gniewem książę. A tak, (odrzekł szlachcic spokojnie), ja, że proces wiodę z księciem panem, a książę pan, że wojnę z cesarstwem prowadzi. Udobruchał się na to książę, śmiał się szczerze, i pogodził z dowcipnisiem.

Ale baczę, że czas wam panowie bracia, wprzędz woły w jarzma, mnieć czas do chałupy, wygląda mię tam dawno moja niewia-
sta i wnuczęta. No! bywajta zdrowi.

* * *

Powstał Kordus, wziął na plecy swoje kurtkę z rydzami, gdy panowie z Sokołowa, ruszyli z sochami, każdy na swój zagon.

—Panie Boże dopomóż! rzekł starzec odchodząc.

—Panie Boże zapłać, razem odrzekła zdejmując czapki, szlachta *Sochowa*.



PRZYPISY.

(1) Gawęda niniejsza, jest osnowana wiernie na podaniach, jakie krążą w naszym narodzie o panu Kaniowskim i *Panie-Kochanku*. Wiele szczegółów tak o pierwszym jak o drugim, mam wprost od osób, które same obu znały.

(2) W zbiorze szacownym P. Wacława z Oleśka (*Zaleskiego*) pieśni ludu, są dwie ruskie pieśni (str. 493 i 494), w których wystawiony jest pan Kaniowski, jak strzela ze swego sztucea do *bodnaroczki* i zabija.

(3) Domy i Dwory Ł. Gołębiowskiego 1830 w Warszawie.

(4) Urywek téj mowy, zachowała nam piękna powieść w Tygodniku Petersburskim, pod napisem: «*Pan Wojski*.»

(5) O łowach z powieści «*Pan Wojski*.»

(6) Radziwiłł *Panie-Kochanku*, sływał z łgarstw swoich, o których miałem sposobność w inném miejscu namienić (*patrz Kulig*). Przytoczyć tu muszę jeszcze jedno łgarstwo. Szlachcic Borow-

ski poufały księcia, którego lubił równie jak swoje ogromną wyźlicę *Neptę*; opowiadał, że książę kazal raz krowy swoje wydoić, a z tego udoju, wypełniono sadzawkę w Nieświeżu. «Panie Kochanku! (rzekł *Radziwiłł*), to nie jeszcze: ale jak zebrano śmietanę z sadzawki i zrobiono masło, w masle znaleziono źrebię, co się dawniej w mleku utopilo.»

Książę ten, zwiedzając różne kraje Europy, woził z sobą taki dukat szczerozłoty, że na niego oddzielny był powóz, a kilku ludzi dźwigać go musiało. Będąc w Paryżu, wszedł do jednego z magazynów galanteryi i wszystkie towary w składzie tym będące, bardzo mu się podobały. Zapytuje kupca, wiele żąda za cały magazyn? Zdziwiony właściciel uraził się, miał bowiem za żart to pytanie. Książę nie mogąc się doczekać odpowiedzi, pokazuje kupcowi pierścień, którego główny dyjament, prawie odurza kupca: nakoniec oświadcza, ile żąda za cały magazyn, a w kilka chwil, cała należytość zapłaconą została. Dotąd w Paryżu nazywa się to przejście *Passage* (*przejście*) *de Radziwiłł*.» (*Rozmaitości Lwowskie. Stało się to w Palais-Royal*).

Do stołu prawie codziennie, siadało 800 osób. *Radziwiłł* nagradzając wierność sług swych i przy-

jaciół, darowywał wsie o kilkudziesiąt osady, albo dziedzictwem, albo dożywociem. Utrzymywał teatr polski, operę włoską, i wyborny balet. W dobrach swoich przeszło 300,000 dusz liczył. Wszystkie te bogactwa, zbytkiem i nierządem zmarniały, skarbiec wypróżniał, Apostolów owych stopił nawet. Panie-Kochanku, jakby przeczuwał upadek domu i rodziny swojej, zmarnotrawił niemal wszystko. Majątek jego jaki pozostał wraz ze stolicą Nieświeżem, przeszedł w ród obcy. Ciało jego tylko w kontuszu przybrane, spoczywa w grobach Nieswieżkich, razem z *Radziwiłłem Sierotką*.

jaści, dowodził więc o kłótności między albo
kłótnością, albo dozwoleniem. Utrzymywali to
nie polski, czysty włoski i włoski balat. W. de
brach swoich przeszła 300000 dusz liżył. W. exy.
alio to bogactwa, zrytym i nierozumem zma-
ły, szlachy wyprzedził, Apolonia w. wyob. sta-
ł się nawet. L'anic-Rochanda, Jedy przetrwał naj-
dob. dom i rodzinę swoją, zmałował nie-
mał. W. exy. Jedytka jego jako pozostał wie-
cnie alio. W. exy. przeszła w ród oby-
czaj. Jedytka jego w kontynuacji przetrwał, spoz-
na w. wyob. W. exy. Jedytka, razem z R. exy.
L'anic-Rochanda.

W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.
W. exy. Jedytka, razem z R. exy. L'anic-Rochanda.

XI.

RYBAŁT.

OBRAZ HISTORYCZNY.

Wejrząwszy takie na mnie Rybałta starego,
Uszanujesz, i będziesz życzył, co dobrego.

'Rybałt stary wędrowny 1632.

(Z wizerunkiem Rybałta).

IX

ВУДОВА

ОНЛАЙН ИСТОРИЧНИ



NO. 727

(wzrost: 170cm)

Stare Gwedy i Obrazy



*Rylatt.
Stary Włodowcy.*

Drzeworyt z Roku 1632.



11D 727

Rybałt, nazwa z włoskiego, *ribaldo*, *raubaldo*, żak psalmista, śpiewak kościelny (*). Już w XVI wieku, jak Archidyjakon Gnie-

(*) S. B. Linde. Ribaldyja, psalteryja, bakalarstwo.

«Teraz z rybałtów, abo z dworzan, z żołnierzów, na stan duchowny idą.» (*Skarga. Kazania*).

«Pożyteczniejsza jest, dać na wielkie miéjsca syna na nauki, niż go w miasteczku przy bakalarzu bawić, kędy się jedno na *rybałdyją*, albo *sekundaryją* sadzi, a o nauki nie dba.» (*Erazm Gliczner. Książki o wychowaniu dzieci. in 8vo druk gocki*).

źniński mówi, nieskromne życie prowadzących duchownych, rybałtami nazywała, władza duchowna. Pełno było rybałtów w Polsce w XV i XVI wieku, wędrowali oni swobodnie, i wszędzie znajdowali dobre przyjęcie: i nie dziw, przy każdym niemal parafijałnym kościele, miano śpiewaków, a małż ich potrzebowały wspaniałe zamki magnatów naszych, i dwory szlachty bogatej, gdzie nadworną trzymano kapelę. Rybałt wtedy byle z dobrym głosem i znał muzykę, nie zagrzewał długo jednego miejsca, ale szukał coraz lepszego losu: w drodze nie potrzebował dzwigać sakwy, byle miasto, dwór, lub klasztor, śmiało wchodził, a znalazł pożywienie i zasiłek w dalszą drogę.

Rybałt, co nie śpiewał w kościele, ale po dworach, i nie zawsze pobożną, ale i świeckie piosnki, nazywał to po swojemu: »*prywatną cantacyją*,« nie mały wszakże ta prywatna kantacyja, robiła mu dochód.

Przy końcu panowania, Zygmunta IIIgo, już ci wędrowni śpiewacy, co przechowywali

w pamięci, najdawniejsze nie tylko pieńa, na cześć Bożą, ale historyczne dumy i piosnki światowe, zaczęli upadać. Poemat owoczesny z 1632 roku pod napisem:

»*Rybalt stary wędrowny, dobrego bytu szukający, z patrami i kantorami rozmawiający o delicyjach śpiewaków, kantorów, i żaków.*«

(Arkuszy 3½, druk gocki in 4^o, na początku jest wiersz do «Czytelnika,» a w końcu: Do tego, który ludzką pracę kasać zwykł, którego *Zoilem* inaczéj nazywają).

Wystawia smutny obraz wędrownego Rybaltta, co słuszne na odmiany czasu skargi wyrzeka.

*Nie wiem, co teraz już nam, za czasy nastaly,
Które się nam znać wszystkim, bardzo dobrze dały:
Ludzie się wszyscy skarżą, nie już nie masz żaków,
Nawet że téż i mało dziś wdzięcznych śpiewaków.
Chodzę z miasta do miasta, wszędy pustoszeję,
A nie wiem, dlu kogo się taka sprawa dzieję.*

Jak przypominał sobie, dawano im strawę w miastach i klasztorach, teraz nie mają

za co zjeść ani wypić, ani na rzemyk, ni trzewik.

Przed tym więc, gdyśmy przyszli na rekordacyje ().
Przywitali nalawszy: «Niech muzyka pije.»*

*Teraz, rekordacyje, i wszystko ustalo,
Nie dziw, że też śpiewaków, pod ten czas nie stało.
Woli drugi karabin, i z szabłą przy boku
Mić, żeby miał pieniądze, dla przygody w troku.*

Dzieci uczyły się od nich śpiewać: stąd
był obiad i kretaś, i pewna zapłata.

*Przed tym się chudy śpiewak, prędko poratował,
Byle tylko w kościele mógł odśpiewać chorał:
Mógł przy sobie pożywić Kantor, i śpiewaka
Drugiego i trzeciego, i biédnego żaka.
Teraz, pieszczoty dosyć, dzieciom pochlebują,
Mówiąc: «że śpiewaków z nich nie potrzebują.
A przed tym się Królowie śpiewać nie wstydzali,
Jak nam o tym przodkowie, dawni opisali.
Z dziećmi miejskimi szlachta nic nie przebierając,
Traktowała: «Gama, ut, re, fa, sol, la,» śpiewając:
A który więc nie umiał, to go położono,
Chocia płakał, przecie mu zaśpiewać kazano.»*

(*) Zebranie ucziwe sług kościelnych, z śpiewaniem od domu do domu.

Wiele Rybałtów siedziało w Krakowie i na *Podgórzu*, a panowie hojnie obdarzali: nie małą ich liczbę i *Wielko-Polska* miała. Ze wszystkich przecie, najślawniejsi |byli Rybałtowie z Podgórza, jak w ów czas nazywano *Podgórczykowie*. Wieszało się nie mało po dworach znakomitych panów. Często po kilku wędrując, składali już nie złą muzykę, dla czego szczególnie w zapusty, chętnie i u mniej zamożnego szlachcica, znaleźli przyjęcie: był to czas albowiem wesołych kuligów, gdzie gromadnie z śnieżną zawieją, od domu do domu, kulig przelatywał strojno, radośnie, i z muzyką zawsze. Rybałci wtedy, wyćwiczeni nie tylko w psalterzu, wesołemi piosnki, ożywiali zabawę i uczyły.

Celował między wszystkiemi od roku 1619, do roku 1640, sławny Rybałt Marcin Zięba. Nietylko, że umiał grać doskonale na wielu instrumentach; ale przyjemnym i mocnym głosem, był obdarzony. Grał i śpiewał po zamkach panów, radzi go i ziemianie przyjmowali

u siebie. Z siedmiu towarzyszami, obchodził on całą Polskę: rano, nie pierwój poszedł do dworu, aż odśpiewał mszę w kościele: wtedy, czy uczta, czy tańce, człowiek wielkiej pamięci umiał mnóstwo owoczesnych piosnek wesołych, rubasznych, a nawet i poważnie historycznych: o *świętym Stanisławie z Piotrowiną*, o królowej *Barbarze Radziwiłównie*, małżonce Zygmunta Augusta, o bitwie pod *Gründwaldem* (r. 1410), i o *wzięciu Gdańska* (*). Wielu panów, chciało go zatrzymać przy swoim dworze, ale Zięba nie rad zagrzewać miejsca, wędrował swobodnie. Po kilku latach, opuszczony od towarzyszków, chodził jeszcze samotnie, aż w roku 1640, znaleziono go we wsi jednej pod Krakowem, bez duszy.

Rybałtów nie słusznie mieszano z Klecha-

Υ*) Pieśni o Św. Stanisławie i o Barbarze, nie znam. O bitwie pod Gründwaldem, że pieśń była, wspomina Błażowski, tłumacz Kromera. Pieśń o wzięciu Gdańska, jest znana z przedruku, w Pamiętniku Sandomiérskim.

mi (*). Klecha, był stały przy każdym niemal kościele we wsi: miał inne obowiązki, i znaczenie swoje długo utrzymał. Lubiony szczególnie od ludu, główna osoba starych dyjalogów i komedyj, pamięć imienia swego dotychczas zachował. Rybałt, kościelny jeno śpiewak, którego jedynym zawodem muzyka, śpiewanie psalmów i pieśni nabożnych, a nauczanie takowych po szkółkach wiejskich, nie znalazł miejsca w żadnym dyjalogu, i prędzej niż Klecha, doznał wzgardy i upodlenia.

Sama nazwa poszła w ochydę: złą polszczyznę zwano, »*Polszczyznę Rybałtską*,« a Starowolski pisze (**): »*Ludzie uczone, z urąganiem Rybałtami zowiemy.*«

(*) »*Na wojnę księża, przed tym nie księdza wysłali,
Ale tę dziurę, Rybałtem zatkali.*«

(Wolna wyprawa do Wołoch Ministrów na wojnę z r. 1617 in 4to.)

Stawiano więc ich na równi mylnie z Klechami: porównaj opis Klechy z Rybałtem.

(**) O Reformacyi obyczajów Polskich.

Rybałci, których ślad pierwszy na początku XIV wieku dostrzegam, już znikli zupełnie w połowie XVII wieku, nie przetrwawszy i trzech pełna wieków.

Wyższy stopień śpiewaków klasztornych, miał nazwę Kantorów (*Cantores*), z Rybałta szedł dopiero na Kantora, czyli stałego przy kościele śpiewaka. Dla tego w powitaniu, czcił Rybałt Kantora wyrażeniem: »*Domine Cantor*,« a ten dumny pogardzał wędrownymi (jak nazywano), *Rybałtami*.

Liczniejsi od ostatnich byli Kantorowie: przy jednym kościele, mieściło się ich nie raz dwunastu lub piętnastu, uważano to w on czas, za niezbędną ozdobę kościoła. Mimo swęj liczby, dobrze zaopatrzeni, bo żywili jeszcze przy sobie wędrownych Rybałtów, i wyręczali się nimi, gdy sami zajęci byli gospodarstwem domowém.

Równie jak Flechy, długo w bezżeństwie zostawali, gdyż miano ich za niejako poświęconych kościołowi: w połowie XVI wieku, zapomnieli surowości dawnęj, i wprędee,

mnóstwo się ich pożeniło. Uważano to ze zgrozą, że jak idzie Kantor, dzieci za nim lecą, wrzeszcząc:

*Spytaszli gdzie się działy, one dawne lata,
Gdy dzieci za Kantorem, nie wołały Tata (*).*

Wszelako w Krakowie, nie cierpiano i w tym czasie, żonatyh Kantorów: nie wiele przecie na tém zyskiwała moralność.

*Jeszcze wzdly przy Krakowie, żennyh nie chowają,
Tylko małpom wydając, sami nic nie mają (**).*

W Wielkopolsce, z równą surowością przestrzegano bezżenności Kantorów, bo żonaci natychmiast miejsce swoich postradali; po kościołach wiejskich i parafijach, przez szpary na to patrzano, a Kantorzy, lepiej się mieli po wsiach, a niżeli w miastach, kmiecie albowiem, dobrze zasilali ich spiżarnie.

W rynku Krakowskim była szkoła, którą sami opatrywali panowie, gdzie uczyli śpie-

(*) Rybalt stary wędrowny 1632.

(**) Rybalt stary wędrowny.

wu, i gęźby (*) kantorowie i wędrowni Rybałci. «Chowają tam muzykę piękną i muzyków wielu, a dla nich dom osobny» (**).

Było w on czas i więcej szkółek, gdzie młodzież szlachecka, mieszczan, a nawet ubogie żaki wiejskie, uczyły się gęźby i śpiewania. Liczni przy nich Kantorowie, wcale skromnie nie żyli. Nasz Rybałt stary, wędrowny, obecny świadek, opisuje tych hulaków.

*«Pijaliśmy tu (w szkole) przed tém, i tańce bywały,
Same grzeczne dziewczeczki do nas tu chadzały:
Nawet sery i masło, także i gomólki
Przynosiły, bywały tego pełne półki.
Nawet, jeśli ponnicie u nas nocowały,
Gdy dla tańca do domu, spać iść zamieszkały.*

Dodajmy do tego, że umieli doskonale szklenicę wypróżniać.

Między rokiem 1620 a 1635. sławną była

(*) Muzyki.

(**) Rękopism 1665 folio, z którego wyjęta wiadomość o Ziębie Rybałcie Z księgozbioru ś. p. Tomasza Święckiego.

gospoda w Krakowie, pod znakiem i napisem: «*U szewca Nogi piwo Częstochowskie*» gdzie i a'więcej schadzali się wszyscy Kantorzy z Rybałtami razem. Tu beczkami spijali sławne piwo Częstochowskie i tęgie miody: nie odwilżali zmordowanego śpiewem gardziela, ale topili w trunku, bez miary i pomiarkowania.

Nie raz, po całych nocach pili, a nazajutrz rano, nie było komu śpiewać w kościele: wtedy klasztorna czeladź, sprowadzała opitego i zaspalego jeszcze Kantora z pod *Nogi szewca* i sadzono go na chórze, by śpiewał.

Wielu pomiędzy nimi tak wyprawnych pijaków było, że przyprowadzony bez pamięci, za ledwie mogąc usiedzieć, śpiewał z przywyknienia tak dobrze i bez pomyłki, że lepiej i po trzeźwu nie umiał (*).

Jeżeli Rybałci, nie tak radzi zaglądali do Krakowa, gdzie nie wiele pożywić się mogli; za to Kantorów, była tu stolica. Mnóstwo ko-

(*) Rybałt stary 1632 r. Rękopism z 1665 folio

ściołów uposażonych bogato, gdzie niemal co ulica to klasztor; gdzie, użyję słów starodawniej o Krakowie pieśni: (*)

*«Duchowieństwa niezliczone koło,
Ci, we dnie, w nocy, śpiewają wesole:
Wesole hymny, wdzięcznie zaczynają
Chwałę oddają.»*

Kraków, o którym sami Włosi mieli przyśłowię:

*«Że gdyby Rzymu nie było, Kraków byłby drugim Rzymem» (**):*

Żywił mnogość Kantorów: tu było główne ich gniazdo, stąd rozchodzili się na całą Polskę. Przeciwnie Rybałt, do wędrówki nazwyczajony, zyskując więcej po zamkach, i dworach, niż w murach starożytnego grodu,

(*) «Pieśń nowa, o przesławném mieście stołecz-
ném Krakowie.» Bez miejsca i roku: druk goe-
ki, pół arkusza in 4to. Pieśń ta, pochodzi z cza-
sów panowania Zygmunta III, nim stolicę do War-
szawy przeniósł.

(**) Zbiór Pamiętników o dawniej Polsce.

chyba na starość, gdy osłabił nogi, lub do-
stał się na Kantora, przemieszkował w Kra-
kowie.

Jak był sławny w tym czasie *Mosiężkowski* Adam, organista Krakowski, to o tém wspo-
mina Cichocki, którego chwalać mówi: «że gdy
na organach zagrał, zdawało się, że każdy pa-
lec, duszą był ożywiony»(*). Równie był sła-
wny Kantor *Laurencyjusz* (**). Śpiew jego
uwielbiali i ci nawet panowie, co za granicą, a
szczególniej we Włoszech, nasłuchali się wy-
bornych śpiewaków nie mało. Później osiadł
on w Poznaniu; był otyły, a wzrostu tak wyso-
kiego, że najrościejsi w on czas, zaledwie mu
do oczu dostawali.

Zwyczajnym ubiorem Kantora, był *gier-*

(*) Siarczyński. Obraz panowania Zygmunta III.

(**) Rękopism 1665. Wspomina i Rybalt (r. 1632)
o Laurencyjuszu i mówi o nim :

«Chłop to był grzeczny, cichy, i rodu dobrego,
Owo zgola żeć powiem, trudno o takiego.»

mak, długi aż do kostek, kołpak lisi, a wielu miało nawet, czapkę sobolową (*).

Rybałt, w ustawnej drodze, miał kapelusz z szerokimi skrzydłami, płaszcz obszerny, co mu za ochronę przed deszczem i okrycie na poślanie służył. Nosił wąsy i brodę, włosy krótko postrzygał: buty z długimi cholewami, przymocowane pod kolaniem rzemieńcem (**). Kostur w rękę dobrze okuty, służył mu za obronę, i podpieranie się w drodze. Skrzypice, lirę, lub kobzę, albowi też jaki dęty instrument, nosił w torbie skórzanęj, pod obszernym płaszczem, który zwykle nazywano opończą.

(*) «*Giermak aże do dołu, czapka sobolowa, Postawa niepodlejsza, i wytworna mowa.*»
(Rybałt 1632 r.)

(**) Rękopism 1665 folio.



XII.

Kościół

ŚWIĘTEGO KRZYŻA,

NA

LYSÉJ GÓRZE.

OBRAZ z R. 1825.

Przebywając Wisłę na promie pod *Józefowem*, przewoźnicy doradzili, żebym się bliższą drogą do *Łyséj-Góry*, inaczéj *Święto-Krzyżką* zwanéj, udał. Droga szła lasami, na miasteczko *Denków*.

Jakoż, mając las dwu milowy do przebycia, pośpieszałem, aby za dnia dostać się do *Denkowa*, gdzie przemocować postanowił. Lecz jak to mówią, jedna biéda nie doku- czy: wytrzymawszy dużą na *Wiśle* falę, | za- błądziłem w wielkim lesie, i za ledwie dosze- dłem, do przechwalonéj od przewoźników

gospody. Łatwie do niej mogłem trafić, krzyk, i wrzawa, rozlegały się, przez okna i drzwi roztwarte.

Wchodzę, do czterdziestu wesołej gawiedzi znajduję: cienka świeczka łojowa, i słabo tlejąca głównia na kominie, nie wielce, obszerną oświecały izbę. Znalazłszy przecie mały kącik, zrzuciłem tłómoczek, i usiadłem na nim, przyglądając się zebranей drużynie.

Kilku dobrze podciętych spało, inni śpiwkami krzykliwemi, ogłaszali radość gorzałczaną: najwięcej ubawił mię szewc, z tegoż miasteczka majster. Człowieczek mały, ale czupurny, wybladły, w siwej kapocie, z czapką baranią, co ją dobrze przekrzywił na lewe ucho, stał na środku, tupał nogami, śpiewał, popijał wódki coraz, nakładając fajkę. Trzeba było widziéć, jak ciągle dygał krótkimi nogami, i kiedy chciał dojść do komina po węgiel, nabujawszy się dosyć, podniósł nogi w chęci posunięcia najprzód, ale z wielkim śmiechem trzeźwiejszych, cofnął się w tył o kilka kroków: tak prawdzi-

wie raczym chodem, miasto zbliżenia, oddalał się co raz od komina, aż w ostatku dotknął ławy u stołu, i usiadł nieco. Tu przechodzącemu (*a był to szewc drugi*), tak nagle z nienacka potężny wyciął policzek, że czapka spadła: zaczepiony, nie podniósł czapki, ale w garść plunął, i tak się odwzajemnił, że pan majster jak sam wyrażał, *szewc z ojca, dziada i pradziada*, upadł pod ławę. Jakiś krewny ujął się za nim, wszeczyna się wrzawa, małe grono siedzących dotąd cicho, powstaje, ci tę, owi tamtę, wspierający stronę. Zaczynają nogi z ławek wyłamywać, podnoszą ściśnięte pięści: gospodyni widząc na co się zanosi, otwiera drzwi, i woła męża. Ujrzałem w głębi alkierzyka, siedzącego człowieka w okularach, nad książką nabożną, był to sam gospodarz. Porwał się prędko, i wtedy pokazywał wzrost wysoki, i szerokie plecy. Tym czasem w izbie, już się z niejednej czupryny kurzyło, już dwie nogi przelociały na drugą stronę, zostawując ślady sińcowe w swoim przelocie. Gospodarz staje

we drzwiach, podnosi grożąc rękę w górę, i grzmiącym woła głosem: »*Zono, kija.*«

Te dwa słowa, czarodziejską wywierają władzę: przez drzwi i okna, w jednej chwili ucieka wszystko, nawet on szewc, co dojść nie mógł do komina po węgiel, między pierwszymi wyleciał za drzwi, i w sieni się rozciągnął jak długi. Strach był widoczny i potęga dwóch słów, bo do czterdziestu uciekło. Zostawszy sam, zadziwiony nie pomału, pytałem gospodarza, czy czarodziej jaki?

Z uśmiechem odrzekł mi na to: »Znają moją rękę, i boją się. Przeszłej niedzieli, chciałem wypchnąć za drzwi opoja, sprzeciwiał się i opierał, pochwyciłem go i wyrzuciłem: na nieszczęście, gdym ścisnął mocniej rękę, powyżej łokcia kości, w dwóch miejscach pękła.«

Ze już blisko północkska, i ja pragnąłem zmęczony odpocząć, bo od Wisły, na kmiecięj furze, połowę lasu przebyłem, lecz resztę pieszo, a zabłąkany, dwie mile przeszedłem; po lekkiej wiczerzy, jaką mi sporzą-

dziła rozmowna gosposia, na świeżem i pachnącem sianie, złożyłem utrudzone kości. Mój gospodarz, człek podżyły, stary *dworus*, rad gawędził, widząc, że go słucham ciekawie: owoż krótki życiopsis jego.

Służył na dworze krajczego Potockiego: syn pana tego, równie miał olbrzymią siłę, i kiedy z Gdańska w pakach przychodziły blaty marmurowe do stołów, we dwóch ze statków znosili. Ciężar był tak wielki, że dwa razy antaby im zostawały w ręku: ale młody krajczyc, prędko się zerwał i utracił siłę. Mój gospodarz, zachował ją stale. Trzymał pan krajczy dwóch niedzwiedzi, miały po lat siedem: raz się jeden urwał z łańcucha, i rozżarty wbiegł na gumno: pozamykano wrota, gromada czeladzi obskoczyła wokoło, lecz nikt nie śmiał się dotknąć zajadłego zwierza. «Pan krajczyc (*mówił*), przybiegł do mnie, a klepiąc po ramieniu, wyrzekł: «Mój Stanisławie, weź no tego niedźwiedzia.» Ha! więc poszedłem, wyłamałem kół z płota, otwieram wrota i wychodzę. Deszczyk właśnie popru-

szyl, było slizgo zbliżam się ostrożnie, i uderzam go po słabiznie, niedźwiedź mruczy gniówny, staje na dwóch łapach. Spodziewałem się tego, chciałem go schwycić tak z tyłu, żeby łapy po wierzchu przycisnąć, w takim powijaku łatwo by go zwięzać: ale na nieszczęście, nagle się zwrócił, w poły mię schwycił, podniósł w górę i rzucił daleko. Rozżarty przypada, i rzuca się na mnie: leżąc rozbity jeszcze, tyle miałem siły, że go z siebie zrzucił; przecież począł mi nogę kaleczyć, i całą łytkę wydarł, nim leśniczy, jednym strzałem, rozciągnął go na ziemi.»

W istocie, pokazał mi skaleczoną nogę: kość piszczelową podarta skóra obciągała tylko. Długo się leczył nim wyzdrowiał, przecież nie chromał na nogę. Miał cztery żony, wszystkie rychle po ślubie umierały, terażniejsza stara dwórka, była z rzędu piątą i miała także piątego męża «Oboje jesteśmy ciekawi (rzekł do mnie z uśmiechem), kto kogo przetrzyma.» Widząc że mi sen oczy klei, życzył dobrej nocy i odszedł, ja też stru-

dzony, smaczno do rana przespałem. Otwieram oczy, spoglądam : wczorajszy szewc pan majster, co był powodem rozruchu, jeszcze bledszy, z podbite mi oczyma, już na ranne śniadanie, drugi półkwaterek szumówki wychylał. Dowiedziawszy się, że pragnąłem jakiej furki dla dostania się do miasteczka *Stupi*, ofiarował mi najgrzeczniej swego konia za tanie pieniądze i siebie za woźnicę : przyjąłem chętnie, a tak ruszyliśmy wkrótce, nim rosa opadła.

Nie pierwszy raz zwiedzałem tę sławną górę z klasztorem, i nie z jednej strony przybywałem do niej. Widząc o mil kilka wyniosłe wieże kościoła, rubaszny mój woźnica, nie wytrzeźwiony zupełnie, zaczął opowiadać ciekawą powieść o czarownicy, co na Łysą-górę leciała na ożogu; w samym środku zamilkł, bo usnął. Nie przerywałem snu smacznego, a świadomy drogi, wziąłem lejce do ręki, i popędzałem rzeźwego konika. Po krótkim spoczynku, dojechałem do miasteczka *Stupi*, w którym wielki przestach panował.

Na kilka dni przed moją przybyciem, zastrzelił się młodzieniec, zakochany w jednej mieszczance: długo leżały zwłoki bez pogrzebu, bo mieszczenie nie dozwolili zakopać ich na gruncie miejskim, lekając się upiora. Po wielu trudach, w odległym i samotnym dole, pochowano trupa. Wkrótce nappełnił całe miasto, i poblizsze okolice trwogą, bo powstał upiorem: każdej nocy wychodził przy świetle księżyca z mogiły, i napadał już to na pasących bydło, już na przechodzących. Do podziwienia! upiór ten uderzył nawet na silnego parobka, i długo z nim się pasował: owoż jak mi ten sam parobek opowiadał w gospodzie, o swoim potkaniu.

«Noc była jasna, kiedym *stróżę* odprawując, przechodził się przy stodole. Spojrzę ku wrotom, aż te się same otwierają, i wchodzi *On*, co się przed tygodniem zastrzelił. Poznałem do razu, miał też czapkę i płaszcz na sobie, w którym go widziałem po śmierci. Zimny pot oblał czoło, powstały mi włosy by kije z przestachu, a on sunie się ku

mnie prosto, z rozwartemi rękoma, właśnie by też na uściski serdeczne. Chciałem krzyknąć, ale język by kłoda przewracał się po zębach, chciałem zrobić krzyż pański, aleć złodowaciała ręka. Upiór się mknie i chwytta w poły, a wytrzeszczył ślepie, patrząc gdzieby mię ujadł. W strachu takim, przybyło mi siły, schwyciłem za kark, przygniotłem ku ziemi, a on mruczał. Miesiąc zaszedł za chmurę, i tak ciemno, choć oko wykol. Aż w tém, na szczęście kur w chałupie zapiał, nie czuję nic w garści, obejrzę się, *kej* upiór? a on zniknął.»

Opowiadanie to widziałem, jak silne wrażenie na słuchaczach zrobiło: karczmarz ucęstował śmiałka darmo pół kwaterkiem wódki, kobiety drżały blade przestachem, bo właśnie był wieczór, i miesiąc świecił. Parobek wesoły, przekrzywił czapkę i pokazywał rękę, którą dławił upiora: wszyscy wlepili w niego oczy, widząc w nim rzadkiego bohatera. Zaczęły stare baby opowiadać dawne powieści o upiorach, kiedy coś mi-

gnęło pod oknami. Jeden krzyk w gospodzie powstał: «Upiór! Upiór!» Zbledli wszyscy, uważałem że zadrżał i odważny przed chwilą parobek.

— «Mój przyjacielu (*rzekłem do niego*), ty coś się próbował z nim przez noc całą, pójdź i zobacz, czy to ten sam chodzi.»

Nie odrzekł i słowa, pożegnał się i przysunął bliżej komina, gdzie zgromadzone, przytulone stały drżące niewiasty. Wybiegłem więc sam, ale nie nie zoczywszy, wróciłem na powrót, zaręczając, że nikogo nie widział: to uspokoiło nieco zgromadzonych w gospodzie, jakoż wkrótce rozeszli się na spoczynek.

Słupia miasteczko, dawniej dziedzictwo opactwa Benedyktynów, u stóp *Tyszej*, inaczéj zwanej *Święto-Kirzyskiej* góry położone, małe i liche, zabudowane drewnianemi domkami: zdoła je tylko kościół murowany, pod wezwaniem *Sw. Wawrzeńca*. *Słupia*, lubo się szczyci odległą starożytnością, nie ma wszelako żadnego jéj piętna na sobie. Już w roku 1410 była miastem, gdzie jak *Kronikarz*

Marcin Bielski mówi: «Mieszkał dwa dni Władysław Jagiełło, skąd szedł na górę do kościoła *Świętego Krzyża*, bosemi nogami, gdzie czynił wielkie nabożeństwo.» Była to doba, w której modlitwą pragnął zjednać sobie łaskę niebios, mając walczyć z zakonem krzyżackim, pod którego znaki krzyża, zbiegało się żelazem warowne Europejskie rycerstwo, i lądem i morzem, a różne Europy okolice, składały w jego karbony pieniądze. Wkrótce też w pamiętnej bitwie pod *Gründwaldem*, ponieśli klęskę okropną.

Z miasteczka *Słupi*, otwiera się wązka drożyna, którą podróżny wdzierać się musi, chcąc się dostać na szczyt *Łyséj - Góry*, *Świętym-Krzyżem* od ludu zwanéj: długa i przykra kamienista droga, z obu stron zarosła, bukami, grabiną i jodłami, przerżnięta mnóstwem strumieni wydobytych z pośród skał, które z szumem na dolinę spływają, prowadzi z trudem na wierzchołek. Przy samym wchodzie ze *Słupi* na górę, znajduje się starożytny posąg *Sgo Emeryka*, niezgrabnej ro-

boty: wyobraża on klęczącą osobę z złożonymi rękoma, jakoby w czasie modlitwy. Lud, takie ma podanie o tym posągu. «W czasie napadu Tatarów na klasztor Łysogórski, kiedy rabowano kościół, jeden z nich porwał drzewo krzyża świętego, złożone od najdawniejszych czasów w tej świątyni: (a) ale za ledwie się dotknął, niewidomą siłą, pozbawiony został władzy w ręku. Gdy ze czcią postawił na miejscu dawném toż drzewo, natychmiast uzdrowiony został. Na pamięć tego zdarzenia, rozkazał zrobić ów posąg, i postawić go w tém miejscu.»

Z wierchołka góry, piękny i okazały widok. Bielejące od śniegu w pośród chmur szczyty Karpatów, o mil 30 odległe, pola i lasy; wsie i miasta rozsiane po wzgórzach i dolinach, zachwycają wędrownika: a jakiegoż uczucia serce nie doznało moje, gdym wspomniał, że się w tych miejscach znajduję, gdzie przed dziewięcią wiekami, zwycięzka *Chrobrego* ręka, Bogu na chwałę, świątynią wzniosła!

Łysa-Góra, w pośród przerwiśk skalistych lasami okryta, na której kościół *Świętego-Krzyża* z klasztorem Benedyktynów stoi, podniesiona jest na 2000 stóp, nad poziom morza Bałtyckiego, a jak uważa *Staszic* (o *Ziemiorodztwie gór*), jeszcze daleko musiała być wyższą, co dowodzą na samym wierzchu rozburzone skały, i niezmierne na wszystkie strony rozwaliska. Ludu podanie niesie, jakoby rozburzenie *Łyséj-góry* stało się przez wielkie trzęsienie ziemi: lecz o tém, nie masz żadnej wzmianki w dziejopisach, a znalezione w pośród tych zwalisk kamienie, posągi bożyszcz, i popielnice umarłych dowodzą, że podobne zdarzenie, jeśli miało kiedy miejsce, to zajść musiało jeszcze przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej, w kraju naszym. W całej okolicy tych gór, na mil kilka, znajdują się po polach gromady rozrzuconych żuzli żelaznych.

Na najwyższym gór Łyso-górskich szczycie, wznosi się klasztor z kościołem księży Benedyktynów, powszechnie *Święty-Krzyż* zwa-

ny. Cały ten wierzeh góry, na 15 sążni grubo, okrywają zwaliska, sama zaś góra tak jest wysoka, że często chmury ocierają się o jej wierzchołek, a choć deszcze i burze panują na dole, w górze najpiękniejszej pogody używać można. Z dolin pogładając, nie raz widziemy, jak chmury zakrywają całkowicie klasztor: chwila ta sprawia zachwycający widok. Chmury ustępując z wolna, odkrywają częściami ten gmach wspaniały, który zdaje się, jakoby z nadpowietrznej spływając krainy, osiadł na szczycie wyniosłej góry. Kościół wchodową i tylną ścianę mający z ciosu ułożoną, ozdobiony zewnątrz marmurowemi posągami opatów i rycerzy, nie nosi na sobie żadnej cechy starożytności: po ostatniem bowiem spaleniu przed dwudziestą kilku laty, od opata tutejszego został odnowiony, i zewnątrz zupełnie w nowym stylu przyozdobiony. Gzymsy jego wewnętrzne, opierają się na płaskich rzymskiego porządku słupach bielonych, równie jak i gmach cały. Wilgoć, pomimo takiej wyso-

kości, jest tak wielka, z powodu opoki na której mury są wzniesione, że jak tylko deszcz ma padać, woda kroplami na posadzkę marmurową występuje. Z tej to przyczyny, piękne obrazy sławnego Smuglewicza, zdobiące ten kościół, w krótkim czasie zostały zniszczone.

Wielki ołtarz, zdobią dwa słupy mozaikowe, w środku których obraz wspomnianego malarza *Trójcę świętą* wystawia: sześć innych obrazów tegoż samego artysty, tworząc sześć bocznych ołtarzy, upiększają ściany. Z pomiędzy nich, we dwóch był szczęśliwy w wyborze przedmiotu. W pierwszym, gdy Emerykowi, synowi Stefana króla Węgierskiego, będącemu na łowach, anioł spuszczając się z obłoków, wskazuje miejsce, gdzie ma klasztor wystawić, i drzewo krzyża świętego złożyć: w drugim, gdzie Helena matka Konstantyna, znalazłszy krzyż na górze *Kalwaryi*, doświadcza w przytomności biskupa Jeruzolimy, przyłożeniem go do schorzałej osoby, czyli jest istotnie szukanym krzyżem Chry-

stusa. W pierwszym z tych obrazów Smuglewicza, widok potomka krwi królów, który na łonie wielkości, pobożności się oddaje, silnie mówi do umysłu. Koń wierzchowy stojący na boku i psy otaczające młodego myśliwca, tudzież strój jego węgierski, nadają różnaitości, i ożywiają tło obrazu. W drugim, religijna powaga biskupa, szanowna jego sędziwość, łagodność i ufność w wierze, obok pobożności Heleny, żyjącej na dworze zepsutym Dyoklecyjana, w pośród przesłań chrześcijaństwa, są głównemi rysami, które upiększają to malowidło. Żałować potrzeba, że te dwa najpiękniejsze obrazy, najwięcej zostały uszkodzone przez wilgoć: koloryt ich już znacznie zepsuty, nikt nie coraz bardziej; a tak, ta praca, co wieki przeżyć miała, co mogła być najlepszym pomnikiem sławy naszego malarza, zniknie wkrótce, i śladu nawet nie zostawując po sobie.

W bocznej kaplicy, znajdują się w złotej oprawie, cząstki drzewa krzyża świętego, złożone od Emeryka, które Cesarz wschodni

posłał był Ojcu jego za wielki upominek, a te (*jako Kromer pisze*), za najpiękniejszą ozdobę nosił na sobie.

Za czasów Bartłomieja Paprockiego, tego zasłużonego heraldyka, były tu nagrobki Oleśnickiego z XV wieku. H: Jabłoński mówi w opisie Święto-Krzyskiej Góry, który wydał pod napisem w r. 1735 «*Drzewo żywota z Raju*» że tu miał grobowiec Jeremi Wiśniowiecki, ojciec króla Michała, zwycięzca Tatarów, równie jak Wespazyjan Kochowski, znakomity poeta i historyk (b). Był tu bowiem od dawna grób rodziny Kochowskich. Wespazyjan poeta, w księdze pierwszej swoich *Fraszek*, wspomina w następnych słowach, o grobie tu przodków swoich:

«*Najpewniejsze dziedzictwo, niestracone włości,
Grób ten sobie budując, i swój potomności
Tomasz Sarna z Kochowa: pragnął, by поблизу
U nóg Jezusa leżał, tuż przy jego krzyżu.
Ustępuj Magdaleno, ustępuj nam cugu,
Że przy tych nogach leżąc, wypłacim się z długu.*»

Lecz teraz nadaremnie tych pamiątek poszukiwać, śladu nawet nie zostało, zniszczy-

ły je napady nieprzyjaciół, od których i ta świątynia Boża, wolną nie była. Za Bolesława Wstydliwego w r. 1260, kościół ten uważany jako skład bogactw, i przytułek ludzi w czasie trwogi i niebezpieczeństwa, od Tatarów był złupiony i zniszczony. (*Kronika M. Bielskiego*). Niczego tam horda dzika, nie szanowała, ani płci, ani zgrzybiałej starości, ani niemowlęcego wieku: wszystko krwią zboczono, wszystko napełniono morderstwem, którego ciosy niekiedy, wstrzymywała wyuzdana rozpusta. Daremnie nieszczęśliwi u stopni ołtarza szukali schronienia, i tam śmierć okropną znajdowali: kapłani razem ze wszystkiemi, co w tej świątyni obiecywali sobie przytułek i ochronę, padli pod krwawem żelazem łupieżców, a kościół sam, został zburzony. Podobnyż los spotkał go w r. 1370, za Ludwika, od Litwinów, pod wodzą Kejstustuta i Olgierda książąt Litewskich, którzy pustosząc ziemię *Sendomięską*, odarli ten kościół z bogatych sprzętów i skarbów. Długosz pisze, że gdy ładowne wozy ze zdoby-

czą stanęły nad granicą, jeden z nich zastanowiwszy się nagle, żadnym sposobem ruszyć się nie dał, lubo do niego mnóstwo koni i wołów zaprzężono. Zdziwieni poganie takowém zdarzeniem, nie mogli wiedzieć przyczyny: alie jeden z towarzyszących wajdelotów, ostrzegł książąt, iż się na téj kolasie, musiał znajdować *Krzyż-Lacki* (drzewo krzyża Śgo), który z kościoła Łyso-górskiego zabrano. Przetrząsnięty wóz, ukazał prawdę téj powieści, i dał świadectwo cudowi. Przywołany natychmiast jeden z brańców polskich, nazwiskiem *Chorobał*, otrzymał wolność, z rozkazem, aby to święte drzewo odniósł, z uszanowaniem na dawne miejsce, co gdy uczyniono, wóz się ruszył i poszedł dalej.

Nie minęło lat kilkanaście, gdy znowu napadł ten kościół oddział Litwinów, pod dowództwem Dowojny. Zdobyli bogate łupy, bo każdy, w czasie takich napadów, chronił się do świątyni z majątkiem, w nadziei, że święte miejsce, będzie uszanowanem. Zabrał

tam Dowojna w niewolą znaczną ilość więźniów, między którymi była piękna i bogata polka *Atlejda*, herbu Habdank, co Bogu poślubiła czystość. Pomiedzy łupami zawiezionemi do Wilna, miała się znajdować sztuka drzewa krzyża Śgo. Ktokolwiek dotknął się tego składu zdobyczy, gdzie się on znajdował, padał martwy na ziemię. Przerazony Jagiełło, nie wiedział co czynić: pobożna branka, radziła odwieść go z winną czią na miejsce. Wysłany z nim Dowojna, w towarzystwie *Atlejdy*, korzystał z tej sposobności, prosząc o rękę córki Habdanka, którą przez czas niewoli chował uczciwie: otrzymał ją, i chrzest przyjąwszy, wrócił z żoną do Litwy (c).

Spokojny był kościół *Święto-Krzyżki*, ođ strony Litwy, gdy Jagiełło poślubiwszy *Jadwigę*, połączył te dwa narody razem. Odtąd, pod panowaniem Jagiellonów, używał pokoju: lecz późniejsze klęski, zarówno dziełł, i dla tego, żadnego zabytku starożytności nie zachował, prócz miejsca i wspomnień.

Roku 1655 Szwedzi wpadli, klasztor opanowali, męczyli kapłanów, by skarby odkryć, lecz tych nie zabrali: ciż sami w roku 1704 i 1716 kościół ten zniszczyli.

Klasztor ten, w pośród skał i lasów, przez Bolesława Chrobrego, między rokiem 1008-1009 założony (d), inni mniemają, i nawet podania miejscowe niosą, że Mieczysław I. pierwój wystawił tu kościół z Modrzewia, na szczycie góry *Łysój*. Przeor tutejszego klasztoru, pokazywał mi mały smętarzyk, otoczony parkanem w pobliżu kościoła, utrzymując, że to jest właściwie miejsce, gdzie w pogaństwie wznosiła się świątynia bożyszczom *Ielum-Polelum*, i gdzie po przyjęciu wiary, na zwaliskach tamtej bóżnicy, Mieczysław założył drewniany kościółek, i osadził Benedyktynów, dodając, że szczątki modrzewiów, opierając się przeszło dziewięciu wiekom, dotąd znajdują się jeszcze.

Lubo o oznaczeniu z pewnością miejsca, słusznie wątpić można; dziejopisowie podają przecieź, iż stała na wierzchołku *Łysój-góry*,

którą lud miejscem schadzek czarownic, na uczty i biesiady, uważa. Jabłoński (e) pisze, że tu był warowny murowany zamek, za czasów pogańskich *Łysiec* zwany, a przy nim świątynia bałwochwalska, że w nim mieszkała pani można: ta poraziwszy pod tą górą nieprzyjaciół pogranicznych, wbiła się w dumę, i czić się za boginią kazała. Ale Bóg skarał jęj dumę, i piorunem zniszczył zamek, i jęj pałac, z których rozwaliska dotąd widoczne. Tu Polacy (*mówi dalej Jabłoński*), wystawili świątynią, i Igo Maja na tę górę, schodząc, kłaniali się bożyszczom, i ofiary palili.

Andrzėj Krzycki pisze, że jak od przodków słyshał, trzem bogom była ona poświęcona: »*Pogodzie, Pogwizdowi i Ładzie*:« ta miała być matką *Lelum-Polelum*, i stąd była piosnka staroświecka:

»*Lada, Lada! Illeli, Illeli! Poleli* (f).

Schodząc na powrót do miasteczka *Słupi* od strony kościoła, jest zaczęta droga murowana obszerna, ze zwalisk i rumowisk okry-

wających tę górę: małą tylko cząstkę jej dokonano, i od lat kilkadziesiąt nie powiększa się wcale. Tak więc, pozostały drożyny kamieniste i niewygodne, które wędrowiec przebywać musi, chcąc dostać się na szczyt góry, gdzie stoi klasztor i kościół Śgo Krzyża.

Bawiąc przez dni kilka w miasteczku *Stupi*, przyglądałem się nie raz z zachwyceniem wspaniałemu widokowi gór i klasztoru, przy bladém świetle księżyca. Wśród pogodnej nocy, wdzierałem się na szczyt góry, i większą część nocy, tam przemarzyłem. Jaka cisza! bliższy nieba, zdaje mi się że jaśniejszą twarz księżyca oglądam, czuję radość niewymowną, że stoję w chmurach! Wczoraj rano, to miejsce, gdym poglądał z miasteczka, chmury oczom moim zakrywały. Wdzieram się wyżej, rzucam oczyma na dolinę, tam wszystko milczy, śpią ludzie: gdzie niegdzie jaśnieją ogniska pasterzy, i czasem psaszczekanie zakłóci ciszę. Jak wzrok zasięgnie wśród jasnej nocy; wzgórze, doliny, i mniejsze góry, wszystko się wyrównywa przedsta-

wiając gładką równinę. A las ciemny, ogromny, nieprzejrzany, »*ten cud natury,*» jak W. Kochowski nazywa, wszystko co zajrzę, wieńcem okola. Nie dziwię się, że wyobraźnia gminu, ogłosiła za miejsce schadzek czarodziejskich istot, te góry i lasy ponure, które cudowne widoki, przedstawiają naszym oczom. Na szczycie wyniosłej góry, co od stóp samych do wierzchołka, zakryta ogromnemi bukami i jodłami, wznosi się wspaniała, samotna świątynia. Chmury w przechodzie, ocierając mury kościoła, prawdziwie czarodziejskie wystawiają obrazy: zdaje się, spoglądając wtedy, że chmury, to jak olbrzymy zagarniają w objęcia swoje tysiące drzew wzniosłych; to jakoby potwory straszliwe, chwieją się na szczycie stromiej góry; to znowu nakształt dziewicy, w lekką osłoniętej szatę, spływają z nadpowietrznych szlaków, i kryją się w ponurych cieniach lasu. Tu jak zbrojny rycerz w hełmie i z tarczą, podobny do nocnego widma w Ossyjanie, przesuwa się zwolna, staje, i jak mgła

niknie. Do tego szum liści i drzew różnych, szmer rozlicznych strumieni spadających na dolinę z szelestem, odgłos przerywany puszczyka towarzysza nocy, powiększają te złudzenia, i przywodzą na pamięć obraz nocy *Mathissona*:

*Mrok posepny, mrok pomury,
Szczyt olbrzymiej zaćmił góry:
Między smutnie brzmiącą trzcina,
Szeleszczące zdroje płyną.
Pasterskiego blask ogniska,
Z po za ciemnych lasów błyska,
Bładą światłość lejąc z siebie,
Jako lampa przy pogrzebie!
Już się nocny ptak nieśmiały,
Drżącym lotem wzbił nad skały:
I na szczycie drzew zielonym,
Noc, płacziwym budzi tonem:
W długie wiążąc się tańcuchy,
We mgle ciche tańczą duchy:
Przy świetlika mdłych połyskach,
Po mogiłach, po zwaliskach.*

(Przekład A. E. Odyńca).

Bard Szkocki, widziałby tu swoich przodków i poległych braci, co po śmierci zstępując z krain innego świata, ukazują się potomkom. Śpiewak Skandynawii, witałby podobnież zmarłych, co w zwodniczych postaciach, schodzą z pałacu Odina. Nasz lud, różniący się wyobraźnią, mając inne podania, inne utworzył stąd istoty. Zamiast dziewiczej piękności, co we śnie ukazuje się kochankowi: zamiast cienia poległego przyjaciela, co ostrzega o grożącym niebezpieczeństwie: widzi brzydkie wiedmy i czarownice, co na łąpatach i miotłach, unosząc się w powietrzu szybkością błyskawicy, we czwartek po nowiu księżyca, zlatują na ucztę, i biesiady swoje.

Błądzą w tych górach i ciemnych lasach, duchy i potępieńcy. Zstępując przed parą dniami z poblizkiej klasztorowi góry, zaskoczeni zostaliśmy nocą, przewodnik świadomy jednak szedł śmiało naprzód, zachęcając do prędszego pochodu: nagle stanął, a obracając się w lewo: »Tu (*rzekł cicho*), naj-

przód się przeżegnajcie, a potem ostrożnie za mną.« Nie zupełnie dowierzając, sięgnąłem za pistolet, nie mogąc odgadnąć com sły-
szał. Gdyśmy zeszli na dolinę, spytałem wie-
śniaka, co znaczyły jego słowa. »Widać, że-
ście cudzy! w tych miejscach zawsze prze-
bywa potępieniec, a często słyszeć go można,
oto i teraz, uciszcie się...«

I położył palec na ustach, a w tém od-
głos podobny do szmeru spadającego stru-
mienia, odbił się o uszy.

—»To widzita, modli się teraz, i ciężko
wzdycha i płacze, bo téż ciężkie jego grzé-
chy.«

I cóż zawinił? zapytałem ciekawy.

—»Oto święta nie święcił, gdy inni mo-
dlili się w kościele, to on robił, lub wzięw-
szy strzelbę, chodził podczas mszy świętej
po lesie i strzelał zwierzynę: dla tego cier-
pi, i jako za żywota swego, tak i teraz uga-
nia się za ptakami i zwierzem, których zła-
pać nie może.«

Nie jednemu z myśliwych dał się widzieć: my sami, kiedyśmy wyszli na zajęcie, tośmy go widzieli, jak nad głową leciał, odtąd nie zabić z swojej nie mogliśmy strzelby, i musieliśmy *krakowskim targiem*, zbyć za połowicę.



— 338. —

PRZYPISEK.

(a) Długosz, założenie tego klasztoru, przypisuje prośbom Emeryka króla Węgierskiego, lecz podług Naruszewicza, opierającego swe zdanie na historyi Węgierskiej *Praya*; Emeryk urodzony r. 1007, był natenczas jeszcze w pieluchach.

(b) W czasie zamieszek w kraju, złożono tu zwłoki przewiezione z rodzinnego grobu Jeremi Wiśniowieckiego, z tym napisem:

«Hieremias Cosacorum terror, Dux et Princeps Wisniowiecius, Michäelis Primi Regis Poloniae progenitor ab A. D. 1655 depositus.»

(c) Kronika M. Strykowskiego Ed: Warszawska 1666 r. str. 435. Jest to ten sam Dowojna, który tak znakomitą gra rolę, w romansie historycznym F. Bernatowicza: *«Pojata córka Lezdejki, albo Litwini w XIV wieku,»* gdzie w osobie Heleny, Atlejda jest wystawiona.

(d) Tygodnik Wileński T. 1.

(e) Hijacynta Jabłońskiego: «Drzewo żywota z Raju 1735.

(f) Jabłoński pisze, że w r. 1686 przed drzwiami kościoła, kując w boku skały, znaleziono łóżyisko, w którym był posąg bożyszczka, węglami osypany.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Spis przedmiotów.

W TOMIE III. ZAWARTYCH.

1. Dobosz. Obraz historyczny, z podań i pieśni ludu 1
2. Zalotnik Marcowy. Gawęda z XVIII wieku 61
3. Stara księga i dawny Medyk. Obraz biblijograficzny 83
4. Morowa zaraza w Warszawie 1712 r. Obraz z podań miejscowych 107
5. Klecha. Obraz historyczny. (z ryciną) 131
6. Dawne czasy. Gawęda z początku XVII wieku 159
7. Olejkarz. Obraz historyczny 179
8. Dziadek. Gawęda z końca XVIII wieku: z rodzinnego podania 193

9.	Śpiewacy w Polsce i na Rusi. Obraz historyczny	217
10.	Gawęda przy Sosze	247
11.	Rybalt. Obraz historyczny. (z ryciną)	283
12.	Kościół Świętego - Krzyża na Łysiej-Górze. Obraz z 1825 r.	299

W. TOMIE III. ZAWAŻYCH.



1
81
83
101
101
100
101
101

I.474
t.III.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Warszawskiej

ND.0727



400000000150963